



Kwartalnik polski

Nr 97–98

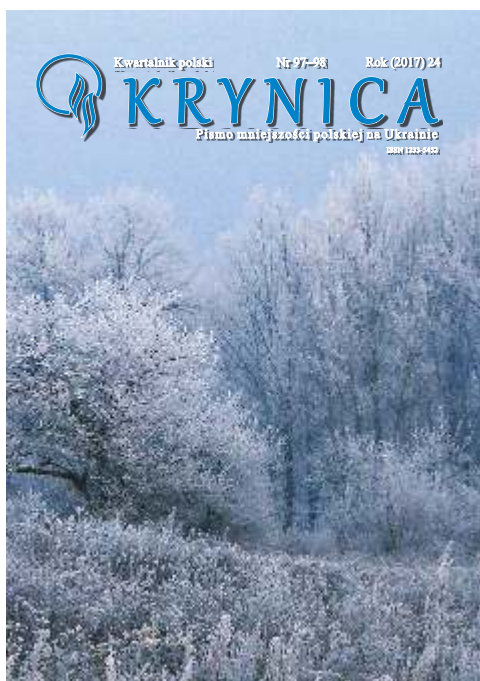
Rok (2017) 24

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452





Ostatnio dużo myślałam o słowach „*pokój*” i „*spokój*”. Być może dlatego, że obu tych odczuć tak bardzo brakuje w życiu każdego z nas, w moim życiu... W kraju panuje wojna, do której tak przyzwyczały się masmedia, że przestał być dla nich „tematem dnia”. Moi sąsiedzi codziennie urządzą karczemne awantury. Słowo w słowo słyhać bardzo głośne „rozmowy”, przekleństwa, wzajemne pretensje i... płacz ich 9-miesięcznego dziecka. Czasem już trudno zebrać w tym szumie swoje własne myśli. A i te, całkiem nieproszone, przychodzą do mnie, kiedy same chcą i niosą... niepokój. Niepokój o to, czy wystarczy pieniędzy „na życie”, bo ceny w sklepach rosną w zawrotnym tempie, a do mojej emerytury dodano od października „aż” 153 hrywny. Niepokój o zdrowie bliskich i moje własne, bo owo zdrowie z wiekiem także ulega „inflacji”, a leczenie jedynie w zapisie w Konstytucji jest bezpłatne. Niepokój w strwożonym sercu, któremu coraz częściej muszę śpiewać kołysanki...

Słowo „*pokój*” jest pochodzenia słowiańskiego. Pochodzi od czasownika „*koić*”, który znaczył 'łagodzić, uspokajać, uśmierzać', stąd do dzisiaj wyrażenia „*koić ból*”, „*koić cierpienie*”. Rzeczownik „*pokój*” oznaczał więc na początku stan łagodności, uspokojenia, brak trosk i zmartwień. W okresie staropolskim dodano do tego rzeczownika przedrostek s- i tak powstał wyraz „*spokój*”, który przejął to pierwotne znaczenie, a „*pokój*” zaczął oznaczać brak wojen, chaosu, walki. W słowniku synonimów języka polskiego dla słowa „*spokój*” znajduje się 428 synonimów. Synonimy te podzielone zostały na 37 grup znaczeniowych.

...Tyle synonimów dla słowa „*spokój*”, tyle odcieni i barw na określenie tego, czego człowiek potrzebuje najbardziej, czego pragnie każdy z nas...

Stefan Żeromski – wybitny polski pisarz powiedział:
„*Troski uczą odczuwać spokój jak szczęście...*”

Na zbliżające się ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA, na NOWY 2018 ROK życzę wszystkim Czytelnikom kwartalnika „Krynica”, wszystkim Rodakom na Ukrainie takiego właśnie SZCZĘŚCIA: pokoju w Kraju nad Dnieprem, spokoju w Waszych domach i w Waszych sercach...

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Ołeksij Braślawiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcie na 1–4 str. okładki:
Andrzej Kandecki
Zdjęcie na 3 str. okładki:
Jelena Safonowa



„Zadanie współfinansowane
w ramach sprawowania opieki
Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
nad Polonią i Polakami za granicą
w 2017 r.”

Koordynator projektu:
Fundacja Wolność i Demokracja



Kontakt z redakcją:
tel/fax: +380 93 466 32 12
e-mail: dorota57@ukr.net
www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

Niezapomniany odpoczynek (<i>Lesia Lianna, Oleg Sawicki</i>)	3
IV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Szopena (<i>Stanisław Panteluk</i>)	4
Szlakiem miejsc pamięci (<i>Olga Ozolina</i>)	5
40. pielgrzymka do Berdyczowa (<i>Jerzy Sokalski</i>)	6
W Politechnice Kijowskiej (<i>Janusz Fuksa, Zygmunt Nikodem</i>)	8
VII edycja Narodowego Czytania (<i>Stanisław Panteluk</i>)	9
„Razem – ramię przy ramieniu” (<i>Oksana Slepowa</i>)	10
Dziennikarze ze Wschodu w Belwederze (<i>Stanisław Panteluk</i>)	12
Pamięci profesora Zbigniewa Religi (<i>KOS</i>)	15
Spotkanie z Rodakami (<i>Antoni Kosowski</i>)	16
Ulica i mural Jana Pawła II w Kijowie (<i>Stanisław Panteluk</i>)	17
Piękny Jubileusz (<i>Andżelika Płaksina</i>)	18
Rozmowy o języku (<i>KOS</i>)	20
Wizyta polskiego ministra (<i>Olga Ozolina</i>)	21
Jubileusz Kijowskiej Biblioteki Publicznej (<i>Andżelika Płaksina</i>)	22
„Dni Polskiego Biznesu na Ukrainie” (<i>AP</i>)	23
Zjazd absolwentów (<i>AP</i>)	24
Modlitwa i znicze na polskich grobach w Kijowie (<i>Inf. własna</i>)	25
Odkrywanie piękna polskiej poezji (<i>Andżelika Płaksina</i>)	26
Urodziny „Niepodległej” (<i>KOS</i>)	27

GOSPODARKA

W Stowarzyszeniu Eksporterów Polskich	28
Sukcesy polskiej gospodarki (źródło: <i>Ministerstwo Gospodarki</i>)	32

HISTORIA

Polskie dzieje Kijowa (cz. III) (<i>Marian Kałuski</i>)	38
Oświata medyczna na Wołyniu w latach 1805–1939 (<i>dr Irena Krukowska</i>)	58

POSTACI

Najsłynniejsza kobieta wszechczasów (<i>dr Jan Ciechanowicz</i>)	62
Piewca honoru i wierności (<i>dr Jan Ciechanowicz</i>)	72

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Dziewczęce lata (<i>Jadwiga Lewittoux-Szymańska</i>)	82
Wieczory kijowskie (<i>Marian Jurkowski</i>)	98

	LOS Y I DROGI	
Dawno, dawno temu... Wspomnienia Czesławy Kacik		106
	REFLEKSJE	
Wspomnienie a wybitnym aktorze Zbigniewie Cybulskim z parowcem „Wisła” w tle (<i>kpt. ż.w. Piotr Dymitr Wiszniewski</i>)		110
	WYWIADY, ROZMOWY	
Świat bez wojen, a dzieci bez stresów (<i>Janusz Fuksa</i>)		116
	SZTUKA	
Iszchan Nazarian – artysta trojga narodów (<i>dr Jan Ciechanowicz</i>)		119
	ŚWIĘTA	
Boże Narodzenie w liturgii (<i>o. Mariusz Woźniak OP</i>)		122
	POEZJA	
„W moich rękach toczy się symfonia losu...” Wiersze Andrzeja Szypuły		124
	AFORYZMY	
Zeszyt myśli (<i>Miroslaw Welz</i>)		132
	DLA DZIECI I MŁODZIEŻY	
„Porwana królewna” (<i>autor nieznany</i>)		134
„Linia obrony”, „Sesja poprawkowa”, „Sonata księżycowa” (<i>Edward Guziakiewicz</i>)		137

NIEZAPOMNIANY ODPOCZYNEK

W ramach projektu „Aktywna promocja historii, kultury i języka polskiego dla młodzieży polonijnej z Ukrainy”, dofinansowanego ze środków Programu Funduszu Inicjatyw Obywatelskich i współfinansowanego z budżetu Miasta Tarnowa, dzieci ze Stowarzyszenia Polaków Białocerkiewszczyzny, na zaproszenie Tarnowskiej Fundacji Dobrosąsiedzkiej Współpracy, Centrum Kształcenia i Wychowania OHP w Tarnowie, spędziła dwa tygodnie w tym mieście.

Młodzież przeszła ciekawymi szlakami historycznymi związanymi z dziejami Tarnowa, historycznymi postaciami, poznała uroki Małopolski oraz dziedzictwo tego regionu, zwiedziła Sandomierz, Kraków, Kopalnię Soli w Bochni i Muzeum Pszczelarstwa w Stróżach. Ponadprogramowo udało się zwiedzić Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach oraz Bazylikę Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Tuchowie.

Młodzi ludzie udali się na wędrowkę szlakiem polskiej historii, którą niejednokrotnie znają tylko z literatury i opowiadań przekazywanych młodszymi pokoleniom w rodzinach polskiego pochodzenia, w których nadal żywy jest patriotyzm.

W czasie pobytu w Polsce dzieci miały możliwość doskonalenia języka polskiego i nauki języka angielskiego. Prowadzone były zajęcia plastyczne, zajęcia sportowe, które służyły zwiększeniu aktywności fizycznej, poprawie stanu zdrowia oraz wszechstronnemu rozwojowi osobowości uczestników projektu.

Młodzież regularnie chodziła na basen, była także na torze kartingowym.

Przeprowadzony został Dzień Sportu, podczas którego odbył się turniej strzelecki, rzutu do celu, turniej tenisa stołowego oraz szereg innych konkurencji. Prowadzone warsztaty oraz program socjoterapeutyczny służyły dziełu profilaktyki oraz wzbogaciły wiedzę w zakresie przeciwdziałania przemocy.

W trakcie wypoczynku młodzież wystąpiła przed polską publicznością: w Domu Pomocy Społecznej w Tarnowie, w Domu Dziecka w Rzuchowej oraz w Centrum Kształcenia i Wychowania OHP w Tarnowie. Koncerty te były aktywną formą integracji społecznej, promowały kulturę ukraińską. Były także pięknym podsumowaniem całego projektu.

Podczas uroczystego zakończenia letniego wypoczynku dzieci i młodzież otrzymały certyfikaty i upominki za udział w projekcie.

Podsumowano również przeprowadzone konkursy. Dyplomy oraz nagrody najlepszym uczestnikom wręczał sam Stanisław Jędrzejczyk – Król Kurkowego Towarzystwa Strzeleckiego Bractwa Kurkowego w Tarnowie.

Stowarzyszenie Polaków Białocerkiewszczyzny z całego serca dziękuje Tarnowskiej Fundacji Dobrosąsiedzkiej Współpracy, Centrum Kształcenia i Wychowania OHP w Tarnowie, Prezydentowi Miasta Tarnowa za wspianą letni wypoczynek i niezapomniane wrażenia.

Lesia LIANNA, Oleg SAWICKI



Dzieci i młodzież ze Stowarzyszenia Polaków Białocerkiewszczyzny w czasie pobytu w Polsce

IV MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI SZOPENA

Zakończył się IV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Szopena pod gołym niebem na zamku w Radomyślu.

Tegoroczny festiwal był wypełniony niespodziankami i premierami. Po pierwsze, muzycy grali nie tylko na scenie rozmieszczonej w centralnej części pięknego parku, ale także w sali koncertowej, która – zgodnie z wynikami akustycznej ekspertyzy przeprowadzonej przez Instytut Hydrodynamiki NAN Ukrainy – odpowiada najwyższym wymaganiom europejskich standardów.

Po raz pierwszy od czterech lat słuchacze festiwalu mieli możliwość posłuchać jak brzmią utwory genialnego polskiego kompozytora na fortepian i wiolonczelę.

Festiwal muzyki Szopena 2017 odkrył dla publiczności wiele nowych, młodych talentów – młodzi wykonawcy przyjechali na święto muzyki z różnych zakątków Ukrainy.

Tradycyjnie wśród gości było sporo przedstawicieli korpusu dyplomatycznego. Oprócz przedstawicieli Ambasady RP, pod patronatem której przeprowadzany jest festiwal muzyki Szopena w zamku Radomyśl słu-

chali: Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Japonii w Ukrainie Sumi Szigeeki, Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Serbii Rade Bułatowicz, Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Turcji w Ukrainie Jonet Dżan Tezel, Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Mołdawii w Ukrainie Rusłan Bołboczan, Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Czarnogóry w Ukrainie Lubomir Miszurowicz oraz Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Rumunii w Ukrainie Leon Cukranu.

W ciągu dwóch dni utalentowani muzycy stworzyli niezapomnianą atmosferę i podarowali słuchaczom czarujące dźwięki muzyki genialnego kompozytora. Byli to laureaci wielu międzynarodowych konkursów pianistycznych: Tatiana Szafran i Inessa Poroszyna, duet w składzie solisty Nacjonalnej Filharmonii Leonida Gerzana i koncertmistrza Ołeny Orendarewskiej. Występowali także uczniowie szkół muzycznych z Iwano Frankowska, Żytomierza, Radomyśla, Charkowa, Chmielnika i Kijowa, którzy swoją grą po prostu oczarowali obecnych na festiwalu słuchaczy.

Stanisław PANTELUK



Olga Bohomolec – gospodyni Festiwalu Muzyki Szopena w Radomyślu w otoczeniu wdzięcznych słuchaczy

SZLAKIEM MIEJSC PAMIĘCI

24 sierpnia 2017 roku Narodowy Rezerwat Historyczny i Kulturowy „Bykowniańskie Mogiły”. przyjął uczestników XVII Międzynarodowego Motocyklowego Rajdu Katyńskiego. Piewcy męstwa i bohaterstwa, którzy przybyli tu z różnych zakątków Polski uczcili pamięć pochowanych w bykowniańskim lesie Polaków i innych ofiar stalinowskich represji.

Już siedemnaście lat z rządu polscy motocykliści odwiedzają miejsca powiązane ze śladami polskiego oręża i polskiej krwi, przełanej w Katyniu, Żytomierzu, Ostaszkowie, Winnicy i wielu innych miejscowościach na Wschodzie.

Trasa Rajdu corocznie ulega nieznacznym zmianom. W tym roku przebiegała ona przez terytorium Polski, Litwy, Łotwy, Rosji i Ukrainy, i ogółem stanowiła 7500 kilometrów.

Na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni – będącym IV Cmentarzem Katyńskim, gdzie spoczywają ofiary totalizmu z lat 1937–1941 – uczestników rajdu powitali przedstawiciele polskiej społeczności Kijowa. Przy świetle pochodni odbyła się Msza święta, po której uczestnicy przedsięwzięcia złożyli wieńce, kwiaty i zapalili znicze na wspólnych grobach w polskiej i ukraińskiej częściach cmentarza.

W swoim przemówieniu komandor i kapelan Rajdu Katyńskiego Dariusz Stańczyk zaznaczył, że misją Rajdu Katyńskiego jest zachowanie od niepamięci tragicznych miejsc historycznych, związanych z

polską historią oraz uhonorowanie poległych. Podziękował on również dyrekcji za okazaną troskę o upamiętnienie niewinnie zamordowanych oraz okazaną gościnność, z którą corocznie spotykają się uczestnicy Rajdu podczas odwiedzin Bykowni.

Do zabranych przemówili także: Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie Tomasz Dederko i dyrektor generalny Narodowego Rezerwatu Historycznego i Kulturowego „Bykowniańskie Mogiły” Bogdan Biliaszewski oraz Prezes Związku Polaków Ukrainy Antoni Stefanowicz.

Bogdan Biliaszewski podkreślił doniosłość odsłonięcia przed światem całej prawdy o tragedii w Bykowni, a także przypominał, że całkiem niedawno, bo 11 sierpnia, minęło 80 lat od początku tragicznego wydarzenia powiązanego z Polską i Polakami: tak zwanej „polskiej operacji NKWD” – ludobójstwa czasów Wielkiego Terroru.

Wiceprezes Stowarzyszenia Międzynarodowy Motocyklowy Rajd Katyński Katarzyna Wróblewska podkreśliła: *„Poświęcenie wkładane w Rajd jest warte tego, co przeżywamy i czego doświadczamy. Spotkania w drodze niezwykle budują, poszerzają wiedzę, wrażliwość i przemieniają horyzonty”*.

Po uroczystościach w Bykowni uczestnicy Rajdu wyruszyli do Żytomierza i Berdyczowa.

Olga OZOLINA



Bykownia.
Uczestnicy Rajdu Katyńskiego
zapalają pochodnie

40. PIELGRZYMKA DO BERDYCZOWA

Rekordową 20-tysięczną grupę pielgrzymów zaprosiła do siebie latem tego roku Berdyczowska Madonna. Dziesięciu biskupów na czele z arcybiskupem Mieczysławem Mokrzyckim, tyluż prowincjałów i delegatów zakonów męskich i żeńskich, około setki kapłanów, przedstawicieli dyplomacji i władz zgromadziło się na berdyczowskich uroczystościach Matki Bożej Szkaplerznej, Maryi z Góry Karmel.

W piękny letni wieczór, kiedy do Berdyczowa przybyły wszystkie piesze i rowerowe pielgrzymki z różnych zakątków Ukrainy i Polski, odbyła się Msza św. poprzedzająca centralne uroczystości niedzielne. Mszę koncelebrował nowy ordynariusz diecezji kijowsko-żytomierskiej Witalij Kriwickij, który przyszedł z Żytomierza razem z pątnikami. Homilię, poświęconą kulcie Maryi, wygłosił o. Enrike Kastro z Meksyku – proboszcz klasztoru na górze Karmel w Izraelu.

Słowa powitania skierował do pielgrzymów skierował coroczny pieszy pielgrzym – ordynariusz diecezji charkowsko-zaporoskiej bp Stanisław Szyrokoradiuk, pracujący niedaleko terenów, gdzie toczy się wojna. Słowa biskupa Stanisława pełne były bólu i trwogi o losy naszego kraju.

Biskup podkreślił, że obecnie Ukraina boryka się z trzema rodzajami niebezpieczeństwa: agresją zewnętrzną, agresją wewnętrzną poprzez działania oligarchatu – który doprowadza naród do nędzy – oraz zamierzoną demoralizacją społeczeństwa, zwłaszcza wśród młodzieży poprzez tak zwany program gender.

Biskup głęboko wierzy, że Bóg nie pozostawi tak piękny nasz naród i że modlitwy pielgrzymów zostaną wysłuchane.

Jak powiedział w wywiadzie dla „Polskiego Radia Berdyczów” kapelan Polaków Żytomierza o. Jarosław Giżycki, to była już czterdziesta pielgrzymka do Berdyczowa, zaczynając od czasów radzieckich, kiedy odbywała się nielegalnie.

Centralnym odpustowym uroczystościom niedzielnym przewodniczył watykański przedstawiciel Papieża Franciszka kardynał Zenon Grocholewski.

Jego Ekscelencja w homilii przypomniał zebranym, że to Sanktuarium poprzez władzę totalitarną było skazane na śmierć, jednak wspaniale ożyło.

Strona Polska była reprezentowana przez Konsula Generalnego RP w Winnicy Tomasza Olejniczaka, Konsula Generalnego RP w Irkucku Krzysztofa Świ-



Przed Sanktuarium w Berdyczowie: Matka i Jej dzieci

derka, Posła na Sejm RP Marcina Porzucka, przedstawiciela MSZ RP Iwonę Kozłowską.

Pozdrowienia z polskiego parlamentu, z Komisji Łączności z Polakami za Granicą w imieniu członków Komisji oraz Pani Przewodniczącej Anny Schmidt-Rodziewicz odczytał Poseł na Sejm Marcin Porzucek:

„Te tłumy obecne tutaj to dowód na to, że praca, jaką ponad już ćwierć wieku wykonują księża biskupi, duchowni, a także ojcowie karmelici, przynosi doskonały efekt. Mam nadzieję, że praca ta będzie kontynuowana i że tak jak dziś niebo jest dla nas łaskawe, tak i pogoda dla Ukrainy będzie jak najlepsza. A gdy szukacie bohaterów, wspólnoty, to najlepiej patrzeć i szukać drogowskazów Matki Boskiej. Ona nigdy nas nie zawiedzie, a będzie łączyć wszystkich nas – katolików. Szczęść Boże!”.

Przedstawiciel prowincjała krakowskiej prowincji zakonu Karmelitów Bosych o. Paweł Hańczak w języku ukraińskim zachęcił zebranych do szanowania naszej wspólnej Matki – Madonny oraz noszenia Jej świętego szkaplerza.

Na koniec uroczystej Mszy św. tradycyjnie zabrzmiał hymn „Боже великий, єдиний, нам Україну храни”.

Po zakończeniu uroczystości odbyła się konferencja prasowa, podczas której Jego Eksceleńcja kardynał Zenon Grocholewski podzielił się wrażeniami z wizyty do Berdyczowskiego Sanktuarium.

Zdaniem Kardynała trzeba dążyć do tego, aby Sanktuarium Berdyczowskie działało całorocznie jako

miejsce stałych pielgrzymek, podobnie jak to się dzieje na przykład w Brazylii, Argentynie albo w Polsce.

Zapytałem Jego Eksceleńcję kardynała Zenona Grocholewskiego o jego polskie pochodzenie i drogę do kapłaństwa. Kardynał powiedział skąd wywodzi się jego ród. Urodził się w Polsce, kiedy rozpoczęła się II wojna światowa. Rodzice musieli opuścić dom. Było zimno i mama straciła nadzieję, że synek przeżyje, bo chorował a lekarzy nie było. Ale dzięki Bogu przeżył!

Został kapłanem w Poznaniu. I już 51 lat pracuje w Rzymie.

Najwięcej czasu w odpowiedzi kardynał poświęcił tematowi ważności edukacji katolickiej na świecie, ponieważ przez długi okres czasu opiekował się kształceniem katolickim jako prefekt Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej, czyli urzędu watykańskiego zajmującego się całokształtem katolickiego systemu oświaty i nauki, oraz jako wielki kanclerz Uniwersytetu Gregoriańskiego. A propos, w całym świecie istnieje ponad 1500 uniwersytetów katolickich, 200 tysięcy szkół katolickich, ponad 50 milionów uczniów szkół katolickich!

Jerzy SOKALSKI

*Członek Zarządu Głównego ZPU,
prezes „Polskiego Radia Berdyczów”*

Zdj. Olga Kolesowa, Jurij Melnyk



Kardynał Zenon Grocholewski
pobłogosławił dziennikarzy
katolickich i polonijnych
i uwiecznił moment spotkania
na wspólnym zdjęciu

W POLITECHNICE KIJOWSKIEJ

W Politechnice Kijowskiej (KPI) na placu Wiedzy 30 sierpnia 2017 r. zebrało się kilka tysięcy studentów pierwszego roku, by świętować swój dzień. Na granitowej trybunie stanęli rektor i jego goście, reprezentujący władze Ukrainy i Kijowa oraz politechniki w Poznaniu i Opolu, a także Fundację „Perspektywy” i Sekcję Wychowanków Politechniki Kijowskiej.

Uroczystość rozpoczął taniec w wykonaniu połączonych zespołów polskiego i ukraińskiego. Podczas hymnu narodowego, odśpiewanego przez chór uniwersytecki, podchorążowie z politechnicznego instytutu wojskowego podnieśli flagę państwową na maszt przy trybunie. Delegacje wydziałów złożyły kwiaty pod pomnikami czterech wybitnych naukowców uczelni, w tym pod pomnikiem prof. Wojciecha Świątosławskiego.

Studentów powitał rektor profesor Mychajło Zhurowski. Po nim przemówili goście z Kijowa, Poznania i Opolu.

Na plac wkroczyli przodownicy nauki z dziećmi podopiecznej szkoły podstawowej. Po nich młodzi wynalazcy pokazali trzy swoje osiągnięcia techniczne: samochód wyścigowy, samolot bezpilotowy i makietę dwóch sputników, które krążą wokół Ziemi. Weszli

studenci zagraniczni ze swoimi flagami państwowymi, następnie wyróżniający się sportowcy i uczestnicy amatorskich zespołów artystycznych. Pojawili się tegoroczni zwycięzcy konkursów Królowa KPI i Mister KPI. Zapłonął znicz pod dźwięki hymnu studenckiego „Gaudeamus igitur”. W niebo wzbił się napis „KPI” ułożony z żółtych i niebieskich baloników.

Po zakończeniu godzinnej uroczystości studenci pierwszego roku udali się do swoich wydziałów w celu otrzymania indeksów.

Delegacja Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej w składzie Janusz Fuksa i Zygmunt Nikodem uczestniczyła w spotkaniach z kierownictwem uczelni. Wręczyła złote odznaki honorowe Naczelnej Organizacji Technicznej podczas specjalnie zwołanego spotkania. Otrzymały je Lucja Szykałowa i Anna Bidniuk za organizowanie współpracy z polskimi środowiskami naukowo-technicznymi. Delegacja przekazała kolejne materiały Sekcji do biblioteki KPI.

Delegacja złożyła także wizyty w Domu Polskim i w Związku Polaków na Ukrainie.

*Janusz FUKSA
Zygmunt NIKODEM*



Uroczystość inauguracji nowego roku akademickiego w KPI na placu Wiedzy w Kijowie

VII EDYCJA NARODOWEGO CZYTANIA

„Cóż tam, panie, w polityce?”, „Chłop potęgą jest i basta.”, „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna.”, „Miałeś, chamie, złoty róg...”, „Trza być w butach na weselu!” – te i inne cytaty z dramatu Stanisława Wyspiańskiego na stałe weszły w Polsce do języka potocznego i często nie zdajemy sobie sprawy, że popularne porzekadło to fragment „Wesela”, które do dziś nic nie traci ze swej aktualności i dobrze puentuje także i nasze czasy.

Przypomnieniu tego niezwykłego dramatu służyła zainicjowana przez Prezydenta RP i jego Małżonkę VII. już edycja Narodowego Czytania, przeprowadzona w ponad 2 tysiącach miejsc w Polsce i na świecie.

Literatura piękna zagościła także w wielu środowiskach polskich Ukrainy. Wersety dramatu przybliżyli miłośnicy polskiego słowa, przedstawiciele wielu kijowskich organizacji, takich jak: Polsko-Ukraińskie Stowarzyszenie „Krynica”, Związek Polaków Kociubińskiego, Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie „Zgoda”, Kijowska Młodzieżowa Asocjacja „Młodzi i kreatywni”, oraz zespołu „Polanie znad Dniepru”.

Impreza zorganizowana została przez Związek Polaków na Ukrainie i Polską Szkołę Sobotnią w Kijowie w gościnnych progach Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu Ekonomicznego im. W. Hetmana.

Przedstawienie rozpoczęło emisją anonsu ze strony internetowej Prezydenta Polski, a w jego przerwie wyświetlono fragmenty elektronicznej adaptacji „Wesela”. Wystąpienie wprowadzające na temat okoliczności po-

wstania „Wesela” i postaci jego twórcy wygłosił Prezes ZPU Antoni Stefanowicz, który również w finale przybijał uczestnikom i słuchaczom przedstawienia pamiątkowe stemple na egzemplarzach „Wesela”.

Czytanie odbywało się bez uprzednich prób i ćwiczeń, a więc było dla uczestniczących w nim nie lada wyzwaniem. Trudno powiedzieć, które jego fragmenty były trudniejsze: czy partie wypowiedziane przez krakowskich inteligentów, z XIX-wieczną (a czasem i starszą) leksyką, czy też niełatwe – nawet dla współczesnego mieszkańca Polski – teksty napisane gwarą brownowickiej wsi sprzed ponad stu lat. Jednak wszyscy pomysłnie wywiązali się z zadania.

Nad przydzieleniem ról, podziałem tekstu, wyborem najważniejszych jego fragmentów czuwała prowadząca czytanie Łarysa Bułanowa wraz z organizatorami. Dodatką stroną scenariusza imprezy było zapewnienie gremialnego udziału w czytaniu osób obecnych na sali.

Nie zabrakło także wsparcia ze strony Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie, który czynnie reprezentował wicekonsul Bartłomiej Florczak.

Trzeba przyznać – czytanie „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego to kolejny ważny i potrzebny projekt promujący klasykę polskiej literatury. Akcja ta sprawiła wszystkim wiele przyjemności i zachęciła do sięgania po książki.

Stanisław PANTELUK

Zdj. Andżelika Płaksina

Uczestnicy czytania,
którzy w duetach
i tercetach wcielali się
w role bohaterów
„Wesela”



„RAZEM – RAMIĘ PRZY RAMIENIU”

Działacze miasta Bojarki, zrzeszeni w Związku Polaków „Bez Granic”, przedstawili ukraińsko-polski projekt pod dewizą „Razem – ramię przy ramieniu”.

12 września 2017 roku w sali kominkowej drugiej kaponiery Cytadeli Kijowskiej odbyła się prezentacja tego audiowizualnego projektu – przedsięwzięcia powiązanego z rocznicą Bitwy Warszawskiej stoczonej z bolszewikami 15 sierpnia 1920 r., która to zadecydowała o zachowaniu niepodległości przez Polskę i przekreśliła plany rozprzestrzenienia rewolucji na Europę Zachodnią. Były to lata wspólnych zmagania Wojska Polskiego i Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej.

W ramach imprezy przedstawiono unikatowe materiały archiwalne i współczesne, obejmujące współpracę polskich i ukraińskich żołnierzy w walce prowadzonej tym razem w naszych czasach przeciwko agresorom ze Wschodu. Akcja została poświęcona też udziałowi Ukraińców polskiego pochodzenia oraz obywateli Polski w wydarzeniach na Wschodzie Ukrainy w latach 2014–2017. Ekspozycja – przedstawiona w sali kominkowej drugiej kaponiery, po raz pierwszy na Ukrainie – zawiera materiały, dokumenty historyczne, rodowody, zdjęcia poświęcone żołnierzom ATO, wolontariuszom, lekarzom polskiego pochodzenia, polskim obywatelom, którzy brali udział w wydarzeniach na Wschodzie Ukrainy w okresie 2014–2017.

Wśród gości, którzy zaszczylicili swoją obecnością to przedsięwzięcie byli: Z-ca Attaché Obrony przy Ambasadzie RP w Kijowie major Mariusz Sadowski, Kierownik Referatu Ambasady RP w Kijowie ds. współpracy naukowo-oświatowej Emilia Jasiuk, III Sekretarz Ambasady RP w Kijowie Wicekonsul Marek Gawin, Dyrektor Instytutu Stosunków Międzynarodowych i Lingwistyki im. Averroesa Walery Cybuch.

Polaków Ukrainy reprezentowali: Prezes Związku Polaków Ukrainy Antoni Stefanowicz, Prezes Związku Polaków w Kociubyńskim „Rodacy” Ludmiła Antonenko, przedstawiciele Polsko-Ukraińskiego Kulturowo-Oświatowego Stowarzyszenia „Krynica” i inni.

Z wielkim szacunkiem witano głównych uczestników projektu, w tym Ukraińców polskiego pochodzenia: żołnierza 93. Zmechanizowanej Brygady Sił Zbrojnych Ukrainy, lejtnanta Ołeksandra Sosowskiego (nazwiska polskich przodków: Szostak, Lachowski) z Łucka; żołnierza 5. Oddzielnego Batalionu Ukraińskiego Korpusu Ochotniczego Prawego Sektora Jurija

Rakowycza (nazwiska polskich przodków: Szaran) z Łucka; żołnierza Oddzielnego Plutonu Zwiadowczego 30. Zmotoryzowanej Brygady Sił Zbrojnych Ukrainy, starszego lejtnanta Wołodymyra Nieżenieckiego (nazwiska polskich przodków: Pawłowski, Maszkowski); sanitariusza Wiktora Milinczuka (przodkowie Zabłocy) z Żytomierza; pogranicznika Ołeksija Ławrynowicza (przodkowie – Wertelecki, Zwaliński); obrońcę strefy przemysłowej Awdijiwki Gleba Kozaczuka (polscy przodkowie: Słomczyńscy) z Kijowszczyzny; strzelca brygady przeciwlotniczej Romana Borytę (przodkowie: Licznarowski, Winiarski, Owsiak) z Gródka Podolskiego.

Z linii frontu przybyli też ochotnicy będący obywatelami Polski: Konrad Kamiński; instruktor w medycynie i bezpieczeństwa, Damian Duda; polska i ukraińska dziennikarka, wolontariusz Bianka Zalewska.

W wiecznej pamięci pozostaną imiona Ukraińców polskiego pochodzenia, którzy polegali podczas wydarzeń na Wschodzie Ukrainy w latach 2014–2017: strzelec 90. Batalionu Szturmowego „Cyborg” Bohater Ukrainy Igor Branowicki; starszy zwiadowca-strzelec 72. Zmechanizowanej Brygady Sił Zbrojnych, młodszy sierżant Maksym Słomczyński z Białej Cerkwi; dowódca rot saperów, kapitan Eugeniusz Saranawski; obrońca Awdijiwki, starszy sierżant Rusłan Piweń (nazwiska jego polskich przodków: Syczewski, Paździuch); „Cyborg”, starszy sierżant Andrij Hawryluk (z Hudeckich).

Część oficjalną rozpoczął występ Zasłużonej Wzorowej Orkiestry Reprezentacyjnej Sił Zbrojnych Ukrainy (kierownik artystyczny pułkownik Igor Bykowski), która wykonała hymny Ukrainy i Polski.

Pomysłodawczyni projektu, Prezes Związku Polaków m. Bojarki „Bez Granic” Helena Sedyk przedstawiła jego sens i aktualność w swym przemówieniu, kierując do gości następujące słowa: *„To wielki zaszczyt w tej sali Cytadeli Kijowskiej powitać gości, którzy sami, niczym żywa forteca stali i stoją na drodze wroga, broniąc każdego z nas. Mój ukochany Papież Jan Paweł II, podróżując po świecie i spotykając się z Polakami na wszystkich kontynentach, powiedział: «Polacy wiele przeszli i wiele wycierpieli, lecz nie stracili świadomości tego, że na świecie są wszystkim potrzebni i daj Boże, aby zawsze byli potrzebni, jak najbardziej potrzebni»”.*

Publiczność poruszyło wystąpienie autora oficjalnego hymnu ATO, pieśni „Bracia Ukraińcy”, Włodzimierza Gejzera, lidera zespołu „Szabla” i Zasłużonej Wzorowej Orkiestry Reprezentacyjnej Sił Zbrojnych Ukrainy pod batutą Igora Bykowskiego.

Imprezę wsparła aktywnie Ambasada i Wydział Konsularny Ambasady RP w Kijowie. W swym przemówieniu Z-ca Attaché Obrony przy Ambasadzie RP w Kijowie major Mariusz Sadowski oraz Wicekonsul Marek Gawin podkreślili ważne znaczenie wzmocnienia przyjaznych relacji Ukrainy i Polski. Wręczyli upominki uczestnikom projektu i rodzinom poległych Bohaterów.

Miłą niespodzianką dla wszystkich obecnych stał się list Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Ambasadora Ukrainy w Rzeczypospolitej Polskiej Andrija Deszczyca, który odczytał prowadzący, Wiceprezes Związku Polaków „Bez Granic” Eugeniusz Slepów.

W swym liście Ambasador w imieniu Ambasady Ukrainy w RP i własnym szczerze podziękował za inicjatywę powołania i prezentację projektu audiowizualnego „Razem – ramię przy ramieniu”. Zwrócił uwagę na to, że niejednokrotnie ukraińscy i polscy żołnierze, prezentując ogromny przykład wzajemnej pomocy, męstwa i bohaterstwa, ramię przy ramieniu stawiali opór wrogim agresorom, w ten sposób w dużej mierze przyczyniając się do bezpieczeństwa i rozwoju cywilizacji europejskiej. Przypomniawszy również, że co roku, w dniu 15 sierpnia Polska obchodzi rocznicę Bitwy Warszawskiej – wielkiego zwycięstwa nad inwazją bolszewicką w 1920 roku, która otrzymała nazwę „Cudu nad Wisłą”. Zaznaczył, że to zwycięstwo stało się jednym z wyraźnych przykładów sojuszu Wojska Polskiego i Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Hasło tamtych czasów „Za naszą i waszą wolność” jest nadal aktualne.

Prezes Związku Polaków Ukrainy Antoni Stefanowicz, który był współorganizatorem projektu „Razem – ramię przy ramieniu”, również podkreślił historyczne korzenie Ukrainy i Polski, akcentując na jedności naszych narodów.

W programie artystycznym wystąpiła aktorka Kijowskiego Akademickiego Teatru Młodego Anna Lew, ukraiński muzyk, kompozytor, producent i śpiewak Edward Dilija Prystupa, Irena Bonitenko, rycerz Jurij Szewczuk oraz jego uczniowie.

Następnie goście mogli się zapoznać z ekspozycją, porozmawiać z żołnierzami ATO i rodzinami poległych Bohaterów.

Wierzymy, że to tylko początek organizowania podobnych przedsięwzięć i że ilość ich uczestników będzie stale wzrastać, a ekspozycję można będzie obejrzeć nie tylko na Ukrainie, ale również w Polsce.

Chcielibyśmy podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do organizacji tej uroczystości: Administracji Muzeum „Cytadela Kijowska” w osobach Oksany Nowikowej-Wygran oraz Oksany Juszczenko, dyrektorowi firmy „Globalswit” Aleksandrowi Switelskiemu, projektantowi makiet Olegowi Kyrylukowi, administracji i pracownikom „Pizza Weterano”, prezesowi „Ligi Kobiet Kijowszczyzny” Natalii Ulianowej oraz wielu innym, którzy wsparli nasze przedsięwzięcie.

Oksana SLEPOWA

Członek Związku Polaków m. Bojarki „Bez Granic”

Oprac. tekstu Irena Rudnicka

Zdj. Ołeksandr Bielenkyj



Organizatorzy imprezy i krewni Bohaterów walk na Wschodzie

DZIENNIKARZE ZE WSCHODU W BELWEDERZE

W jednym z najbardziej ważnych miejsc stolicy Polski, w Rezydencji Prezydenta RP – Belwederze w dniu 26 września br. odbył się Walny Zjazd Stowarzyszenia Federacji Mediów Polskich na Wschodzie, zorganizowany przez dwie największe organizacje wspierające rozwój mediów polskich na Ukrainie, Białorusi, Litwie i Łotwie: Fundację „Wolność i Demokracja” i Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie”.

Zjazd rozpoczęła od uroczystej Mszy świętej w kaplicy belwederskiej (w której nb. w 1991 roku modlił się Papież Jan Paweł II) odprawionej przez ks. Leszka Kryżę, który zwracając się do zebranych m.in. powiedział: *„Jesteście odpowiedzialnymi szafarzami słowa i służycie słowu poprzez zaangażowanie w media [...]. Słowo człowieka może drugiego człowieka podnieść, ale i poniżyć, może być źródłem radości, ale może też być przyczyną smutku. Dlatego tak ważne jest, byśmy to nasze codzienne słowo pielęgnowali i przekazywali innym w jak najlepszym wydaniu. Żeby były to słowa, które niosą wartość i podnoszą, informują, uczą i wskazują drogę. Tego wam życzę i o to się szczerze modlę”*.

W pierwszej części obrad członkowie Federacji – redaktorzy polskich gazet, portali, programów radiowych i telewizyjnych, działających na Wschodzie mieli możliwość wysłuchać wystąpień przedstawicieli najwyższych polskich instancji państwowych, a mianowicie: Kancelarii Prezydenta RP w osobie Sekretarza Stanu w KPRP, Ministra Adama Kwiatkowskiego, Ministerstwa Spraw Zagranicznych w osobie Wiceministra Jana Dziedziczaka, Ministerstwa Obrony RP w osobie Wiceministra

Michała Dworczyka (założyciela Fundacji „Wolność i Demokracja”), Senatu RP w osobach senatora RP Artura Warzochy oraz dyrektora Biura Polonijnego wyższej izby polskiego parlamentu Grzegorza Seroczyńskiego.

Sekretarz stanu w MSZ Polski Jan Dziedziczak dobitnie ocenił funkcję, jaką pełnią dziennikarze na Wschodzie, zaznaczając: *„To jest pewien symbol, to jest symbol tego, jak Państwo dla państwa polskiego jesteście ważni. Wasza rola jest nie do przecenienia. Rola mediów polskich na Wschodzie to rola integracji środowiska polskiego, to rola kultywowania, przekazywania polskości, to rola wzajemnego informowania o tym, co wśród Polaków się dzieje, wymiany doświadczeń, wymiany pomysłów, wreszcie informowania nas, Polaków w kraju o tym, jak wspólną pracę Państwo wykonujecie na Wschodzie”*.

Prezes Fundacji „Wolność i Demokracja” Robert Marek Czyżewski w swym przemówieniu określił redaktorów mediów mniejszościowych jako „elitę polskości”. *„Nie ma możliwości utrzymania polskości bez trwania tej elity, ergo finansując media de facto, finansujemy odtwarzanie polskiej elity na Wschodzie”* – zaznaczył.

Mikołaj Falkowski, Prezes Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie, podkreślił, że od czasu powołania Federacji, to jest od 2014 roku, chociaż Fundacja przekazuje coraz większe środki na media na Litwie i Łotwie, to netto redakcje otrzymują mniej pieniędzy. Wynika to z wysokich kosztów usług i kosztów osobowych, bez których nie da się prowadzić działalności redakcyjnej i solidnie pełnić *„rolę adwokatów kultury, historii tradycji”*.



Nowo wybrany Prezes Federacji Mediów Polskich na Wschodzie Andrzej Pisalnik (pierwszy od lewej) w gronie kolegów po piórze tuż po zakończeniu obrad

W drugiej części przedsięwzięcia polscy dziennikarze i moderatorzy przedstawili aktualną sytuację mediów polskich w poszczególnych krajach, debatowali o tym, w jaki sposób rzetelnie promować polską kulturę, historię i polską rację stanu, jak też o tym, czym jest wolność słowa i jak jej bronić.

Zaznaczano, że media na Wschodzie w obecnej sytuacji politycznej mają nie tylko znaczenie w utrzymaniu polskiej tożsamości, przywiązania do języka i kultury, budowanie więzi z Polską, ale są też zaporą wobec niebezpiecznych wpływów Rosji.

Redaktor naczelny „Kuriera Galicyjskiego”, Miroslaw Maciej Rowicki, referując sprawy ukraińskie m.in. podkreślił: *„Ważne jest to, by Polacy na Ukrainie, będąc pełnoprawnymi członkami społeczeństwa, nie tylko ulegali wpływom swego otoczenia, ale również wpływali na to otoczenie. To jest szansa nie tylko Polaków na Ukrainie, ale też szansa Polski”*.

Finałem spotkania stały się wybory nowego prezesa Federacji, którym został Andrzej Pisalnik z Białorusi, redaktor naczelny portalu Znadniemna.pl oraz sekretarz Zarządu Głównego Związku Polaków na Białorusi. Zgodnie ze Statutem Federacji w skład jej pięcioosobowego Zarządu, przy jednogłośnie aprobach uczestników, wprowadzono redaktora naczelną „Magazynu Polskiego na uchodźstwie”, wiceprezes ZPB Irenę Waluś.

Warszawskie spotkanie medialne stało się kolejną, swoistą platformą wymiany informacji i doświadczeń między polskimi mediami na Wschodzie i instytucjami państwa polskiego. Uczestnicy forum wyrazili satysfakcję i wdzięczność za jego zorganizowanie oraz postulowali potrzebę dalszej integracji mediów polonijnych na Wschodzie poprzez kontynuację cyklicznych spotkań dziennikarzy.

*Stanisław PANTELUK
Zdj. Andżelika Płaksina*

**Uchwała nr 1/2017 podjęta przez dziennikarzy
polskich zrzeszonych w Federacji Mediów
Polskich na Wschodzie w trakcie
zjazdu walnego w Belwederze**

Warszawa 26 września 2017 r.

Dziennikarze polscy zrzeszeni w Federacji Mediów Polskich na Wschodzie stwierdzają, iż sytuacja polityczna w regionie Europy Wschodniej ulega stałemu pogorszeniu. Trwająca na Ukrainie agresja rosyjska zamienia się w konflikt o stałym charakterze, bez perspektyw

na szybkie rozwiązanie. Narasta polityczna i psychologiczna presja Moskwy na kraje bałtyckie. Na Białorusi media polskie, pomimo deklarowanego ocieplenia, wciąż mogą działać jedynie w warunkach konspiracji.

W obliczu tych faktów nadal aktualne pozostaje stwierdzenie, że media mniejszości polskiej, oprócz pełnienia tradycyjnych funkcji, stają się instrumentem realizacji polityki wschodniej państwa polskiego. Przecistawianie się agresywnej polityce Rosji jest bowiem elementem polskiej racji stanu.

Jest nim także przeciwdziałanie wszystkim tym tendencjom, które oddziałują wynaradawiająco na mniejszość polską, w tym agresywnej neosowietyzacji przestrzeni dawnego Związku Radzieckiego, na którą Rosja nie szczędzi środków ludzkich, ani finansowych.

Szczególnie w ostatnim czasie kolejną płaszczyzną polskiej polityki, na której media polskie poza granicami kraju mają kluczowe znaczenie, jest przekazywanie prawdziwych informacji na temat sytuacji w Polsce a także promocja Polski.

Niestety, musimy też przeciwdziałać, w stopniu możliwym do realizacji w krajach zamieszkania, pojawiającym się negatywnym tendencjom wewnętrznym, takim jak: radykalizacja nacjonalistyczna polityki historycznej na Ukrainie, próby ingerencji w szkolnictwo polskie na Litwie oraz Ukrainie i ograniczanie praw mniejszości polskiej, a nade wszystko gwałcenie podstawowych praw mniejszości polskiej na Białorusi, w tym niemożność legalnego działania Związku Polaków na Białorusi oraz brak wolności słowa, czego jaskrawym przykładem jest sytuacja mediów polskich w tym kraju.

Mając świadomość skali i powagi tych wyzwań, zwracamy się z tego miejsca do instytucji państwa polskiego z ponownym postulatem znaczącego zwiększenia zakresu finansowania mediów polskich na Wschodzie. Jak dowodzi praktyka, jego dotychczasowy wymiar, oscylujący wokół kwoty 7mln PLN skazuje nas na nieuchronną porażkę w konfrontacji z narastającymi zagrożeniami, a Polaków na Kresach pozostawia na łasce wrogich sił.

**Uchwała nr 2/2017 podjęta przez dziennikarzy
polskich zrzeszonych w Federacji Mediów
Polskich na Wschodzie w trakcie
zjazdu walnego w Belwederze**

Warszawa 26 września 2017 r.

Dziennikarze polscy zrzeszeni w Federacji Mediów Polskich na Wschodzie stwierdzają, że sytuacja mediów polskich na Białorusi jest wyjątkowo trudna i nie ulega

żadnym zmianom na lepsze, pomimo deklarowanych symptomów ocieplenia w relacjach między Polską a Białorusią.

Wyrażamy przekonanie, że konieczne i jak najbardziej potrzebne działania zmierzające do normalizacji oficjalnych stosunków polsko-białoruskich nie powinny odbywać się bez uwzględnienia obecnej, szczególnie trudnej kondycji Polaków na Białorusi w ogóle, a mediów w szczególności.

Zwracamy się o objęcie przez państwo polskie szczególną troską i uwzględnienie w postulatach politycznych kierowanych wobec władz Białorusi postulatów mniejszości polskiej, w tym dotyczących możliwości legalnego i nieskrępowanego działania w ramach Związku Polaków na Białorusi.

Zwracamy się także o uwzględnienie możliwości swobodnego korzystania przez Polaków na Białorusi prawa do wolności słowa, czego dobitnym i jedynym przejawem może być legalizacja Związku Polaków na Białorusi i polskich mediów Związku Polaków na Białorusi, do tej pory ukazujących się w konspiracji. Chodzi o następujące tytuły:

- Miesięcznik „Głos znad Niemna na uchodźstwie
- Miesięcznik Magazyn Polski na uchodźstwie
- portal internetowy znadniena.pl

Głęboko wierzymy, że władze Rzeczypospolitej Polskiej zechcą uwzględnić ten głos w swych działaniach politycznych wobec Białorusi.

**Uchwała nr 3/2017 podjęta przez dziennikarzy
polskich zrzeszonych w Federacji Mediów
Polskich na Wschodzie w trakcie
zjazdu walnego w Belwederze**

Warszawa 26 września 2017 r.

Dziennikarze polscy zrzeszeni w Federacji Mediów Polskich na Wschodzie postulują zachowanie obecnego systemu wspierania mediów polskich na Wschodzie za pośrednictwem dwóch organizacji: Fundacji „Wolność i Demokracja”, zaangażowanej na Ukrainie i Białorusi, oraz Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” operującej na Litwie i Łotwie. Uważamy, że ten system powinien zostać zachowany przy pełnym respektowaniu zasady, że mediami polskimi w jednym kraju opiekuje się jedna instytucja.

Pragniemy w tym miejscu wyrazić wdzięczność obu fundacjom za dotychczasowe zaangażowanie, które znacznie przekracza wymiar wynikający ze zobowiązań formalno-prawnych.

Dziennikarze polscy zrzeszeni w Federacji Mediów Polskich na Wschodzie zwracają się do Senatu RP o uwzględnienie w planie finansowania mediów polskich poza granicami kraju w roku 2018 następujących uwag, których uwzględnienie przyczyni się, naszym zdaniem, do zwiększenia efektywności realizowanego przez Senat RP programu pomocy dla mediów mniejszości polskiej:

Proponujemy harmonogram podejmowania decyzji, który zagwarantuje przekazanie środków finansowych mediom w terminie nie późniejszym niż koniec marca 2018 r. Późniejszy transfer środków poskutkuje – jak to miało miejsce w tym roku – zaległościami w wypłacie wynagrodzeń, naruszeniami prawa pracy poprzez nierealizowane obowiązki odprowadzania składek na ubezpieczenie zdrowotne i społeczne pracowników etatowych, wygeneruje wynikające z powyższego kary, wzbudzi nieufność w zespołach redakcyjnych, poczucie tymczasowości, w wielu wypadkach skłoni najlepszych i najsprawniejszych dziennikarzy do szukania innego miejsca zatrudnienia. Próba doraźnego zapobieżenia takiej ostateczności wiąże się z koniecznością obniżenia jakości pisma, np. poprzez rezygnację z atrakcyjnej szaty graficznej, zmniejszenie częstotliwości wydawania lub zmniejszenie nakładu. Ma to absolutnie dewastacyjny wpływ na morale zespołu, uniemożliwia też w praktyce jakiekolwiek plany rozwojowe.

Uważamy, że optymalnym rozwiązaniem byłoby podjęcie wysiłków celem stworzenia ram prawnych umożliwiających realizację dwuletnich planów finansowania mediów polskich na Wschodzie. Mamy świadomość ograniczeń, którym podlega Senat RP, doświadczyliśmy jednak dobrodziejstw funkcjonowania w reżimach dwuletnich, w poprzednich latach. Musimy odpowiedzialnie stwierdzić, że jakiekolwiek plany modernizacyjne, kampanie promocyjne oraz plany optymalizacji wydatków są możliwe jedynie w minimalnym, dwuletnim okresie, gwarantującym stabilność finansową. Nie dysponujemy możliwościami kredytowania naszej pracy, nie mamy oszczędności pozwalających na inwestowanie w okresach, kiedy nie otrzymujemy dotacji. Z natury rzeczy nie jesteśmy też mediami, od których można by oczekiwać, że będą przynosić dochód. W tej sytuacji postulat dwuletniego okresu dotacyjnego wydaje się jak najbardziej uzasadniony, a nawet jedynie racjonalny.

PAMIĘCI PROFESORA ZBIGNIEWA RELIGI

Marszałek Senatu RP Stanisław Karczewski w ramach październikowej wizyty na Ukrainę uczestniczył w ceremonii nadania imienia profesora Zbigniewa Religi Polskiej Bibliotece Medycznej w Kijowie.

Kreśląc sylwetkę prof. Religi Marszałek przypominał, że profesor był wybitnym lekarzem, chirurgiem i kardiochirurgiem, ale również naukowcem, politykiem i społecznikiem.

„Nie kryję wielkiego wzruszenia – przyznał Marszałek Karczewski – a po drugie, wielkiej radości. Dziękuję wszystkim inicjatorom, dzięki którym ta wspaniała sprawa powstała. Bardzo dziękuję rodzinie pana profesora Zbigniewa Religi za to, że przekazaliście Państwo zbiory na rzecz tej biblioteki. [...] Ta biblioteka ma w sobie duszę wielu stuleci. Przed chwilą trzymałem w rękach wolumen z 1541 roku. Tym bardziej się cieszę, że zbiory tej biblioteki wzbogacają się o dorobek profesora Religi. Miałem zaszczyt znać profesora Religę jako polityka. Wiedział, czego potrzebuje, nie dla siebie jednak. Wiedział, czego potrzebuje dla ludzi, dla obywateli, dla polskiej medycyny. To był człowiek brzydzący się niesprawiedliwością, korupcją i wszelką patologią w życiu politycznym i w swojej pracy lekarza. Jako Polak, przyjaciel Ukrainy, życzę, by Ukraina szła właśnie takim szlakiem. Polska, polski rząd, bardzo wspiera Ukrainę w dokonywaniu reform i na drodze do Unii Europejskiej”.

Kulminacją uroczystości stało się odsłonięcie tablicy pamiątkowej przy wejściu do Polskiej Biblioteki Medycznej. W uroczystościach wziął udział Ambasador RP Jan Piekło z Małżonką, Zastępca Ambasadora RP Jacek Żur, żona profesora Anna Waszczuk-Religa i syn Grze-

gorz, władze Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, Dyrektor Polskiej Biblioteki Medycznej w Kijowie Raisa Pawlenko, znakomici uczeni ukraińscy, w tym jeden z inicjatorów projektu – prof. Anatol Świącicki, dyplomaci, dziennikarze i inni szanowni goście.

Polska Biblioteka Medyczna została otwarta rok temu w Kijowie. Wcześniej była działem przy Narodowej Bibliotece Medycznej w stolicy Ukrainy. Polscy lekarze, wydawnictwa i osoby prywatne przekazały już bibliotece 6,5 tys. czasopism i książek, wśród których jest księgozbiór prof. Religi.

Od 1969 roku biblioteka znajduje się w zabytkowym budynku stolicy przy ul. Lwa Tołstoja 7, który na początku XX wieku był własnością jednego z milionerów-dobroczyńców, założyciela „Spółki braci Tereszczenków” Aleksandra Tereszczenki.

Dziś biblioteka jest narodowym księgozbiorem literatury medycznej Ukrainy i Polski, naukowo-informacyjnym centrum dla uczonych, praktyków-lekarzy, studentów, jak też fachowców z innych dziedzin nauki i przemysłu, pracujących nad rozwojem publicznej opieki zdrowotnej na Ukrainie. Corocznie obsługuje ona ponad 40 tys. czytelników. Dla nich udostępniono siedem specjalistycznych czytelni, gdzie jednorazowo może pracować około 300 użytkowników.

Placówka wyposażona jest w nowoczesny sprzęt komputerowy, umożliwiający użytkownikom biblioteki korzystanie z mikrofilmów, zasobów cyfrowych, a bibliotekarzom katalogowanie zbiorów bibliotecznych i udostępnianie ich online.

KOS



Marszałek Senatu Stanisław Karczewski (Ś) i Adam Bala (P) – Prezes Polsko-Ukraińskiej Fundacji im. I.J. Paderewskiego przekazali na ręce dyrektora Biblioteki Narodowej Nauk Medycznych Raisy Pawlenko portret prof. Religi i kilka najnowszych wydawnictw medycznych

SPOTKANIE Z RODAKAMI

W gmachu Ambasady RP na Ukrainie 12.10.2017 r. Marszałek Senatu RP Stanisław Karczewski spotkał się z przedstawicielami organizacji i środowisk polskich Kijowskiego Okręgu Konsularnego.

Rozmowa dotyczyła kwestii związanych z oświatą i nauką języka polskiego, sposobem finansowania przez Senat organizacji polonijnych, kontaktami młodzieży polskiej i ukraińskiej, przyjazdami ukraińskiej młodzieży polskiego pochodzenia do Polski.

W trakcie informowania zebranych na temat Karty Polaka okazało się, że od samego początku jej istnienia złożono ponad 300 tys. wniosków o jej wydanie, a 70 tys. zostało wydanych. Zaznaczano, że wielu Ukraińców (duża część z nich jest polskiego pochodzenia) wyjeżdża do Polski i tutaj studiuje lub pracuje. Marszałek potwierdził, że obecnie 30 tys. obywateli Ukrainy studiuje w Polsce i coraz więcej młodych obywateli Ukrainy uczy się też w polskich szkołach ogólnokształcących.

Poruszano problemy, z którymi stykają się społecznicy polskich środowisk, a z drugiej strony podkreślano ogrom dobrej pracy poczynionej przez nich na rzecz pielęgnowania polskości.

Stanisław Karczewski zapewnił, że Senat będzie w miarę możliwości wspierał tego rodzaju działania i poinformował, że w projekcie budżetu na rok 2018 prze-

widziano 100 mln zł dla Senatu na opiekę nad Polakami za granicą (od kilka lat z rządu kwota ta wynosiła 75 mln złotych).

Marszałek wyraził nadzieję, że kwota ta nie tylko nie zostanie zmniejszona, lecz z czasem wzrośnie i zapewnił, że Senat w miarę możliwości będzie wspierał też projekty w zakresie organizacji szkoleń kadry pedagogicznej dla ośrodków edukacyjnych, działających w środowiskach Polaków mieszkających na Ukrainie.

Poruszono też temat przypadającej w następnym roku 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę. Głównym polonijnym wydarzeniem jubileuszowego roku będzie Światowy Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy pod hasłem „Łączy nas Niepodległa”.

W kwestiach organizacyjnych dyrektor senackiego Biura Polonijnego Grzegorz Seroczyński przypomniał zebranym, że oferty i wnioski do Biura przyjmowane będą do 30 listopada 2017 r. Zaapelował również do zgłaszania na stronę internetową (do zakładki „Opieka Senatu nad Polonią”) zaplanowanych na przyszły rok uroczystości, przedsięwzięć, projektów organizowanych w ośrodkach polskich na Ukrainie w związku z obchodami 100. rocznicy niepodległości Polski.

Antoni KOSOWSKI



Sala Ambasady RP na Ukrainie. Spotkanie z przedstawicielami organizacji i środowisk polskich Kijowskiego Okręgu Konsularnego. Przemawia Marszałek Senatu RP Stanisław Karczewski

ULICA I MURAL JANA PAWŁA II W KIJOWIE

15 października br. w Kijowie w podniosłej atmosferze nastąpiło oficjalne otwarcie ulicy Jana Pawła II oraz odsłonięcie muralu z Jego wizerunkiem na jednym z budynków przy tej ulicy.

Uroczystości rozpoczęła Msza św. w kościele św. Mikołaja. Z ust biskupa Krywyckiego zabrzmiały słowa Ojca Świętego wypowiedziane we Lwowie w dniu 26 czerwca 2001 roku, podczas Jego pielgrzymki na Ukrainę: *„Niech przebaczenie – udzielone i uzyskane – rozleje się niczym dobroczynny balsam w każdym sercu. Niech dzięki oczyszczeniu pamięci historycznej wszyscy będą gotowi stawiać wyżej to, co jednaczy, niż to, co dzieli, ażeby razem budować przyszłość opartą na wzajemnym szacunku, na braterskiej wspólnotcie, braterskiej współpracy i autentycznej solidarności”*.

Ukraiński duchowny arcybiskup Szewczuk nazwał Jana Pawła II „patronem pojednania polsko-ukraińskiego”. *„Chciałbym życzyć mieszkańcom Kijowa, by nie tylko chodzili po ulicy imienia Jana Pawła II, ale też żeby podążali drogą, którą nam wskazał. Ten Papież burzył mury, które rozdzielały Europę i budował jedność między krajami i narodami. Sądzę, że swym dziełem wzmacniania godności człowieka Jan Paweł II dał też natchnienie Rewolucji Godności na Ukrainie”* – mówił abp Szewczuk.

W ceremonii oficjalnego otwarcia ulicy, przy licznie zgromadzonej publiczności, wzięli udział: Ambasador RP na Ukrainie Jan Piekło, pierwszy sekretarz nuncjatury apostolskiej na Ukrainie Monsignor Joseph Grech, poseł na Sejm RP Marcin Porzucek, przewodniczący administracji peczerskiej dzielnicy stolicy Serhij Martyniuk. Obecni byli również przedstawiciele korpusu dyplomatycznego akredytowani w Kijowie, deputowani Rady Najwyższej: Mustafa Dżemilew i Mykoła Kniażyckij, przedstawiciele władz miasta i społeczności polskiej Kijowa, dziennikarze prasowi i telewizyjni.

Ojciec Święty Franciszek wysoko ocenił i pobłogosławił inicjatywę upamiętnienia postaci Świętego Jana Pawła II i wyraził życzenie: *„by jasny przykład nauczania niezapomnianego Papieża stał się zachętą, byście nadal podążali drogą chrześcijańskiego służenia bliźniemu”*.

Posł na sejm Marcin Porzucek odczytał list przewodniczącej sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą Anny Schmidt-Rodziejewicz, w którym m.in. zaznaczono: *„Ukraina ma oczywiste powołanie europejskie, dodatkowo podkreślone przez chrześcijańskie korzenie waszej kultury [...] Niech testament św. Jana Pawła*



II będzie źródłem siły dla lokalnej społeczności i budulcem jej tożsamości”.

W ramach dekomunizacji zmiana nazwy ulicy w znacznym stopniu nastąpiła dzięki staraniom miejscowych Polaków, zrzeszonych w organizacjach stolicy, i po niemal dwuletnich staraniach Stowarzyszenia Polskich Przedsiębiorców na Ukrainie.

Powszechnie znana z charytatywnych poczynań firma „Plastics Ukraina”, na czele z dyrektorem Ireneuszem Derek, sfinansowała i wykonała 150 tablic z nową nazwą ulicy.

Prezes SPP na Ukrainie Piotr Ciarkowski, dziękując za okazane wsparcie osobiście Prezydentowi Kijowa i wszystkim, którzy przyczynili się do realizacji tej idei, zaznaczył: *„Myszę, że dzisiejsze wydarzenie będzie kolejnym krokiem do zbliżenia naszych narodów, a słowa, które zabrzmiały dziś o tym, że Jan Paweł II jest patronem polsko-ukraińskich stosunków – zapadną każdemu z nas głęboko w serce”*.

Stanisław PANTELUK
Zdj. Andżelika Płaksina

PIĘKNY JUBILEUSZ

7 października br. odbył się Festiwal Kultury Polskiej „Polskie Barwy Kijowszczyzny”, zorganizowany z okazji solidnego jubileuszu 20-lecia Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Z. Krasińskiego w Białej Cerkwi – najstarszej organizacji polonijnej działającej w mieście.

Biała Cerkiew to miasto liczące już niemal 1000 lat, w którym od dawna zamieszkują przedstawiciele ponad 60 narodowości, w tym i Polacy. Gród nad rzeką Roś założył książę kijowski Jarosław Mądry, aby bronił stolicę Rusi przed najazdami koczowników. W czasach Rusi Kijowskiej nosił on nazwę Jurijew. Wiąże się z nim wiele ważnych kart w historii Ukrainy i Polski. Wkrótce po podpisaniu Unii Lubelskiej w 1620 roku otrzymał on prawa miejskie na prawie magdeburskim. Pomijając dalsze szczegóły z burzliwych dziejów tego miasta, nie można jednak nie odnotować, że w 1774 roku Stanisław August Poniatowski nadał Białą Cerkiew hetmanowi Franciszkowi Ksaweremu Branickiemu i była ona w posiadaniu tego rodu aż do 1914 roku. Stąd też nic dziwnego, że na terenie regionu działa dziś kilka polskich stowarzyszeń, które wspierają i rozwijają polską kulturę i tradycję.

Powstałe 20 lat temu Stowarzyszenie Kultury Polskiej im. Z. Krasińskiego jest znane nie tylko w Białej Cerkwi, może poszczycić się licznymi osiągnięciami.

Przy Stowarzyszeniu funkcjonuje sobotnia szkoła polska, w której dzieci uczą się języka polskiego i gdzie systematycznie organizowane są spotkania poświęcone polskim pisarzom, poetom, ciekawym obiektom i miejscowościom w Polsce, pięknym tradycjom narodu polskiego.

Stałą pozycją w programie działań Stowarzyszenia jest organizowanie corocznych festiwali Kultury Polskiej oraz konferencji naukowych, szeroka i konsekwentna promocja kultury polskiej w mieście i regionie. Od chwili powstania Stowarzyszeniem kieruje nim Helena Chomenko – Zasłużona dla Kultury Polskiej, która zadziwia wszystkich swoją rozległą wiedzą, pracowitością, pomysłowością, kulturą osobistą. Pani Chomenko jest wspaniałą propagatorką języka polskiego i polskiej kultury.

Patronem Stowarzyszenia jest Zygmunt Krasiński – jeden z Trzech Wieszczów epoki romantyzmu, znakomity poeta, człowiek, prawdziwy polski patriota.

Na jubileuszową uroczystość, która odbyła się na przytulnym dziedzińcu otoczonym szeregiem Kramów Handlowych (przypominającym krakowskie Sukienice), przybyło całe mnóstwo gości z różnych miast: społeczników, dziennikarzy, prezesów polskich stowarzyszeń narodowo-kulturalnych, przedstawiciele sto-



Prezes Związku Polaków na Ukrainie Antoni Stefanowicz za 20-letnią owocną pracę w dziedzinie promowania kultury polskiej przekazał na ręce Prezes Heleny Chomenko dyplom uznania oraz okolicznościowe prezenty

warzyszeń innych narodowości, reprezentantów władz oraz liczne grono mieszkańców Białej Cerkwi.

Wszystkich powitała dziecięca orkiestra ze Szkoły Plastycznej nr 6 pod batutą Stanisława Żukowskiego. Repertuar obejmował ukraińskie i polskie utwory muzyczne.

Otwierając Festiwal wicemer miasta Borys Smutek złożył wszystkim obecnym gratulacje z okazji 20. rocznicy powstania Stowarzyszenia.

„Bardzo dobrze, że szanujecie swoje polskie korzenie i swoją polską kulturę, z którą się utożsamiacie. My, ze swej strony zrobimy wszystko co niezbędne, aby Stowarzyszenie kontynuowało swoją działalność i rozwój, gdyż sprzyjać to będzie stabilizacji stosunków polsko-ukraińskich” – zaznaczył mówca.

Ze strony polskiej Jubileusz zaszczylicili swoją obecnością Kierownik Wydziału Konsularnego przy Ambasadzie RP w Kijowie Tomasz Dederko i attaché Wydziału Konsularnego Iga Kaca, którzy wręczyli dyplomy uznania i prezenty najaktywniejszym działaczom oraz sympatykom Stowarzyszenia, pracującym w miejscowych urzędach i zaangażowanym w jego działalność.

„Powiem tak, że przede wszystkim, nie zważając na mrozy, ulewy czy inne metaforyczne ujemne czynniki całą grupę zawsze prowadzi prezes. I taką właśnie osobą, takim liderem Stowarzyszenia jest Pani Helena Chomenko. Nie raz przekonałem się osobiście, że zawsze wszędzie ona dociera i zawsze wszystkim pomaga. Serdecznie dziękuję i życzę obfitości sił Pani Helenie, niezbędnych ku temu, żeby Stowarzyszenie nadal prężnie działało. Dziękuję też władzom Białej Cerkwi, które czynnie sprzyjają funkcjonowaniu na swoim terenie stowarzyszeń polskich, kultywujących polskość...” – podkreślił Konsul Generalny.

Słowa uznania i dyplomy za wieloletnią pracę dla Pani Prezes i najaktywniejszych członków Stowarzyszenia przekazał także Prezes Związku Polaków na Ukrainie Antoni Stefanowicz, który zaznaczył: *„Znamy się z Panią Heleną już ponad 20 lat. Prowadzi ona wielokierunkową działalność, już w ciągu kilka kadencji pełni obowiązki wiceprezesa ZPU, jest także członkinią Rady Społecznej przy Ministerstwie Kultury Ukrainy. W imieniu całego Związku Polaków na Ukrainie, który w roku następnym świętować będzie 30-lecie, życzę Stowarzyszeniu kolejnych wspaniałych jubileuszy!”*

Wielokrotnie w czasie uroczystości padały pod adresem członków Stowarzyszenia słowa uznania i gratulacji z ust przedstawicieli organizacji społecznych, instytucji kultury miasta, od prezesów narodowo-kulturalnych stowarzyszeń, absolwentów polskiej szkoły

sobotniej i po prostu przyjaciół i sympatyków Stowarzyszenia.

Świąteczny koncert zainaugurowali oczywiście gospodarze. Od roku 2002 przy Stowarzyszeniu działa zespół wokalny „Biała Cerkiew” (koncertmistrz Zasłużona dla Kultury Polskiej Irena Lewiszczenko), posiadający w swoim repertuarze wiele piosenek ludowych i estradowych, którymi urozmaicił święto. Od wielu lat zespół uczestniczy w różnorodnych konkursach i festiwalach kultury polskiej, przeprowadzanych na Ukrainie i w Polsce. W 2017 roku zdobył III miejsce na XXVI Światowym Festiwalu Poezji Marii Konopnickiej.

Piękny był także występ Zespołu Pieśni i Tańca „Polanie znad Dniepru” z Kijowa pod kierownictwem Zasłużonej dla Kultury Polskiej Lesi Jermak, który zaprezentował widzom tradycyjne i nowoczesne kompozycje wokально-taneczne.

Następnie Zasłużona dla Kultury Polskiej i Ukrainkiej, solistka Opery Krakowskiej Irena Zacharko, która mistrzowsko wykonała utwór „Tańczące Eurydyki” z repertuaru słynnej polskiej piosenkarki Anny German.

Wiersz Juliana Tuwima „Ojczyzna” zadeklamował laureat Konkursu im. A. Mickiewicza „Kresy” i zwycięzca Międzynarodowego Konkursu poezji Marii Konopnickiej Rusłan Skowronski.

Prawdziwymi perełkami były: występ dziecięcej grupy tanecznej „Perełka” z Białocerkiewskiej Szkoły Artystycznej, grupy wokalne Towarzystwa Polaków Białocerkiewszczyzny, zespołu Białocerkiewskiego Stowarzyszenia Niemców „Wiedergeburt”.

Na zakończenie koncertu wystąpili goście honorowi Festiwalu – grupa Ukraińskiej Muzyki Dawnej «Хорея козацька» z liderem – kobzarzem Tarasem Kompanichenko. W ich wykonaniu zabrzmiały ukraińskie balady i modlitwy wieku XIV-XVII stulecia, w tym polska pieśń religijna i pierwszy hymn Polski „Bogurodzica”.

Podsumowując wydarzenie, Prezes Helena Chomenko zaznaczyła: *„20 lat – to solidny Jubileusz! Stowarzyszenie w ciągu tych lat ukształtowało się ostatecznie, wyznaczając główne kierunki działalności. Cieszy fakt, że w naszych szeregach coraz więcej jest właśnie młodych ludzi. Niektórzy z nich nawet wyrosli na naszych oczach. A to, że młodzież garnie się do nas – jest najlepszym świadectwem tego, że jest u nas coś ciekawego, że jesteśmy na dobrej drodze!”*.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora

ROZMOWY O JĘZYKU

17 października 2017 r. w Kijowie Minister Edukacji Narodowej Polski Anna Zalewska przeprowadziła rozmowę z Minister Edukacji Ukrainy Lilią Hrynewycz na temat niedawno przyjętej nowej ustawy oświatowej Ukrainy. Polska chce, by jej mniejszość polska zamieszkała na Ukrainie miała zagwarantowane prawo do nauki w języku ojczystym.

Ustawa mówi, że mniejszości narodowe na Ukrainie mają zagwarantowane prawo do nauczania w językach ojczystych w przedszkolach państwowych i klasach początkowych. Na późniejszym etapie głównym językiem wykładowym ma być jednak ukraiński. Szkoły mniejszości narodowych, gdzie większość przedmiotów jest wykładana obecnie w językach tych mniejszości, będą musiały przejść na ukraiński.

Strony ustaliły, że przedstawiciele rządów Polski i Ukrainy w najbliższym czasie podpiszą deklarację, która będzie potwierdzeniem umów dwustronnych i międzynarodowych gwarantujących mniejszościom narodowym na Ukrainie prawo do nauczania w języku ojczystym. *„Ta deklaracja ma uspokoić Polaków żyjących na Ukrainie i uczących się języka ojczystego, że prawo gwarantuje im nauczanie w tym języku”* – powiedziała po spotkaniu Anna Zalewska.

Z kolei ukraińska minister wyjaśniła, że wątpliwości strony polskiej wywołał zapis ustawy mówiący o tym, że część przedmiotów w szkołach podstawowych i średnich „może być” wykładana w języku mniejszości narodowych, czyli – w tym przypadku – po polsku. W przygotowywanej deklaracji znajdzie się zapewnienie, że prawo do nauczania w szkołach w języku polskim będzie „zagwarantowane”. Odpowiedni wpis na ten temat ma się też znaleźć w nowej ukraińskiej ustawie o szkolnictwie średnim.

We wrześniu o nowej ustawie rozmawiał podczas wizyty na Ukrainie polski Wiceminister Spraw Zagranicznych Bartosz Cichocki. Polskie MSZ przekazało w komunikacie, że proces zmian ukraińskiej ustawy o oświacie był mu znany od początku, a *„strona ukraińska podkreślała konsekwentnie, że celem ustawy [...] nie jest rugowanie języków mniejszości narodowych”*.

Przed spotkaniem z Ministrem Oświaty i Nauki Ukrainy Lilią Hrynewycz przebywająca w Kijowie Minister Edukacji Narodowej RP Anna Zalewska zawiązała do siedziby Związku Polaków na Ukrainie oraz do kijowskiego biura Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie.

KOS



O aktualnym stanie nauczania języka polskiego na Ukrainie delegacja z Polski na czele z Minister Anną Zalewską (pośrodku) rozmawiała w siedzibie Związku Polaków na Ukrainie

WIZYTA POLSKIEGO MINISTRA

W dniach 22-23 października 2017 r. Wicepremier, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP prof. Piotr Gliński przebywał z wizytą na Ukrainie.

Wizytę rozpoczął od złożenia wieńca z kłosami zboża pod Pomnikiem Ofiar Wielkiego Głodu 1932-1933 w Kijowie oraz odwiedzenia muzeum ofiar Wielkiego Głodu i Twierdzy Kijowskiej Skośna Kaponiera, w której znajduje się Izba Pamięci Powstania Styczniowego. Przed Krzyżem Niebiańskiej Sotni, upamiętniającym protesty na Majdanie Niepodległości, Wicepremier złożył kwiaty.

Ważnym punktem wizyty były uroczystości na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni ku czci Polaków zamordowanych z rozkazu Stalina w Kijowie w 1940 roku. W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele instytucji historycznych oraz bliscy ofiar.

– *Dziś oddajemy hołd tym wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej, dla których honor i ojczyzna były największą wartością. Tym wszystkim, których sam fakt istnienia był dla sowieckiego reżimu śmiertelnym zagrożeniem* – powiedział Wicepremier. – *Nie zapominamy też o wcześniejszych ofiarach terroru, których setki tysięcy zgładzono w wyniku stalinowskich czystek w latach 30. XX wieku. Wiele z tych ofiar spoczywa tutaj w ukraiń-*

skiej części memoriału, a wśród nich nasi rodacy zamordowani w wyniku tzw. operacji polskiej NKWD z lat 1937-38, kiedy to ponad 110 tys. osób straciło życie tylko za to, że byli Polakami.

Obecny na uroczystości Minister Kultury Ukrainy Jewhen Nyszcuk nazwał cmentarz w Bykowni miejscem świętym dla Polaków i Ukraińców i zaznaczył, że zadaniem współczesnych jest przekazanie pamięci o zbrodni przyszłym pokoleniom.

– *Przychodzimy tutaj co roku, by oddać hołd pamięci niewinnie zabitych, którzy spoczęli w jednej z największych zbiorowych mogił w Europie. Dziś naszym świętym obowiązkiem jest pielęgnowanie pamięci o ofiarach tej zbrodni, by nigdy więcej nie mogła się ona powtórzyć* – podkreślił Jewhen Nyszcuk.

Po uroczystych przemówieniach i złożeniu wieńców na grobach masowych została odprawiona Msza św. w intencji pomordowanych przez sowietów.

W poniedziałek 23 października Wicepremier Piotr Gliński spotkał się z ukraińskimi urzędnikami. Tematem rozmów były m.in. kwestie historyczne oraz sprawa poszukiwań i ekshumacji zmarłych.

Olga OZOLINA



Ministrowie Kultury Polski i Ukrainy Piotr Gliński (L) i Jewhen Nyszcuk (P) oddali hołd ofiarom totalitaryzmu spoczywającym na cmentarzu w Bykowni

JUBILEUSZ KIJOWSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ

26 października br. w Kijowie, w uroczystej atmosferze obchodzono 65. rocznicę założenia stołecznej biblioteki noszącej dziś imię Adama Mickiewicza.

W ten świąteczny dzień biblioteka witała swoich gości chlebem i solą oraz ciekawym, patriotycznym programem artystycznym. Były w nim zarówno ukraińskie, jak i polskie ludowe i współczesne utwory poetyckie, instrumentalne i wokalne. I nic w tym dziwnego, wszak spotkanie odbywało się w gościnnych murach jednej z najstarszych bibliotek w Kijowie. Tutaj od ponad ćwierćwiecza przeprowadzane są różnorodne imprezy. Tutaj na swoich posiedzeniach spotykają się członkowie jednej z najstarszych polskich stowarzyszeń w Kijowie, które również nosi imię wielkiego polskiego poety.

W gościnnych progach tej placówki społecznicy z Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego im. Adama Mickiewicza organizują konferencje naukowe, prezentacje, tematyczne wieczory i obchodzą tradycyjne polskie święta.

Tego wieczoru liczni goście wypowiedzieli mnóstwo słów wdzięczności i dobrych życzeń dalszych sukcesów. A przybyli na Jubileusz, na zaproszenie dyrektora biblioteki – Tetiany Jewhomiszcz, m.in. przedstawiciele władz miasta Kijowa, Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, instytucji kultury i sympatycy biblioteki.

Szczególne słowa podziękowania za wieloletnią owocną i pożyteczną współpracę zabrzmiały z ust Prezes Stowarzyszenia Ireny Gilowej.

Ambasadę Rzeczypospolitej Polskiej reprezentował Konsul Generalny RP w Kijowie Tomasz Dederko oraz Attaché ds. konsularnych Iga Kaca, którzy w serdecznych słowach złożyli gratulacje Jubilatce oraz wręczyli prezenty wszystkim współpracownikom biblioteki.

Spotkanie było znakomitą okazją do integracji polskiej i ukraińskiej społeczności Kijowa.

Życzymy Kijowskiej Bibliotece im. Adama Mickiewicza 100 lat!

Andżelika PŁAKSINA



Konsul Generalny RP w Kijowie Tomasz Dederko wręczył dyrektor Bibliotece im. A. Mickiewicza Tetianie Jewhomiszcz dyplom uznania

„DNI POLSKIEGO BIZNESU NA UKRAINIE”

W dniach 26 (Kijów) – 27 października (Odessa) 2017 roku w Ukrainie odbyło się dwudniowe VII Międzynarodowe Forum „Dni Polskiego Biznesu na Ukrainie”.

Forum zostało zorganizowane przez Międzynarodowe Centrum Prawnicze „Eucon” i Zrzeszenie Ukraińskiego Biznesu w Polsce przy wsparciu Ministerstwa Infrastruktury Ukrainy. Patronat nad wydarzeniem objęła Ambasada RP w Kijowie.

Forum rozpoczęło swoją historię w 2014 roku i od tej pory corocznie jest przeprowadzane jesienią w Kijowie i wiosną w Warszawie. Gromadzi ono przedstawicieli władzy i wspólnoty biznesowej Ukrainy i Polski w celu rozwoju polsko-ukraińskich stosunków handlowo-gospodarczych, poszukiwania i realizacji projektów biznesowych i zwiększenia dopływu inwestycji w gospodarkę ukraińską. Forum ma też swój praktyczny wymiar, w którym przedsiębiorcy z Polski i Ukrainy opisują swoje doświadczenia we wchodzeniu na rynki zagraniczne.

W VII Forum wzięli udział przedstawiciele władz państwowych i samorządu terytorialnego, instytucji finansowych, specjalnych stref ekonomicznych, inwestorzy, przedsiębiorcy i czołowi eksperci w tej dziedzinie.

Kluczowe tematyki tegorocznego forum to:

- Polsko-ukraińska współpraca w sektorze infrastruktury transportowej i logistyki;

- Perspektywy współpracy polsko-ukraińskiej w sektorze energetycznym, w tym „zielonej energetyki”;
- Instrumenty pozyskiwania finansowania z UE i Polski;
- Projekty inwestycyjne i atrakcyjność inwestycyjna regionów.

W pracach kijowskiego Forum udział wzięli m.in. Z-ca Ambasadora RP Jacek Żur, Radca Krzysztof Siwek – prowadzący na Ukrainie projekt pomocowy z ramienia Ministerstwa Rozwoju oraz Wiceminister Infrastruktury Ukrainy Wiktor Dowhań. Ponadto uczestniczyło w nim wielu ukraińskich i polskich przedstawicieli biznesu i administracji publicznej.

27 października w Odessie odbyła się druga część Forum, w formacie „Okrągłego Stołu” i dyskusji panelowej, przy współudziale przedstawicieli polskiego rządu, Stowarzyszenia Biznesu Ukraińskiego w Polsce, a także przedstawicieli przedsiębiorstw infrastruktury i urzędu celnego regionu odeskiego.

Skupiono się tam na kwestiach transportu morskiego oraz wyzwaniach logistycznych stojących przed krajami regionu Morza Bałtyckiego i Morza Czarnego.

AP



Przemawia jeden z organizatorów Forum – Prezes Zarządu Międzynarodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Polskich na Ukrainie Piotr Ciarkowski

ZJAZD ABSOLWENTÓW

W zjeździe (26-28 października br.) uczestniczyli w Kijowie absolwenci polskich programów stypendialnych z całej Ukrainy. Jest to cykliczna inicjatywa (to już jedenasty zjazd) Ambasady RP na Ukrainie, która po raz pierwszy została zrealizowana 11 lat temu, w Roku Jerzego Giedroycia.

Absolwenci to młodzi artyści, muzycy, malarze, którzy rozwijali swój warsztat w oparciu m.in. o udział w Programie Gaude Polonia; politolodzy, którzy uczestniczyli w różnych programach Studium Europy Wschodniej, jak również młodzi ludzie z Programu Banacha, pozwalającego za darmo studiować przez kolejne lata w Polsce, na polskich uczelniach, które sami wybrali. Studiować mogli dlatego, że okazali się najlepsi!

Dla absolwentów tegorocznego zjazdu przygotowano atrakcyjny i urozmaicony program.

Na początku odbyło się spotkanie przedstawicieli programów stypendialnych z Zarządem Stowarzyszenia Ukraińskiej Grupy Regionalnej Absolwentów Kolegium Europejskiego na temat integracji stypendystów.

Wśród honorowych gości zjazdu był Zastępca Dyrektora Departamentu Współpracy Rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP Marek Kuberski.

Inaugurując przedsięwzięcie Radca Ambasady RP na Ukrainie ds. współpracy naukowo-oświatowej Emilia Jasiuk podkreśliła:

„Dzisiejsze wydarzenie ma na celu integrację środowiska ukraińskich absolwentów polskich programów stypendialnych i jego założeniem jest zaprezentowanie najlepszych dokonań ukraińskich absolwentów, którzy po powrocie z programów stypendialnych zrealizowali konkretne projekty w najróżniejszych dziedzinach. Często są to projekty współrealizowane z partnerami polskimi, bardzo ważne dla wzajemnych relacji, dla zacieśnienia kontaktów między naszymi społeczeństwami, między środowiskami w określonych specjalnościach”.

W ostatnim dniu zjazdu na Scenie Kameralnej Teatru im. Iwana Franki w dynamicznej i bezpośredniej atmosferze absolwenci zaprezentowali swoje osiągnięcia w różnorodnych płaszczyznach współpracy z Polską.

AP

(Zdj. autora)



Występują absolwenci Roksana Hysa (fortepian) i Andrij Olenyn (śpiew)

MODLITWA I ZNICZE NA POLSKICH GROBACH W KIJOWIE

W dniu Wszystkich Świętych, a także w następny Dzień Zaduszny (2 listopada) Polacy odwiedzają cmentarze, aby ozdobić groby kwiatami i zapalić znicze. Podobnie było w tym roku.

Uroczystości na polskich cmentarzach i miejscach upamiętniających Polaków w Kijowie zorganizowały polskie placówki dyplomatyczne. *(Inf. własna)*

Mszę św.
na cmentarzu Bajkowa
w Kijowie celebrował
ks. Michał Brankiewicz



Chwila zadumy... Kijów, cmentarz w dzielnicy Darnica

ODKRYWANIE PIĘKNA POLSKIEJ POEZJI

Najpiękniejsze wiersze znanych polskich poetów zabrzmiały na XXVI Konkursie Recytatorskim im. Adama Mickiewicza „Kresy 2017” w Kijowie. Tradycyjnie już jego organizatorami byli Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie oraz Dom Polski w Kijowie przy wsparciu Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie i Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Konkurs „Kresy” jest dla środowisk polskich wyjątkowym świętem kultury i języka polskiego, dobrą okazją do spotkań i dyskusji. Nieustającą, choć nie jedyną inspiracją w konkursie jest poezja Adama Mickiewicza. Każdego roku wersy z „Pana Tadeusza” czy „Dziadów” recytatorzy odkrywają na nowo.

W tym roku warsztaty eliminacyjne prowadziły wspaniałe instruktorki z Polski: Agnieszka Harasimowicz i Jagna Polakowska – aktorki Teatru Lalek z Olsztyna.

Co dotyczy kwestii organizacyjnych, podkreślić należy korzystne znaczenie dla recytatorów intensywnych warsztatów poprzedzających ich wystąpienia konkursowe.

W dniu 5 listopada br. młodzieńczy gwar wypełnił ciche zazwyczaj sale Państwowego Muzeum Wybitnych Działaczy Kultury Ukraińskiej im M. Łysenki, gdzie odbywało się przesłuchiwanie 101 uczestników Konkursu.

Jury w składzie: Teresa Dutkiewicz (wiceprezes FOPnU), Attaché Wydziału Konsularnego RP Klaudia Tenoudji oraz Attaché Iga Kaca – pracy miały co

niemiara: przez cały dzień przesłuchiwały recytatorów podzielonych na trzy grupy wiekowe. Jurorzy brali pod uwagę przede wszystkim dobór repertuaru, wartości artystyczne utworów i wykonanie – technikę oraz siłę wyrazu artystycznego.

Zwycięzcami w starszej grupie zostali: Inna Kriuczukowa z Kropywnyckiego oraz Aleksandra Kornilowa z Browarów. Będą one reprezentowały Ukrainę na eliminacjach finałowych konkursu „Kresy 2017” w Białymstoku, w grudniu tego roku.

Nagrody dla zwycięzców w trzech grupach były w tym roku wyjątkowo bogate: laptopy i tablety. Wszyscy miłośnicy słowa polskiego otrzymali także pamiątkowe dyplomy i prezenty.

Podsumują wydarzenie Konsul Generalny RP w Kijowie zaznaczył: *„Dziękuję Wam młodzi recytatorzy za to, że na początku swej drogi życiowej macie odwagę występować publicznie, tak biegle mówić po polsku, recytować z pamięci, a jest to dla was dobra praktyka”*.

Na szczególną pochwałę zasługuje przyjazna atmosfera, jaką stworzyli organizatorzy i gospodarze przedsięwzięcia, na czele z dyrektorem Domu Polskiego w Kijowie Marią Siwko, którzy troskliwie opiekowali się wszystkimi uczestnikami w ciągu trzech dni konkursowych zmagania.

A zatem do zobaczenia na KRESACH 2018!

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



Organizatorzy i zwycięzcy konkursu tuż po wręczeniu nagród

URODZINY „NIEPODLEGŁEJ”

Z okazji obchodów Narodowego Święta Niepodległości w dniu 11 listopada Ambasador Jan Piekło wziął udział w Mszy świętej za Ojczyznę, odprawionej w kościele pw. św. Aleksandra w Kijowie oraz złożył wieńce na cmentarzu ofiar represji stalinowskich i na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni.

W obchodach wzięli udział pracownicy Ambasady, Kierownik Wydziału Promocji Handlu i Inwestycji Ambasady RP w Kijowie B. Musiałowicz, oficer łącznikowy Policji T. Bielecki oraz Polacy mieszkający w Kijowie.

14 listopada br. w Narodowym Kompleksie Kultu-
ralno-Artystycznym i Muzealnym „Мистецький арсе-
нал” Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Rzeczy-
pospolitej Polskiej Jan Piekło wraz z Małżonką wydał
przyjęcie z okazji Narodowego Święta Niepodległości
Polski. Na uroczystość przybyło blisko półtora tysiąca
gości.

Przyjęcie rozpoczęły hymny Polski i Ukrainy w wy-
konaniu Młodzieżowego Chóru „Switocz” Nieżyń-
skiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im.
M. Gogola, prowadzonego przez Zasłużone Artystki
Ukrainy: prof. Ludmiłę Szumską i Ludmiłę Kostenko.

W uroczystym przemówieniu, wygłoszonym w
trzech językach, Ambasador RP podziękował zebrany
za tak liczne przybycie i m.in. zaznaczył:

*„Historia niejednokrotnie pokazała nam, że gdy jes-
teśmy razem, to stanowimy siłę, z którą trzeba się liczyć.
Gdy jesteśmy osobno – przegrywamy! Nasze interesy są
nierozłączne, zarówno w geopolityce, jak i w gospodarce.
Wierzymy, że polsko-ukraińska przyjaźń, choć okresami
bywała niełatwa, jest najlepszym gwarantem pokoju i do-
brobytu w naszych krajach. Nie pozwólmy jej zniszczyć,
gdyż wiemy, że historia może nam nie dać kolejnej
szansy.”*

KOS

Zdj. Andżelika Płaksina



Na zaimprowizowanej scenie
Młodzieżowy Chór „Switocz” Nieżyńskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. M. Gogola
i jego kierownicy artystyczni: Ludmiła Szumska i Ludmiła Kostenko.
Przemawia Jego Ekscelencja Ambasador RP na Ukrainie Jan Piekło

W STOWARZYSZENIU EKSPORTERÓW POLSKICH

Strategia Stowarzyszenia Eksporterów Polskich – działania i efekty

Strategicznym celem Stowarzyszenia Eksporterów Polskich jest działanie na rzecz optymalizacji wzrostu eksportu stanowiącego siłę napędową rozwoju polskiej gospodarki.

Misją Stowarzyszenia Eksporterów Polskich jest reprezentowanie interesów eksporterów wobec organów państwowych, rządowych i samorządowych, a także organizacji krajowych i zagranicznych.

Priorytetowym zadaniem Stowarzyszenia Eksporterów Polskich jest wspieranie przedsiębiorstw w ich zagranicznej ekspansji w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Nadrzędnym celem Stowarzyszenia Eksporterów Polskich jest działanie na rzecz proinnowacyjnego i proeksportowego rozwoju polskiej gospodarki oraz międzynarodowej jej konkurencyjności.

Głównym celem Stowarzyszenia Eksporterów Polskich jest aktywne działanie w zakresie urzeczywistniania procesu intensyfikacji eksportu produktów, na który jest znaczące zapotrzebowanie kontrahentów zagranicznych. Chodzi zwłaszcza o systematyczny rozwój eksportu opartego na nowych technologiach i *know-how*. Polska posiada młodą i dobrze wykształconą kadrę oraz nowoczesne zaplecze naukowo-techniczne, które powinno być efektywniej wykorzystane. Istotne znaczenie dla wzrostu eksportu ma także lepsze wykorzystanie majątku narodowego i surowców naturalnych.

Zadaniem twórczym Stowarzyszenia Eksporterów Polskich jest wspieranie przedsiębiorców, organów państwowych, rządowych oraz samorządowych na rzecz wzrostu eksportu stanowiącego siłę napędową rozwoju polskiej gospodarki. Działania te są kompatybilne ze Strategią na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich zakłada dalszy wzrost polskiego eksportu, którego wielkość w 2020 r. prognozuje się na około 230-240 mld euro, w tym eksportu rolno-spożywczego na około 32-35 mld euro. W celu osiągnięcia tych wielkości eksportu nastąpić powinno zwiększenie wykorzystania istniejącego potencjału ekonomicznego i gospodarczego, a także



nowo powstałych inwestycji proeksportowych, realizowanych także m.in. na zamówienia rządowe.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich wychodzi naprzeciw potrzebom i oczekiwaniom eksporterów oraz podejmuje działania w zakresie tworzenia eksporterom odpowiednich warunków dla efektywniejszego ich działania. W tym celu istotną rolę odgrywa wprowadzanie nowych rozwiązań systemowych na rzecz wzrostu eksportu oraz kształtowania pozytywnego wizerunku polskich towarów na rynkach zagranicznych.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich zaaktywizuje swoje działania na rzecz zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, co pozwoli na:

- skoncentrowanie działań przedsiębiorców na priorytetowych i perspektywicznych rynkach zbytu;
- wzmocnienie działań dyplomacji ekonomicznej w krajach o priorytetowym i perspektywicznym znaczeniu dla rozwoju polskiego eksportu;
- przyspieszenie przejmowania zadań Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji Ambasad i Konsulatów RP przez Zagraniczne Biura Handlowe Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu S.A.;
- koncentrację sił i środków na promocję branż, które mają największe możliwości wzrostu eksportu.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich dąży do wzrostu eksportu poprzez współdziałania z przedsiębiorstwami, bankami, instytucjami finansowymi oraz organami rządowymi i samorządowymi. Pozwoli to na lepsze wykorzystanie potencjałów: wytwórczych, promocyjno-marketingowych, kadrowych, a także zaplecza naukowo-badawczego na rzecz wzbogacenia zagranicznej ekspansji polskiego biznesu w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich wspiera działania w zakresie promocji polskiego eksportu, który powinien być skoncentrowany zarówno na rynkach unijnych, jak i pozaeuropejskich. W tym celu należy zaaktywizować działania Zagranicznych Biur Handlowych Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu S.A., które

powinny ułatwić polskim eksporterom prowadzenie biznesu na rynkach, zwłaszcza azjatyckim, afrykańskim i amerykańskim.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich wspiera napływ inwestycji zagranicznych do branż wymagających nowoczesnych technologii i *know-how*. We współpracy z polskimi firmami i uczelniami powinny powstać nowe sieci powiązań biznesowych. Powinny one procentować silnym impulsem prorozwojowym, a jednocześnie sprawiającym powstanie atrakcyjnych podmiotów w globalnym łańcuchu wartości. Poprawie winna ulec koordynacja działań promujących polski biznes na rynkach międzynarodowych poprzez tworzenie warunków do jego skutecznej ekspansji, a tym samym wzmocnienie konkurencyjności i atrakcyjności polskiej gospodarki.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich wspierać będzie tworzenie firm-narodowych marek takich jak np.: Polski Koncern Naftowy Orlen S.A., Grupa Azoty S.A., Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi S.A. oraz silnych klastrów, korporacji, grup producenckich, spółdzielni i spółek. Chodzi o koncentrację sił i środków nakierowanych na przyspieszenie rozwoju branż: surowcowo-materiałowych, chemicznych, ceramicznych, meblarskich, elektromaszynowych, żywnościowych (mlecznych, mięsnych, owocowo-warzywnych) itd.

Dlatego kluczowym zadaniem jest wdrożenie odpowiednich warunków ekonomicznych i organizacyjnych oraz stabilnego i sprzyjającego rozwojowi otoczenia gospodarczego, a także skutecznego wsparcia promocyjnego ze strony polskiej dyplomacji i mediów.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich dąży do poprawy warunków dla rozwoju eksportu poprzez inicjowanie i usprawnianie rozwiązań systemowych, a mianowicie:

1. Regulacji stosunków wymiany handlowej w zakresie:

- prawno-traktatowej w ramach współpracy z krajami pozaunijnymi;
- kształtowania partnerskich relacji we współpracy z krajami UE;
- współpracy z największymi partnerami, głównie z krajami np.: Chinami, Indiami, Brazylią, USA itd. w celu pogłębiania wzajemnie korzystnej wymiany handlowej oraz współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej;
- rozwinięcia handlu z krajami azjatyckimi, afrykańskimi i południowo-amerykańskimi na rzecz rozwoju eksportu przetworzonych artykułów przemysłowych i żywnościowych. Szczególny nacisk winien być położony na telekomunikację,



przemysł elektromaszynowy, meblarski, samochodowy, lotniczy i rolno-spożywczy;

- urzeczywistniania strategii proinnowacyjnego i proeksportowego rozwoju polskiej gospodarki w skali makro w zakresie geograficznym i branżowym. Dotyczy to m.in. przemysłu elektromaszynowego, metalurgicznego, chemicznego, meblarskiego i obronnego.

2. Udziału w tworzeniu instrumentów finansowych wspierających eksport we współpracy z:

- organami rządowymi odpowiedzialnymi za kształtowanie tempa rozwoju eksportu w oparciu o poprawę warunków działania firm produkujących na eksport;
- resortami i instytucjami dokonującymi modyfikacji rozwiązań systemowych.

3. Promocji polskich produktów i eksporterów za granicą poprzez:

- inspirację działań instytucji na rzecz pogłębienia integracji w organizacji przedsięwzięć o charakterze promocyjnym;
- wspieranie działań na rzecz koncentracji środków promocyjnych na priorytetowych rynkach i branżach. Dotyczyć to powinno organizacji narodowych wystaw gospodarczych w krajach perspektywicznych dla polskiego eksportu obejmujących reprezentatywne branże;
- pogłębienie współpracy w zakresie wymiany informacji i działań o charakterze promocyjnym

z Wydziałami Promocji Handlu i Inwestycji i Wydziałami Ekonomicznymi Ambasad RP oraz Zagranicznymi Biurami Handlowymi Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu S.A.

4. Formy efektywnego wsparcia działalności eksportowej.

W działalności Stowarzyszenia Eksporterów Polskich stosowane będą następujące formy wsparcia eksportu: informacyjne, promocyjne, medialne, instytucjonalne, profinansowe, organizacyjne, koncepcyjne, kontaktowe i dyplomatyczne.

Wszystkie ww. formy mają charakter konstruktywny, tak w skali makro, jak i mikro i traktowane są kompleksowo. Są ponadto – dostępne dla eksporterów. Oceniane są przez zainteresowanych i użytkowników pozytywnie. I co najważniejsze – tworzą dobry klimat proeksportowy w skali kraju, regionów i społeczeństwa. Wpływają na pozytywne wyniki osiągane w eksporcie, a za jego pośrednictwem – w całej gospodarce. Realizowana jest z powodzeniem „Strategia proeksportowego rozwoju gospodarki do roku 2020”.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich z okazji Jubileuszu 15-lecia powstania i swojej działalności ogłosiło Manifest w ramach, którego zorganizowano:

- V Jubileuszowy Kongres Eksporterów Przemysłu Rolno-Spożywczego (13.03.2017 r.);
- XV Jubileuszowa Konferencja Programowa Stowarzyszenia Eksporterów Polskich (27.06.2017 r.);



Mieczysław Twaróg – Prezes Stowarzyszenia Eksporterów Polskich

– XVI Kongresu Eksporterów Polskich (23.11.2017 r.);

– Konkursy: Wybitny Eksporter Roku 2017 i Publicysta Ekonomiczny Roku 2017 (23.11.2017 r.).

Ponadto Rada Główna i Zarząd Stowarzyszenia Eksporterów Polskich:

- żywią nadzieję, że działalność Stowarzyszenia Eksporterów Polskich będzie nadal pomyślnie przyczyniać się do umacniania pozycji i prestiżu eksportu w kraju oraz na arenie międzynarodowej;
- wspierać będą eksporterów w ich ciężkiej pracy na rzecz zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. W tym celu liczą na dalszą owocną współpracę z eksporterami ze wszystkich branż i regionów Polski;
- wyrażają bardzo serdeczne podziękowanie członkom Stowarzyszenia Eksporterów Polskich i eksporterom za ich dotychczasowe dokonania eksportowe oraz życzą im dalszych sukcesów w rozwijaniu eksportu i kształtowaniu jego pozytywnego wizerunku w Europie i na świecie.

Podkreślić należy, że nowa wizja rozwoju Polski przyjęta w lutym br. przez Radę Ministrów zawiera wiele inicjatyw i przedsięwzięć, które są już realizowane lub opracowywane.

Wiodącą zasadą Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju jest zrównoważony rozwój całego kraju w wymiarze gospodarczym, społecznym, środowiskowym i terytorialnym, z którego efektów skorzystają wszyscy obywatele.

W związku z powyższym dotychczasowe czynniki rozwoju i wzrostu eksportu zostały uzupełnione o zwiększenie jego roli w procesach gospodarczych tworzonej nowej technologii, a także dalszą ekspansją polskich firm, budowę systemu oszczędności oraz podwyższeniem jakości funkcjonowania instytucji i ich relacji ze społeczeństwem.

Należy zaznaczyć, że Polska potrzebuje nowych impulsów rozwojowych, które wprowadzą naszą gospodarkę na wyższy poziom rozwoju, co będzie mieć bezpośrednie przełożenie na wzrost jakości życia Polaków i ich zamożność. Służą temu m.in. projekty strategiczne i flagowe ujęte w dokumencie Rady Ministrów przyjętym w lutym br. Podejście projektowe wraz z przewidzianym systemem monitorowania i oceny, ułatwi śledzenie postępów w realizacji celów Strategii a także zapewni włączenie w realizację działań obywateli,

partnerów społecznych i gospodarczych, przedstawicieli świata nauki i samorządów.

Lista wspomnianych projektów liczy obecnie ok. 185 przedsięwzięć, zarówno z zakresu rozwiązań legislacyjnych, jak i konkretnych inwestycji. Ma ona otwarty charakter i może być modyfikowana. Wiele z nich jest już w trakcie realizacji, ich wdrażanie odbywa się równolegle do procesu formalnej akceptacji Strategii.

W Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju zaplanowanych zostało szereg projektów (tzw. flagowych), w efekcie których powstaną produkty lub usługi istotne dla dalszego rozwoju gospodarki. Na przykład w ramach programu „*Elektromobilność*” zakłada się produkcję pojazdów o napędzie elektrycznym oraz rozwój infrastruktury niezbędnej dla tego typu pojazdów, co m.in. pozwoli na rozwój ekologicznego transportu publicznego w polskich miastach (projekty: „*E-bus*” i „*Samochód elektryczny*”).

Wśród projektów strategicznych w zakresie legislacji i otoczenia prawnego przedsiębiorstw, przygotowany został pakiet 100 zmian dla firm, którego duża część już weszła w życie. Kluczowe znaczenie w obszarze prawa gospodarczego ma Pakiet Konstytucja Biznesu, której rdzeniem jest projekt ustawy „Prawo przedsiębiorców”. Towarzyszą mu propozycje zmian w innych ustawach, ułatwiające funkcjonowanie firmom, nie tylko nowo powstającym, ale też posiadającym doświadczenie w prowadzeniu działalności gospodarczej.

W całokształcie działań na rzecz wzrostu eksportu ma duże znaczenie usprawnienie funkcjonowania oraz koordynacja działań instytucji i resortów w zakresie wspierania zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Chodzi zwłaszcza o koordynację działań: Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu S.A., Polskiego Funduszu Rozwoju S.A., Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości S.A., Agencji Rozwoju Przemysłu S.A., Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych S.A., Banku Gospodarstwa Krajowego i resortów: rozwoju, finansów, rolnictwa i spraw zagranicznych.

SEP stoi na stanowisku, że funkcję koordynacyjną instytucji i resortów w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw sprawować powinno Ministerstwo Rozwoju.

SEP obchodzi w bieżącym roku swój Jubileusz 15-lecia działalności we wszystkich branżach i regionach całej Polski.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich
Warszawa, 15 września 2017 r.

SUKCESY POLSKIEJ GOSPODARKI

Handel zagraniczny Polski po trzech kwartałach 2017 r.

Pierwsze dziewięć miesięcy br. to okres utrzymujących się wysokich wzrostów wymiany towarowej Polski. Według wstępnych danych GUS, po trzech kwartałach br. eksport zwiększył się o 9,8%, do 149,6 mld EUR, a import o 10,9%, do 147,8 mld EUR. Nadwyżka obrotów wyniosła prawie 1,9 mld EUR. Wyniki te wpisują się w ogólną poprawę sytuacji gospodarki globalnej wspieraną ożywieniem w inwestycjach, handlu, produkcji przemysłowej oraz umacniającym się optymizmem w biznesie i wśród konsumentów.

W okresie styczeń-wrzesień br. zdecydowanie szybciej rosły obroty z krajami słabiej rozwiniętymi (wzrost eksportu o 11,3%, importu o 15,8%) niż z krajami rozwiniętymi gospodarczo (eksport o 9,6%, import o 8,7%).

Eksport do Unii Europejskiej wzrósł o 9,1% (do ok. 118,9 mld EUR), w tym do Niemiec o 9,7%, Czech o 5,7%, Wielkiej Brytanii o 5,1%, Francji o 8,2%, Włoch o 13,5% oraz Niderlandów o 10,8%. Jednocześnie na uwagę zasługuje dynamiczne zwiększenie sprzedaży zagranicznej m.in. do Austrii (o 16,5%) oraz Rumunii (o 13,5%). Wolniejszy wzrost importu z krajów unijnych (o 7,3%, do 88,2 mld EUR) zaowocował zwiększeniem nadwyżki z UE o prawie 4 mld EUR, do ok. 30,7 mld EUR po 9 miesiącach br.

Podobnie jak w poprzednich okresach, dynamicznie rosły obroty z pozostałymi (poza UE) rynkami rozwiniętymi gospodarczo, tj. eksport o 15,2% (do 10,4 mld EUR), a import o 21,4% (do prawie 11,1 mld EUR). Wśród tej grupy krajów nadal szybko rosła sprzedaż do: Stanów Zjednoczonych (o ok. 27%), Szwajcarii (o ok. 13%), Australii (o ok. 44%) oraz Republiki Południowej Afryki (o ok. 16%). Zdołało to skompensować spadki wywozu m.in. do Japonii (o 6,4%) oraz Kanady (o 2,5%).



Kontynuowana była również odbudowa obrotów towarowych z rynkami WNP, co wynikało zarówno z poprawy koniunktury gospodarczej w tym regionie, jak również z niskiej bazy odniesienia. Po 9 miesiącach br. eksport do WNP zwiększył się o 24% (do prawie 9,4 mld EUR), w tym do Rosji o 20,5%, na Ukrainę o ok. 34% oraz na Białoruś o ok. 11%. Nieznacznie szybciej niż eksport wzrósł przywóz z tego regionu (o 26,5%, do 12,5 mld EUR), co przełożyło się pogłębienie deficytu z WNP o 0,8 mld EUR, do 3,1 mld EUR, w tym z Rosją o prawie 1,2 mld EUR. Jednocześnie po 9 miesiącach br. Rosja znalazła się na drugim miejscu (za Chinami) na liście krajów, z którymi notowaliśmy najwyższe pogorszenie salda.

Niekorzystnie po trzech kwartałach 2017 r. kształtowały się obroty z pozostałymi rynkami słabiej rozwiniętymi i rozwijającymi się (poza WNP). Eksport do tej grupy państw zwiększył się zaledwie o 2,4% (do ok. 11 mld EUR), a import aż o 12,5% (do prawie 36 mld EUR). W konsekwencji notowany przed rokiem deficyt pogłębił się o 3,7 mld EUR, do ok. 25 mld EUR. Tempo wzrostu eksportu z Polski do poszczególnych rynków tej grupy krajów było bardzo zróżnicowane. Z jednej strony są kraje, gdzie nasza sprzedaż rosła bardzo szybko (np. Chiny – wzrost o 19%, Serbia – ok. 15,5%, Indie – 13,5%, Meksyk – ok. 21%, Republika Korei – ok. 11%, Hongkong – ok. 16% czy Brazylia – ok. 12,5%), z drugiej zaś na wiele kluczowych rynków tej grupy nasz eksport wyraźnie spadł w omawianym okresie (tj. do Zjednoczonych Emiratów Arabskich – o 17%, Algierii – 11,5%, Singapuru – 60%, Maroka – ok. 23% czy Egiptu – ok. 36%). Z kolei sprzedaż do naszego najważniejszego partnera eksportowego w tej grupie krajów, Turcji, zwiększyła się o 4,4%.

W przekroju towarowym najlepsze wyniki eksportu odnotowano w przypadku wyrobów metalurgicznych (wzrost o 15,2%). Dynamicznie także wzrosła sprzedaż wyrobów chemicznych (o 12,7%) oraz artykułów rolno-spożywczych (o 11,8%). Wolniej niż przeciętnie rósł natomiast wywóz dominujących w polskiej wymianie z zagranicą, wyrobów elektromaszynowych (o 7,9%).

Źródło: Ministerstwo Rozwoju

Obchody 80. rocznicy powstania Centralnego Okręgu Przemysłowego

We wrześniowy weekend w Stalowej Woli, w woj. Podkarpackim, trwały ogólnopolskie obchody powstania Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP). Ministerstwo Rozwoju reprezentowali Wiceministrowie Jerzy Kwieciński oraz Adam Hamryszczak.

Pierwszego dnia odbyła się konferencja naukowa „COP. W kierunku innowacyjnej gospodarki w Polsce”. W konferencji naukowej obok historyków i ekonomistów uczestniczyli także przedstawiciele przemysłu. Obecny na konferencji Wiceminister Rozwoju Jerzy Kwieciński podkreślił znaczenie innowacyjności w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju: *„Naszym celem jest to, żeby mieszkańcom naszego kraju żyło się lepiej, żeby mieli wyższy standard i jakość życia. Ta strategia ma być strategią dla ludzi”* – powiedział.

Ostatniego dnia obchodów Wiceminister Rozwoju Adam Hamryszczak wziął udział w Gali Finałowej oraz wręczył nagrodę „Innowator Centralnego Okręgu Przemysłowego”. Mówił o patriotyzmie gospodarczym i zrównoważonym rozwoju, a także zapowiedział wsparcie dla średnich miast, takich jak Stalowa Wola oraz dla polskich przedsiębiorców.

„To biznes ma się przyczynić do rozwoju polskich miast tak, żeby ludzie nie musieli wyjeżdżać za granicę” – powiedział Wiceminister Rozwoju Adam Hamryszczak.

Tytuł „Innowatora COP” otrzymały przedsiębiorstwa, które w sposób szczególny wyróżniły się innowacjami w działalności oraz osiągnęły sukces w opracowaniu własnych nowych technologii, innowacyjnych rozwiązań produkcyjnych, usługowych, marketingowych i organizacyjnych. Statuetka oraz wyróżnienia zostały wręczone po raz pierwszy oraz przyznane w 4 kategoriach dla firm działających co najmniej 2 lata: firma mikro i firma mała, firma średnia, firma duża, *startup*.

COP był największym przedsięwzięciem gospodarczym II RP. Obejmował 44 powiaty czterech ówczesnych województw: lwowskiego, krakowskiego, kieleckiego i lubelskiego. Jego celem była rozbudowa prze-



mysłu ciężkiego, m.in. zbrojeniowego oraz zmniejszenie bezrobocia. W latach 1937-39 na ten cel przeznaczano ok. 60 proc. wydatków inwestycyjnych kraju; wydano 1 mld 925 mln zł. W ramach COP powstały istniejące do dziś zakłady przemysłowe, m.in. w Rzeszowie, Mielcu, Stalowej Woli, Jaszle, Nowej Dębie, Nowej Sarzynie, Ostrowcu, Radomiu, Pionkach, Dębicy. Planowany do 1951 r. rozwój COP przerwał wybuch II wojny światowej.

Stalowa Wola jest miastem, które w ramach COP zostało zbudowane od podstaw na terenie Puszczy Sandomierskiej. Od ścięcia pierwszej sosny do zakończenia budowy huty, elektrowni i miasta minęło 625 dni.

Źródło: Ministerstwo Rozwoju

Rośnie znaczenie przemysłu spożywczego w polskiej gospodarce

Polska jest szóstym największym producentem owoców i warzyw w UE oraz zajmuje czołowe miejsce w produkcji przetworów owocowo-warzywnych. Jednym z motorów napędowych rozwoju polskiego przetwórstwa owoców i warzyw jest rosnący eksport. PKO Bank

Polski wspiera polskich rolników oraz przetwórców warzyw i owoców dopasowaną do ich potrzeb ofertą finansowania.

Podczas konferencji prasowej z udziałem Mateusza Morawieckiego, Wicepremiera, Ministra Rozwoju i Fi-

nansów, PKO Bank Polski zaprezentował raport „Przetwórstwo owoców i warzyw. Znaczenie w przemyśle spożywczym i rozwój sektora w Polsce”. Jak oceniają eksperci Banku, znaczenie polskiego sektora przetwórstwa owocowo-warzywnego dynamicznie wzrasta. Motorem jego rozwoju jest powiększająca się baza surowcowa oraz rosnąca sprzedaż na eksport. Polska jest największym w UE eksporterem zagęszczonego soku jabłkowego, owoców mrożonych i drugim największym eksporterem przetworzonych grzybów. Rosnąca wiedza o odpowiednim przygotowaniu owoców i warzyw do długotrwałego transportu sprawia, że polskie firmy coraz chętniej eksportują świeże owoce, co pozwala im zdobywać nawet tak odległe rynki jak chiński.

„Polskie przedsiębiorstwa powinny być silne we wszystkich branżach, ale musimy też mieć swoje specjalności – jedną z nich jest przemysł rolno-spożywczy, w tym sadownictwo. Nasze owoce są znane na wielu rynkach. Musimy tę pozycję umacniać i rozszerzać. Rozwój firm, także małych i średnich, nie jest możliwy bez eksportu. Polska musi prowadzić przedsiębiorczą ekspansję – nie tylko do krajów UE, ale również na perspektywiczne, rozwijające się rynki. Chcemy by nasza żywność zajęła na nich czołowe miejsce. Wsparcie państwa – prawne, finansowe czy promocyjne – musi być dopasowane do potrzeb producentów, bo oni już dziś skutecznie konkurują jakością” – powiedział wicepremier Mateusz Morawiecki.

„Małe i średnie przedsiębiorstwa są filarem polskiej gospodarki. Cieszy nas fakt, że coraz częściej myśląc o rozwoju, przedsiębiorcy doceniają potencjał rynków zagranicznych. Dzięki rosnącemu eksportowi przetworów owocowych i warzywnych, rośnie znaczenie tego sektora dla krajowej gospodarki. PKO Bank Polski wspiera wysiłki polskich firm pomagając im rozwijać się zarówno w kraju, jak i za granicą” – powiedział Rafał Antczak, Wiceprezes Zarządu PKO Banku Polskiego.



Sektor przetwórstwa owoców i warzyw coraz ważniejszą częścią gospodarki. Szybkie tempo wzrostu wartości sprzedanej sektora przetwórstwa owocowo-warzywnego na tle branży spożywczej powoduje wzrost znaczenia tej części gospodarki. Czynnikiem rozwoju jest dostęp do szerokiej i stale zwiększającej się bazy surowcowej. M.in. za sprawą rosnącej krajowej konsumpcji mrożonek warzywnych oraz większej sprzedaży na eksport, coraz więcej upraw warzyw prowadzonych jest z przeznaczeniem na przetwórstwo. Więcej surowca dostarcza także sektor owocowy. Polska jest największym w UE i drugim na świecie producentem jabłek, liderem w unijnej produkcji malin, wiśni oraz czarnych porzeczek, a także znaczącym producentem truskawek i warzyw gruntowych. W latach 2011–2016 produkcja owoców w Polsce wzrosła o 36%, głównie za sprawą zwiększenia produkcji jabłek aż o 46%.

Wzrasta eksport

Eksport jest głównym kanałem zbytu dla branży przetwórstwa owocowo-warzywnego. W 2016 r. na rynki zagraniczne trafiło odpowiednio 80% i 54% krajowej produkcji przetworów owocowych i warzywnych. Głównym rynkiem zbytu są kraje Unii Europejskiej. Z danych Eurostatu wynika, że w 2016 r. na rynek UE trafiło 76% eksportu mrożonych warzyw z Polski, 79% mrożonych owoców i 91% zagęszczonego soku jabłkowego. Powoli nasycający się rynek unijny stwarza jednak konieczność pozyskiwania rynków poza UE. Negatywny wpływ na polski eksport, szczególnie owoców i warzyw mrożonych, miało rosyjskie embargo wprowadzone w sierpniu 2014 r. Jednak jego skutki zostały już zniwelowane, a eksport polskich przetworów owocowych i warzywnych przewyższa już poziom 2014 r.

Cydr bez akcyzy

Rosyjskie embargo zamknęło możliwość eksportu jabłek na wschód. Sadownicy i producenci napojów znaleźli sposób na zagospodarowanie nadwyżki owoców. Zaczęto produkować cydr, który został dobrze przyjęty przez Polaków. Pewne ograniczenia w rozwoju tego rynku związane są z akcyzą, którą cydr także został obłożony. Dziś w zależności od stężenia alkoholu w cydrze stawka akcyzy wynosi 97 lub 158 zł za hektolitr gotowego napoju. Dodatkowo jest też obowiązek banderolowania takich napojów. Ministerstwo Finansów proponuje zerową stawkę, czyli w zasadzie rezygnację z akcyzy na cydr i dodatkowo zwolnienie z obowiązku banderolowania. Podobne rozwiązania już teraz obo-

wiązują w wielu krajach UE (Bułgaria, Chorwacja, Cypr, Hiszpania, Luksemburg, Portugalia, Rumunia, Słowenia i Włochy). Choć w księgowym rozrachunku oznacza to mniejsze wpływy budżetowe z tytułu akcyzy rzędu 11-20 mln zł rocznie, to jednocześnie powoduje obniżenie cen detalicznych o ok. 10%, a przez to ułatwienie nie tylko dla konsumentów, ale też, przez obniżenie kosztów, dla rozwoju przedsiębiorczości.

PKO Bank Polski z ofertą dla rolników i przetwórców owocowo-warzywnych

PKO Bank Polski zawsze wspiera rozwój polskich firm, dostarczając im dopasowane do ich potrzeb produkty i usługi bankowe. Brak opłaty za prowadzenie rachunku, wydłużony okres dostępności kredytu obrotowego w rachunku bieżącym, możliwość udzielania finansowania bez zabezpieczeń rzeczowych nawet do 500 tys. zł, kredyt inwestycyjny nawet na 20 lat – to najważniejsze elementy kierowanej do rolników oferty PKO Banku.

Kredyt w rachunku bieżącym

Rolnicy chcący zapewnić sobie stały dostęp do gotówki, zwłaszcza w okresie nasilonych wydatków na produkcję rolną, mogą skorzystać z kredytu w rachunku bieżącym o okresie kredytowania nawet do 24 miesięcy. Istotną zaletą tego produktu jest szybki i nieograniczony dostęp do środków oraz brak konieczności dokumentowania ich wydatkowania. Dla kredytów udzielonych na 24 miesiące Bank proponuje szeroki katalog preferowanych przez klienta zabezpieczeń rzeczowych, natomiast kredyty 12-miesięczne mogą być udzielone bez dodatkowych zabezpieczeń rzeczowych nawet do kwoty 500 tys. zł.

Nowoczesne konto za 0

Podstawowym produktem skierowanym do właścicieli gospodarstw rolnych jest PKO Konto Firmowe ze

specjalną ofertą dla rolnika. Prowadzenie rachunku jest bezpłatne przy spełnieniu warunku wpłaty min. 1000 zł w miesiącu. W przeciwnym razie miesięczna opłata to 9 zł. Klienci mają wygodny dostęp do gotówki dzięki największej sieci bankomatów w Polsce oraz możliwość korzystania z dopuszczalnego salda debetowego już od chwili otwarcia rachunku. Mogą także korzystać z bankowości elektronicznej i-PKO, 30 bezpłatnych internetowych przelewów w miesiącu (kolejne płatne 1 zł), wpłatomatów PKO Banku Polskiego (bezpłatne wpłaty w łącznej kwocie do 50 tys. zł w miesiącu).

Elastyczne formy finansowania

Cenionym przez rolników produktem finansującym jest Pożyczka MSP. Jest to produkt bankowy dedykowany rolnikom, którym zależy na minimalnych formalnościach oraz szybkim uzyskaniu środków na dowolne cele gospodarstwa. Bank wspiera w ten sposób gospodarstwa rolne posiadające wiedzę i doświadczenie w prowadzeniu działalności. Innym udogodnieniem dedykowanym rolnikom jest uelastyczniony kredyt inwestycyjny MSP z wymaganym wkładem jedynie 10 proc. przy zakupie maszyn i urządzeń rolniczych. W przypadku, gdy udzielany jest na zakup lub refinansowanie zakupu nowych albo używanych maszyn rolniczych, suma okresu kredytowania i wieku kredytowanej maszyny może sięgać nawet 240 miesięcy.

Nowości w ofercie dla rolników

W ostatnim czasie PKO Bank Polski wprowadził kilka dogodnych zmian w ofercie dla rolników. W celu usprawnienia obsługi znacznie zredukowano liczbę wymaganych dokumentów, a w procesie decyzyjnym o przyznanie kredytu dla młodych rolników uwzględniono fakt przejęcia i kontynuacji działalności rolnej po rodzicach i dziadkach.

Źródło: Ministerstwo Rozwoju

Małym i średnim będzie łatwiej. Kolejny pakiet uproszczeń dla przedsiębiorców

Ponad 50 ułatwień dla małego i średniego biznesu zawiera skierowany do konsultacji projekt przepisów o uproszczeniach w prawie podatkowym i gospodarczym. Przedsiębiorcy będą mogli np. wliczyć wynagrodzenie małżonka do kosztów uzyskania przychodu. Więcej firm skorzysta też z bonusów jakie daje status „małego

podatnika”. Ma to przynieść przedsiębiorcom co najmniej 3,8 mld zł oszczędności w 10 lat.

Projekt ułatwia prowadzenie firmy na 3 sposoby:

- zmniejsza obciążenia biurokratyczne,
- rozszerza niektóre przywileje,

- jednoznacznie przesądza niejasności w przepisach, które rodzą problemy w codziennej działalności firmy.

Szacuje się, że w ciągu 10 lat obowiązywania tej ustawy w kieszeniach przedsiębiorców zostanie co najmniej 3,8 mld zł.

Ministerstwo Rozwoju proponuje ponad 50 punktowych uproszczeń, głównie podatkowych, w kilkunastu ustawach.

Nazywany ten projekt będzie ustawą uproszczeniową 2. Pierwszy pakiet ponad 30 ułatwień wszedł w życie 1 stycznia 2017 roku. Dostajemy pozytywne sygnały od przedsiębiorców, że ten kierunek jest słuszny. Będzie on kontynuowany.

Wybrane rozwiązania:

Podwyższenie progu przychodów uprawniającego do uzyskania statusu „małego podatnika” z 1,2 mln euro do 2 mln euro

Dzięki podwyższeniu limitu więcej firm będzie mogło korzystać z przywilejów tzw. małego podatnika. To korzyści związane z prawem do jednorazowej amortyzacji, dogodny sposób rozliczania zaliczek oraz 15 proc. VAT (a nie 19).

Wynagrodzenie małżonka jako koszt uzyskania przychodu

Przedsiębiorca będzie mógł uwzględnić wynagrodzenie wypłacane współmałżonkowi w kosztach uzyskania przychodu, niezależnie od formy zatrudnienia (umowa o pracę, umowa o dzieło, umowa zlecenia). Dzięki temu zapłaci mniejszy podatek. W praktyce oznacza to, że podatek zatrudniający współmałżonka będzie przez fiskusa traktowany tak samo jak podatek zatrudniający osobę spoza najbliższej rodziny. Ministerstwo Rozwoju szacuje, że to rozwiązanie ułatwi działalność prawie 40 tys. przedsiębiorstw.

Jednorazowe rozliczenie straty

Przedsiębiorstwa, które wykazą stratę podatkową (czyli w roku podatkowym będą miały wyższe koszty niż przychody), będą mogły w kolejnym roku jednorazowo rozliczyć stratę o wartości do 5 mln zł. Dzięki takiemu rozwiązaniu zapłacą niższy podatek. Z ułatwienia będzie mógł skorzystać każdy przedsiębiorca, który wyszedł się z trudnej sytuacji finansowej i musi rozliczyć stratę.

Uproszczenia w księgowości dla mikroprzedsiębiorców

Uproszczenia w sprawozdawczości finansowej będą dotyczyć także firm prowadzonych przez osoby fizyczne

- próg przychodów nie mniej niż 2 mln euro i nie więcej niż 3 mln euro.

Drobne ułatwienia w zakresie BHP

W projekcie ustawy znalazła się propozycja, by szkolenia okresowe BHP nie były obowiązkowe dla pracowników administracyjno-biurowych zatrudnionych u pracodawcy zakwalifikowanego do grupy zawodowej o najmniejszym ryzyku (kategoria ryzyka nie wyższa niż 3.).

Dodatkowo, odpowiednio przeszkolony pracodawca mógłby pełnić zadania służby BHP w swojej firmie, jeśli zatrudnia do 50 pracowników. Obecnie limitem jest 20 zatrudnionych. Powyżej tej liczby pracodawca musi wyznaczyć inną osobę do pełnienia tej funkcji.

Uproszczenia dla spółek z o.o.

Z 500 tys. zarejestrowanych w Polsce spółek handlowych, 420 tys. to spółki z o.o. Wiele przepisów dotyczących tej formy działalności gospodarczej jest nieprecyzyjnych lub zbyt restrykcyjnych. Projekt wprowadza prawne uproszczenia dla przedsiębiorców prowadzących swoją działalność w formie spółek z o.o., w tym m.in. poszerzenie możliwości pisemnego podejmowania uchwał przez udziałowców poza zgromadzeniem wspólników (tzw. „tryb obiegowy”) oraz precyzyjne przesądzenie, komu konkretnie mają składać



oświadczenia o rezygnacji członkowie zarządów i rad nadzorczych spółek.

Większość z ww. zmian wejdzie w życie na początku przyszłego roku. *„Chcemy żeby część rozwiązań podatkowych, np. możliwość wliczenia wynagrodzenia współmałżonka w koszty uzyskania przychodu – ważną szczególnie dla firm rodzinnych – czy też możliwość jednorazowego rozliczenia straty do 5 mln zł, weszły w życie nieco później – 1 stycznia 2019 r. Liczymy w ten sposób na synergię efektów kolejnych działań uszczelniających system oraz uproszczeń dla MŚP”* – wskazał wicepremier.

1 stycznia 2017 r. weszła w życie pierwsza ustawa uproszczeniowa zawierająca ponad 30 ułatwień dla przedsiębiorców. Jej zapisy pozwalają przedsiębiorcom zaoszczędzić rocznie około 230 mln zł. Wprowadza ona, m.in. ochronę podatników przed zmianami interpretacji prawa, mniejszą uciążliwość kontroli w firmach i łagodniejsze przepisy prawa pracy.

Więcej o tej ustawie na stronie internetowej Ministerstwa Rozwoju.

Źródło: Ministerstwo Rozwoju

Wiceministrowie Kościński i Kwieciński na Astana Expo 2017

Wiceszefowie resortu rozwoju byli obecni na Wystawie Międzynarodowej Expo 2017 w Astanie. Tadeusz Kościński uczestniczył w Polsko-Kazachstańskim Forum Gospodarczym oraz Narodowym Dniu Polski. Natomiast Jerzy Kwieciński wziął udział w Dniu Zgromadzenia Międzynarodowego Biura Wystaw. Obaj odbyli też szereg rozmów gospodarczych oraz promowali kandydaturę Polski i Łodzi na organizatora wystawy Expo w 2022 r.

W Forum Gospodarczym wzięło udział prawie 250 firm z Polski i Kazachstanu. Dyskutowano głównie finansowaniu wspólnych przedsięwzięć gospodarczych, współpracy regionalnej, rozwoju infrastruktury, a także o współpracy w dziedzinie energetyki.

„Forum jest płaszczyzną zacieśniania kontaktów biznesowych oraz kreowania nowych inicjatyw” – mówił podczas ceremonii otwarcia wiceminister Kościński.

Podczas forum podpisano 10 nowych umów w sprawie bilateralnej współpracy między polskimi i kazachstańskimi firmami. Jeszcze przed rozpoczęciem forum, Wiceminister Tadeusz Kościński podpisał ze stroną kazachstańską porozumienie o współpracy gospodarczej. Podczas podpisania umowy obecni byli Prezydenci Polski i Kazachstanu.

Wiceminister Kościński powiedział, że Kazachstan jest bramą prowadzącą do Azji, a Polska bramą prowadzącą do Unii Europejskiej. Podkreślił, że dziś w Kazachstanie działa ok. 190 firm z udziałem polskiego kapitału, podczas gdy 15 lat temu było ich 42.

7 września był Narodowym Dniem Polski na Expo 2017, rozpoczęła go ceremonia z udziałem Prezydenta Andrzeja Dudy oraz Premiera Kazachstanu – Bakytzhana Saginatayeva. Po części oficjalnej odbył się kon-



Polski pawilon na Expo 2017

cert polskich artystów. Dzień Polski zakończył uroczysty koncert galowy w teatrze „Astana Balet” w wykonaniu artystów Teatru Wielkiego Opery Narodowej.

Wiceminister Jerzy Kwieciński podczas EXPO 2017 promował polską kandydaturę do organizacji Expo 2022 w Łodzi. Wiceszef resortu rozwoju jest pełnomocnikiem rządu ds. Expo 2022 w Łodzi.

Wystawa Międzynarodowa Expo 2017 rozpoczęła się w czerwcu i trwała do 10 września. Polski pawilon uhonorowano w Astanie złotym medalem za najlepszy pawilon narodowy do 400 m² w kategorii architektura i design.

Źródło: Ministerstwo Rozwoju

POLSKIE DZIEJE KIJOWA (cz. III)

Proponujemy Czytelnikom „Krynicy” III część książki Pana Mariana Kałuskiego pt. „Polskie dzieje Kijowa”, którą PT Autor (od 1964 roku mieszkający w Australii) uprzejmie zgodził się udostępnić Polakom Ukrainy. Redakcja wyraża Mu za to serdeczną wdzięczność.

Ekskursy do królestwa Pani Historii są zawsze bardzo niebezpieczne, bowiem trudno w nich zachować obiektywizm. Dlatego ile osób, tyle spojrzeń na Przeszość.

Zachęcamy Państwa do lektury książki Pana Mariana Kałuskiego, przypominając, że jest to spojrzenie z drugiej półkuli naszego globu...

Redakcja

Choć wkład społeczeństwa polskiego w życie Kijowa drastycznie był eliminowany przez władze carskie po upadku Powstania Styczniowego, Polacy pomimo tego odgrywali dużą rolę w życiu gospodarczym miasta: np. cukrownie Królestwa Polskiego były związane z Wszechrosyjskim Związkiem Cukrowniczym w Kijowie; firma Stefana Węglińskiego specjalizowała się w budowie cukrowni, a on wraz z drugim Polakiem Olszańskim i spółką byli właścicielami Dnieprowodzkiej Fabryki Maszyn; do rodziny Branickich należała wielka cukrownia; Józefat Andrzejewski był właścicielem zakładu ceramicznego (200 robotników); zakład „Jarnuszkiewiczza” był znanym producentem łóżek metalowych, głównie dla szpitali na całej Ukrainie, który po rewolucji przejął bolszewicy; miał on filię w Warszawie, która istniała do wybuchu Powstania Warszawskiego w 1944 roku. Wielką placówką handlową (i czysto polską) było Południowo-Rosyjskie Towarzystwo Handlu Towarami Aptekarskimi „JURROTAT” Augusta i Antoniego Czerwińskich, W. Suleczycka była właścicielką dużej wytwórni kwiatów sztucznych, A. Wilczkowski dużej firmy krawiectwa męskiego, bracia L. i W. Kunderewicze zakładu win krymskich i zagranicznych, L. Romanowski magazynu mebli i luster, A. Przesmycki dużej firmy handlowej, W. Doliński składu maszyn i narzędzi rolniczych, Idzikowscy wielkiej księgarni wydawniczej i biblioteki (zatrudniali 150 ludzi). Szereg firm i wielkich sklepów-magazynów warszawskich miało swoje filie i oddziały w Kijowie, jak np. Warszawska Fabryka Wyrobów Platerowych i Srebrnych Józefa Frageta czy Warszawska Fabryka Kosmetyków Fryderyka Pulsa. Na głównej, modnej i bogatej alei miasta – Kreszczatiku mieściło się wiele prowadzonych przez Polaków nowoczesnych sklepów, renomowanych firm, banków, hoteli, zakładów rze-

mieślniczych. Podobnie było na sąsiednich ulicach: Funduklejewskiej, Luterńskiej, Puszczińskiej, Proriecznoej, Wielkiej Włodzimierskiej, Nikołajewskiej i innych. Najlepszymi cukierniami w Kijowie były dwie „polskie” cukiernie: sklep „Chocolat de Varsovie”, należący do warszawskiego przemysłowca Jana Fruzińskiego, oraz cukiernia należąca do bardzo znanej warszawskiej rodziny cukierników – Semadenich, która słynęła z wybornych napojów gorących, sorbetów, lodów, delikatnych cukrów i smakowitych ciast. 10 procent najbardziej wartościowych posesji w mieście należało do Polaków (M.F. Haipm).

Udział Polaków w życiu Kijowa nie ograniczał się jednak do sfery gospodarczej. Polacy byli wszędzie w szeroko pojmowanym życiu miasta. I było ich coraz więcej. W 1895-96 polscy katolicy uzyskali zgodę na budowę drugiego kościoła polskiego w Kijowie. Polak Władysław Horodecki należał do najbardziej znanych architektów Kijowa w latach 1890–1920, wznosząc m.in. kościół katolicki św. Mikołaja i dla siebie „Dom z chimerami”, które dzisiaj są perełkami architektonicznymi Kijowa, a jego dom jest obecnie jedną z siedzib prezydenta Ukrainy. Polak z Kijowa Oskar Hansen był dyrektorem zarządu spółki Biełgorodzko-Sumskiej Kolei Żelaznej; Włodzimierz Rabczewski był w latach 1916-19 dyrektorem wodociągów w Kijowie przed 1905 rokiem Leonard Jankowski a po 1905 roku hrabia Włodzimierz Grocholski byli wiceprezesami Towarzystwa Rolniczego Kijowskiego; Józef Frycz był w latach 1911-19 dyrektorem oddziału w Kijowie Banku Handlowego w Warszawie; Aleksander Wielhorski był profesorem Wyższego Instytutu Muzycznego w Kijowie, a Józef Zawadzki zorganizował w Kijowie pierwsze pogotowie ratunkowe. Z kolei polski przyrodnik Wenanty Burdziński założył w 1907-09 – na bazie ist-

niejącego przy ul. Wielkiej Włodzimierskiej ogrodu botanicznego należącego do uniwersytetu – ogród zoologiczny w Kijowie, którego był dyrektorem do 1923 roku (wrócił do Polski i w 1928 r. założył ogród zoologiczny w Warszawie). Polskie rodziny Podhorskich i Syroczyńskich wybudowały w Kijowie szpital własnym sumptem. Wielu adwokatów polskich praktykowało w Kijowie; biura adwokackie mieli m.in.: Tadeusz Michalski, Bolesław Bielawski (późniejszy senator i prezes Tajnej NRA), Józef Dynowski, Edward Paszkowski, Jordan Pereświat-Sołtan, Lucjan Knoll, Tadeusz Zagórski, Stanisław Zieliński, Stefan Smólski, Mieczysław Mickiewicz, Wincenty Rohoziński. W Kijowie praktykę lekarską prowadziło prawie stu Polaków. Wybitny polski historyk ziem ukraińskich Aleksander Jabłonowski w 1892 roku został członkiem rzeczywistym Towarzystwa Historycznego „Nestora” w Kijowie. Duży i znany zakład fotograficzny prowadził Konstanty Łobojko (zm. w 1904 r.), fotograf, ale także przedtem aktor i dyrektor polskich teatrów objazdowych w Królestwie Polskim i Galicji, który w 1861 roku wprowadził na scenę Helenę Modrzejewską, która później zrobiła światową karierę. W 1900 roku została zorganizowana w Kijowie z dużym rozmachem wy-

stawa malarstwa polskiego. Wybitny malarz polski spod Łowicza Wilhelm Kotarbiński w latach 1888–1921 mieszkał i tworzył w Kijowie, będąc m.in. współtwórcą fresków w soborze św. Włodzimierza (1887–95); wykonał malowidła w kilku pałacach kijowskich. Swoje prace sygnował najczęściej polskim podpisem. Podczas I wojny światowej artysta namalował plakat pt. „Kijów – Polsce”, pragnąc w ten sposób zachęcić do darowizn na rzecz ludności polskiej. Dużo jego dzieł nabył polski filantrop i miłośnik sztuki mieszkający w Kijowie Oskar Hansen. W 1919 roku zbiory te znacjonalizowali bolszewicy i dzisiaj są w muzeach Kijowa, a większość w Muzeum Sztuki im. Nykanora Onackiego w Sumach. Kotarbiński w 1893 roku był współzałożycielem, razem z Władysławem Galimskim, Janem Stanisławskim, Eugeniuszem Wrzeszczem i Janem Ursynem-Zamarajewem, Towarzystwa Malarzy Kijowskich. Z Kijowem związana była spora grupa młodych polskich artystów malarzy i rzeźbiarzy, którzy karierę artystyczną robili już w wolnej Polsce, jak np. malarze: Lucjan Jagodziński, Jadwiga Jaroszyńska-Horodyska, Czesław Kaczmarczyk, Janusz Podoski, rzeźbiarz Wacław Płoński. W Kijowie w latach 1884–89 mieszkał również znany malarz rosyjski Michał



Industrialny Kijów końca XIX w.

Wrubel (1856–1910), który był synem Polaka i Dunki. Był twórcą malowidła w monasterze św. Cyryla w Kijowie.

Obie księgarnie polskie w Kijowie: Leona Idzikowskiego i Bolesława Koreywy były ośrodkami polskiego życia umysłowego, skupiającymi inteligencję i młodzież akademicką. Koreywo organizował również wielkie koncerty w mieście, które przyciągały setki Polaków, ale także Rosjan i Ukraińców. Występował często na nich m.in. znany pianista polski Jan Kleczyński (1837–1895). Swoje recitale wypełniał utworami Fryderyka Chopina, stając się prawdopodobnie pierwszym propagatorem muzyki tego wielkiego polskiego kompozytora w Kijowie. W Kijowie często koncertował z powodzeniem także polski pianista rodem z Warszawy Henryk Bibiński (1861–1914), uczeń Zygmunta Noskowskiego, Teodora Leszetyckiego (Wiedeń) i Szostakowskiego (Moskwa). Prawdopodobnie na tych koncertach występował młody pianista Ignacy Paderewski, który był przez rodzinę związany z odległym od Kijowa 138 km Żytomierzem (stolica guberni wołyńskiej), gdzie podczas pobytów koncertował, a że odwiedzał Kijów, więc zapewne i tu koncertował. Nie był wtedy jeszcze światowej sławy pianistą, więc prasa rosyjska nim się nie interesowała. W 1890 roku Paderewski rozważał kupno domu w Kijowie, jednak ostatecznie, ze względów rodzinnych, wybrał Żytomierz. W polskiej drukarni Leona Idzikowskiego w Kijowie w 1902 roku zostało wydane po raz pierwszy libretto opery Ignacego Paderewskiego „Manru: opera w 3-ch aktach”. Można tu dodać, że ojciec pianisty, Jan, za udział w Powstaniu Styczniowym 1863 był przez rok więziony w Kijowie.

No i rzecz najważniejsza: Kijów zawdzięczał swój wielki rozwój przed I wojną światową dwóm czynnikom: rozbudowie sieci kolejowej na Ukrainie, a przede wszystkim powstaniu i rozwojowi bardzo wielkiego przemysłu cukrowniczego na Ukrainie, tworzonego głównie przez Polaków; na 180 cukrowni na Ukrainie 96 należało do Polaków („Pamiętnik kijowski”, t. 2, Londyn 1963, str. 263), no i ogólnemu wkładowi Polaków w życie gospodarcze Ukrainy: do Polaków należało kilka milionów hektarów ziemi uprawnej i lasów, z 400 gorzeln 154 należało do Polaków, a kapitał polskich banków, głównie w Kijowie, wynosił przed I wojną światową zawrotną wprost sumę 430 milionów rubli, a łączną wartość całego polskiego kapitału wyceniono na blisko 10 miliardów rubli w złocie. Polscy przemysłowcy i ziemianie finansowali wiele inwestycji gospodarczych, także w Kijowie (S. Koper).

Takim kapitałem jak ukraińscy Polacy nie dysponowali wszyscy Ukraińcy na Ukrainie, a tym bardziej w Kijowie. Czyli na to, że Kijów stał się wielkim i nowoczesnym miastem, duży wpływ miała działalność gospodarza Polaków na Ukrainie.

Jak widzimy, pomimo tych wszystkich nakazów i zakazów polskość Kijowa wzrastała w liczbach, prężniała gospodarczo i żyła swoim życiem podziemnym. Jak prężna i patriotyczna była ta społeczność, udowodniły jeszcze bardziej wydarzenia, które nastąpiły po rewolucji w Rosji i w zaborze rosyjskim (Królestwo Polskie) w latach 1904-05 i po sromotnie przegranej przez Rosję wojnie z Japonią. Car Mikołaj II musiał pójść na ustępstwa. 30 października 1905 roku wydał Manifest konstytucyjny, w którym obiecał poszanowanie podstawowych wolności obywateli, powołanie parlamentu. Manifest tolerancyjny cara Mikołaja II pozwalał Polakom używać języka ojczystego w miejscach publicznych, zakładać polskie szkoły, wydawać własną prasę, organizować polskie występy teatralne i zakładać towarzystwa kulturalno-społeczne i charytatywne. W Kijowie powstał wówczas Polski Komitet Wyborczy (prezes Antoni Czerwiński). W 1906 roku do rosyjskiej I Dumy Państwowej weszło 2 Polaków z guberni kijowskiej: Stanisław Horwatt i Henryk Zdanowski. W kijowskiej 80-osobowej Radzie Miejskiej, zdominowanej przez nacjonalistów rosyjskich, w 1910 roku było 6 Polaków. Kijów stał się jednym z najaktywniejszych centrów polskiego życia kulturalnego na emigracji. A, jak pisze w swoich wspomnieniach zatytułowanych „W cieniu Złotej Bramy” (Londyn 1959) kijowianin Xawery Glinka: „*W sklepach, restauracjach, kawiarniach, na ulicy język polski jeśli nie dominował, to panował na równi z rosyjskim*”. Ukraińskiego języka nie było słychać, gdyż Ukraińcy nie mieli odwagi mówić w swoim języku przy Rosjanach.

Polacy „prawosławni” z musu mogli po ukazie carskim z 1905 roku przejść do Kościoła katolickiego, z czego skorzystało 200 000 osób. Z tego prawa skorzystali także prawosławni wbrew swej woli Polacy w Kijowie; np. tylko w samym 1908 roku powróciło na wiarę katolicką 439 polskich kijowian (powroty na katolicyzm trwały od 1905 do 1920 roku). Polacy mogli także nabywać dobra ziemskie i być ich administratorami. Władze carskie ciągle nie godziły się na powstanie prywatnych szkół polskich. W Kijowie powstało jednak w 1907 roku znane i ze wspaniałą obsadą polską pedagogiczną (m.in. Ludwik Janowski, Henryk Ułaszyn, Witold Klinger, Henryk Jakubenis, Aureli

Drogoszewski, Stanisław Srokowski) prywatne gimnazjum dla dziewcząt Wacławy Peretiatkowiczowej i gimnazjum Wołodkiewicza, które chociaż musiały nauczać po rosyjsku, były z ducha polskie, a język polski był jedynie przedmiotem nieobowiązkowym; po upadku caratu w 1917 roku językiem wykładowym wszystkich przedmiotów został język polski. Szkoła średnia Peretiatkowiczowej w 1914 roku uzyskała uprawnienia gimnazjum, podobnie jak i „polskie” gimnazjum męskie Naumenki, co pozwoliło ich uczniom zdawać maturę. W 1915 roku Peretiatkowiczowa otworzyła drugie gimnazjum, w którym pracowali wybitni polscy pedagodzy, m.in. Ludwik Janowski, Henryk Jakubanis, Henryk Ułaszyn, Teodor Mianowski. Przy gimnazjum Peretiatkowiczowej było przedszkole polskie, w którym swoje obserwacje pedagogiczne nad dziećmi prowadził wówczas wybitny polski pedagog i teoretyk wychowania, lekarz oraz pisarz Janusz Korczak, jeden z tragicznych bohaterów z okresu II wojny światowej i holokaustu w okupowanej przez Niemców Warszawie. Władze carskie wyraziły zgodę na powstawanie prywatnych polskich szkół podstawowych dopiero 1 lipca 1914 roku. Pierwsza taka szkoła została otwarta przy katolickiej parafii św. Aleksandra w Kijowie; zapisanych zostało do niej 150 dzieci; w roku szkolnym 1917/18 do 10 polskich szkół podstawo-

wych uczęszczało 1525 dzieci; w mieście było wówczas także 8 gimnazjów polskich. Przed upadkiem caratu w lutym 1917 roku istniały na Ukrainie 103 szkoły polskie, do których uczęszczało 8800 dzieci, a w roku szkolnym 1917/18 w samej guberni kijowskiej było już 207 polskich szkół z 11 154 uczniami. Powstało w Kijowie Polskie Kuratorium Oświatowe na Rusi i w mieście drukowano podręczniki dla tych szkół.

W Kijowie powstały liczne organizacje i różnego rodzaju placówki polskie. Już w 1905 roku powstał i to w centrum miasta – na Kreszczatiku *vis a vis* Hotelu Europejskiego duży, elegancki i reprezentacyjny Polski Klub „Ogniwo” (pierwszy prezes, znany adwokat Lucjan Knoll), z własnym lokalem i dużą salą imprezowo-teatralną, Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Patagonia” z własnym obszernym lokalem przy ul. Luterskiej, które poza działalnością sportową (sekcje: gimnastyczna, wioślarska, kolarska, szermierki, łyżwiarska, wycieczek pieszych) stało się także ważną organizacją społeczną (np. spotkania towarzyskie, odczyty, zabawy taneczne, bale kostiumowe), w 1907 roku Koło Kobiet Polek, którego działalność objęła różne dziedziny życia społecznego do 1920 roku, Polska Macierz Szkolna (inicjatorka Zofia Żukiewiczowa), Polskie Towarzystwo Oświata, Bratnia Pomoc Studentów, gniazdo Sokoła,



Kijów, ulica Funduklejska. Widokówka z przełomu XIX i XX wieku

60-osobowy dobry chór „Lutnia” i inne różne polskie placówki.

Jedną z pierwszych polskich placówek kulturalnych w Kijowie powstałych po 1905 roku było Towarzystwo Miłośników Sceny, do którego założenia przyczyniła się wnuczka Józefa Ignacego Kraszewskiego, Konstancja Łozińska-Staniszeńska (1867–1944), literatka i animatorka amatorskiego ruchu teatralnego. W 1906 roku Towarzystwo Miłośników Sceny przekształciło się w Polskie Towarzystwo Miłośników Sztuki, które miało trzy sekcje: sztuki dramatycznej, muzyczną oraz rzeźby i malarstwa. Jego celem było szerzenie kultu sztuki wśród społeczeństwa polskiego. Towarzystwo przystąpiło do urządzania przedstawień teatralnych, koncertów, wieczorów literackich i artystycznych (T. Zienkiewicz, „Polskie życie literackie w Kijowie w latach 1905–1918”, Olsztyn 1990). Przy Towarzystwie działała amatorska grupa teatralna (w sezonie 1907–08 reżyserem zespołu został Antoni Siemaszko), a już od 1905 roku Kijów zaczęły odwiedzać polskie zespoły teatralne. W 1908 roku przy ul. Meryngowskiej powstał w Kijowie stały Teatr Polski pod dyrekcją Franciszka Rychłowskiego, o bogatym repertuarze i z gronem wybitnych zawodowych aktorów scen polskich. W latach 1916–18 Teatr Polski w Kijowie należał do najlepszych scen na wszystkich ziemiach historycznej Polski.

W 1909 roku powstało w Kijowie Koło Literatów i Dziennikarzy Polskich. W czasie I wojny światowej w mieście mieszkali pisarze: Kornel Makuszyński – późniejszy twórca słynnych „Przygód koziołka Matolka” (w latach wojny prezes Koła), Melchior Wańkowicz, Jerzy Bandrowski, Aureli Drogoszewski, Tadeusz Miciński, Stanisław Pieńkowski, Władysław Guenther, Janusz Korczak, Tadeusz Nalepiński i in.; jako poeta zadebiutował w 1915 roku na łamach pisma „Pióro” ówczesny student Uniwersytetu Kijowskiego Jarosław Iwaszkiewicz; wcześniej z Kijowem był związany przez wiele lat także znany poeta polski Bolesław Leśmian.

Kijów stał się centrum wydawniczym prasy polskiej i polskich książek na dawnych polskich ziemiach ukraińskich i innych ziemiach ukraińskich (np. Odessa, Charków). W latach 1906–1920 w Kijowie było wydawanych aż 75 czasopism polskich, z których cztery były dziennikami: „Dziennik Kijowski” 1906–20, „Goniec Kijowski” 1911–14, „Gazeta Kresowa” 1912 i „Gazeta Narodowa” 1917. Została założona duża Drukarnia Polska. Pierwszy dziennik polski w Kijowie „Dziennik Kijowski” w swoim artykule wstępnym w

pierwszym numerze pisma z 1 lutego 1906 roku głosił cywilizacyjną rolę Polaków na Kresach oraz hasła „służby kresowej” i „obrony narodowych, kulturalnych i religijnych interesów Polaków na ukraińskiej Rusi” i hasłom tym był wierny do końca swego istnienia w 1920 roku. Dziennik ten subsydiował powstały Wydział Krajowy, reprezentujący Kijów, Podole, Wołyń i Kijowszczyznę i nadający kierunek polskiemu obozowi na Kresach ukraińskich. Zostały założone Zakłady Graficzne „Drukarz Polski” (ul. Włodzimierska 34), które drukowały m.in. polskie czasopisma i liczne książki.

Powstały w Kijowie także nowe tajne polskie organizacje niepodległościowe, jak np. założony przez Henryka Józewskiego w 1910 roku Związek Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej, Stowarzyszenie Demokratyczne Młodzieży Polskiej na Ukrainie i Stowarzyszenie Młodzieży Postępowej Polskiej „Spójnia”, a w 1914 roku Polski Związek Polityczny na Rusi. W 1908 roku Józef Piłsudski założył tu związek paramilitarny Związek Walki Czynnej. Działał tu także Związek Strzelecki oraz w latach 1912–20 polskie harcerstwo. W 1909 roku hrabia Michał Tyszkiewicz założył Towarzystwo Przyjaciół Pokoju.

Harcerstwo polskie na Ukrainie ma swoje korzenie w Kijowie. Tutaj w 1912 roku student Uniwersytetu Kijowskiego i członek Narodowej Organizacji Akademickiej „Polonia” Józef Dybowski założył zastęp skautowy „Kruków”; jego zastępowym został Władysław Niekrasz, późniejszy historyk harcerstwa polskiego. Na początku 1914 roku powstała w Kijowie Komenda Skautowa na Rusi (komendant Stefan Radomski), która ściśle współpracowała z harcerstwem polskim we Lwowie (w listopadzie 1914 roku harcerstwo w Kijowie miało 82 członków). W związku z rozwojem harcerstwa polskiego na Ukrainie 26 listopada 1914 roku Komenda Skautowa przekształciła się w Związkową Komendę Skautową na Rusi (naczelnik Stefan Radomski), a ta z kolei na I Zjeździe Harcerskim w Kijowie w grudniu 1915 roku na Naczelnictwo Harcerstwa z siedzibą w stolicy Ukrainy (naczelnik Stanisław Sedlaczek, przewodniczką harcerek była Zofia Smolkówna-Grabska). Na czele powstałego Towarzystwa Popierania Ruchu Harcerskiego stali: Antoni Czerwiński – przewodniczący, hr. Roman Bniński – sekretarz i hr. Władysław Dzieduszycki – skarbnik. W 1916 roku harcerstwo polskie na Rusi (Ukrainie) miało 2350 członków w 37 środowiskach, a w 1918 roku już 5133 harcerczy i 2717 harcerek i 240 instruktorów w 80 gniazdach, w 95 drużynach harcerczy i 64 drużynach

harcerek, 17 drużyn wilcząt, 521 zastępów męskich i 286 zastępów żeńskich. W Kijowie mieściła się jedna z czterech polskich Komend Chorągwi oraz wydawano pismo „Młodzież”, przekształcone następnie w „Harcę”, które było oficjalnym organem Naczelnictwa Harcerstwa w Kijowie w latach 1916-19. W czerwcu 1919 roku ostatni członkowie Naczelnictwa Harcerskiego opuścili Kijów, udając się do wolnej Polski.

Jak pisze Zygmunt Andrzejowski: *„Prężność życiowa ludności polskiej (Kijowa) była bardzo duża i pod względem zdolności organizacyjnych ustępowaliśmy jedynie Niemcom, lecz oni mieli o wiele łatwiejsze warunki, byli zamożniejsi i popierani przez rząd rosyjski”* („Pamiętnik Kijowski”, t. 3, Londyn 1966). Jednak i Polscy w Kijowie byli dość zamożni jako całość, a przede wszystkim jest faktem, że nie skąpili grosza na polskie cele narodowe. Stąd były tak duże osiągnięcia Polonii kijowskiej na każdym polu.

Wielki „wybuch” polskości w Kijowie [...] przestraszył władze carskie. W 1908 roku premier rosyjski Piotr Stołypin i grupa tzw. „prawdziwych Rosjan” opracowuje projekty ustaw, dotyczące ograniczenia żywiołu polskiego w granicach państwa rosyjskiego. Puszczono w ruch antypolską maszynę, jednak wybuch I wojny

światowej latem 1914 roku roztrzaskał ją, zanim się na dobre uruchomiła. Stołypinowcy zdążyli jednak w 1908 roku zlikwidować Polskie Towarzystwo Oświata w Kijowie. Miasto zdominowane przez prawosławnych Rosjan także krzywym okiem patrzyło na ożywioną po 1905 roku aktywność katolicką na jego terenie. Kijowska prasa pełna była nagonek na katolików. Kilku księży skazano za przyjmowanie do Kościoła katolickiego Polaków, którzy do tej pory wbrew własnej woli musieli być prawosławnymi, jak również za działalność narodowo-patriotyczną.

Latem 1914 roku wybuchła I wojna światowa. Niemcy i Austro-Węgry rozpoczęły wojnę z Rosją. Początkowo w walce z Austro-Węgrami Rosja zajęła wschodnią Galicję ze Lwowem. Jednak w 1915 roku Niemcy i Austro-Węgry rozpoczęły wielką kontrofensywę. Wojska rosyjskie nie tylko zostały wyparte z Galicji Wschodniej, ale także z Królestwa Polskiego (Warszawa). Na wschód podążyła wielka fala dobrowolnych uchodźców polskich albo zmuszonych do wyjazdu przez władze rosyjskie. W samej guberni kijowskiej znalazło schronienie aż 57 400 polskich uchodźców („Historia Polski. Tom III 1850/1864-1918. Część 3 1914-1918”, Warszawa 1974), z których ok. 30-40 ty-



Kościół św. Aleksandra w Kijowie. Fot. z końca XIX w.

się zatrzymało się w Kijowie; bardzo wielu z nich pochodziło ze Lwowa, stąd Kijów nazywany był wówczas niekiedy „drugim polskim Lwowem”. Tym samym ludność polska w mieście wzrosła do 90-100 tys. osób, co stanowiło około 20% mieszkańców miasta w czasie wojny. Wiele tysięcy Polaków znalazło się wówczas także w najbliższych okolicach Kijowa.

W Internecie można znaleźć wspomnienia Bolesława Józefa Biegi, Polaka przybyłego wówczas do Kijowa ze Lwowa (do 1918 r. był polskim działaczem studenckim w Kijowie), w których czytamy: *„Kijów robi na mnie osobliwe wrażenie, dlatego, że (choć) jestem w kraju dla siebie obcym, ale nie czuję się tam zupełnie obcym, ponieważ w Kijowie jest atmosfera w dużej mierze polska. Kijów jest dużym środowiskiem, skupiskiem tamtejszych Polaków. Jest duży polski dziennik «Dziennik Kijowski», jest filia Banku Warszawskiego, jest też teatr polski i są lokale i kawiarnie polskie. Na ulicy słyszy się dość często język polski, a w niektórych lokalach mówi się wyłącznie po polsku. Przypominam sobie o dużej kawiarni «France Soiree», w której cały personel, prawie cała publiczność mówiła po polsku, chociaż tam też przychodzili oficerowie rosyjscy i ukraińscy. Tam też człowiek czuje się zupełnie jak u siebie w domu”*.



Kościół św. Mikołaja w Kijowie. Fot. z początku XX w.

Wybuch wojny zmusił władze carskie do zmiany swojej dotychczasowej polityki wobec Polaków. Chcąc ich pozyskać dla rosyjskich celów wojny musiał pójść na dużo większe ustępstwa w odniesieniu do aspiracji polskich, niż te, jakie przyznawał im w 1905 roku. Opieką nad uchodźcami polskimi w Kijowie zajęło się powstałe w 1915 roku bardzo aktywne i naprawdę pomocne Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny (prez. Stanisław Horwatt), a ich sprawami Centralny Komitet Obywatelski Królestwa Polskiego (pełnomocnik kijowski Stanisław Moskałewski) oraz Lwowski Komitet Ratunkowy, na którego czele stał Stanisław Grabski; niósł on pomoc mieszkającym w Kijowie Polakom z Galicji (głównie ze Lwowa). Kijowskie Rzymsko-Katolickie Towarzystwo Dobroczynne, którym w okresie I wojny światowej kierował ks. Teofil Skalski, prowadziło dwa szpitale, dom pracy, biuro pośrednictwa pracy, trzy ochronki, przytułek dla starców, tanie kuchnie oraz zapewniało pomoc lekarską i odzież dla ubogich. W Kijowie zaczęto wydawać 11 nowych czasopism polskich, a obok istniejącej już wypożyczalni książek polskich w Księgarni Leona Idzikowskiego, powstały trzy inne duże polskie wypożyczalnie książek: Gieryna, Rakowskiej i Skibniewskiej.

17 lutego 1917 roku została obalona monarchia w Rosji (15 marca abdykował car Mikołaj II). Na czele państwa stanął Rząd Tymczasowy (premier G.J. Lwów). Zostały rozpisane powszechne wybory do rosyjskiej konstytuandy. Rozpoczęła się bardzo szeroka akcja przygotowawcza do tych wyborów. Wydarzenie to spotkało się z dużym zainteresowaniem ze strony Polaków w Kijowie i na całej Ukrainie, ponieważ większość z nich stanowił element miejscowy od wielu pokoleń i stąd byli oni zainteresowani w wywieraniu pewnego wpływu na życie polityczne kraju. Pracowano w tym kierunku, aby do tej konstytuandy wprowadzić elementy bardziej umiarkowane i rozumiejące także sytuację i potrzeby Polaków na Ukrainie. Stąd w niektórych większych polskich środowiskach na Ukrainie zostali zgłoszeni polscy kandydaci do tej konstytuandy. Niestety, rewolucja bolszewicka (listopad 1917 r.) zniweczyła te plany. Demokratów zastąpiła u władzy dzicz bolszewicka. Najpierw w Rosji, a potem na Ukrainie.

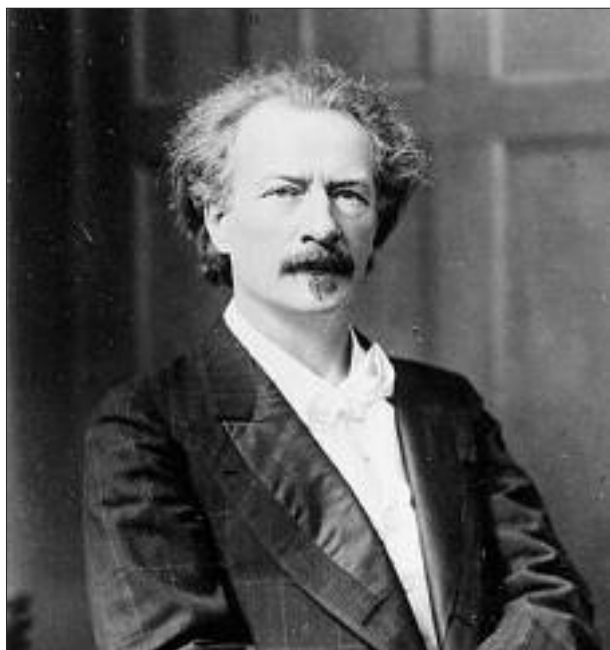
Po upadku caratu w Rosji (15.02.1917 r.) rozwój życia polskiego w Kijowie w latach 1917-18 doszedł do swego zenitu, gdyż Polacy cieszyli się wówczas większą wolnością niż za caratu. Rozwinęła się w Kijowie działalność polityczna wszystkich polskich opcji politycznych. Obok dotychczas działających w konspiracji

grup politycznych powstały nowe, m.in.: Polski Związek Demokratyczny na Rusi (26.03.1917 r.) i Polska Grupa Demokratyczno-Niepodległościowa (07.1917 r.), które niebawem połączyły się w Polską Centralę Demokratyczną, Stronnictwo Pracy Narodowej i Klub Narodowy Polski. Polacy w Kijowie i na Ukrainie zorganizowali w mieście cztery wielkie zjazdy działaczy polskich: 11.03., 16.03., 18-24.03. i 8-24.06.1917 roku. Ten ostatni, z udziałem 556 delegatów reprezentujących 233 organizacje polskie na Ukrainie, odbył się pod przewodnictwem hr. Zdzisława Grocholskiego. Powołał on do życia wspólny polski samorząd pod nazwą Polski Komitet Wykonawczy na Rusi (prez. Joachim Bartoszewicz), który nie tylko koordynował działalność polską na ziemiach ukraińskich/Ukrainie. Polski Komitet Wykonawczy składał się z 15 członków i 3 zastępców. Członkami zostali: Marian Baraniecki, Joachim Bartoszewicz (prezes), Zygmunt Berezowski, Roman Bniński (skarbnik), Wincenty Chojecki, Zygmunt Chojecki, Włodzimierz Dzieduszycki, Kazimierz Domosławski, Stanisław Jezierski, Roman Knoll, Feliks Krzyżanowski, Jordan Poreświat-Sołtan, Bolesław Porro, M. Wilczyński i Stanisław Zieliński (sekretarz). Zastępcami członków zostali: Stanisław Kalinowski, A. Mickiewicz i Karol Waligórski. Z polskich organizacji akademickich do Komitetu Wykonawczego z Korporacji wszedł Kazimierz Domosławski, a z Polonii Zygmunt Berezowski. Polski Komitet Wykonawczy posiadał 4 wydziały: spraw wewnętrznych, zagranicznych, oświaty i skarbowości oraz trzy komisje: dla uwolnienia więźniów i wysiedlonych Polaków, dla spraw agrarnych i dla spraw likwidacyjnych oraz sekcję milicji polskiej. Poza tym Komitet przystąpił do powoływania swoich przedstawicieli prowincjonalnych, tak zwanych komisarzy.

Nastąpił teraz również wysyp nowych organizacji i placówek polskich różnego typu w Kijowie. W 1917 i 1918 roku powstały w stolicy Ukrainy m.in. takie organizacje i placówki polskie jak: agencja prasowa Polskie Biuro Prasowe (1.01.1918 r.), Centralny Komitet Obywatelski, Rada Okręgowa Kijowska, Komisariat Komisji Likwidacyjnej do Spraw Królestwa Polskiego na całą Ukrainę, Polska Zjednoczona Komisja Krajowa Organizacji Ratowniczych, Towarzystwo Pracowników Polskich, Polskie Stowarzyszenie Drukarzy i Pokrewnych Zawodów na Ukrainie, Federacja Pracy (początek 1918), Spółdzielnia „Sami Sobie”, Polskie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości na Rusi, Towarzystwo Popierania Ruchu Harcerskiego, Towarzystwo

Polskiej Wiedzy Wojskowej, Polski Komitet Pomocy Sanitarnej, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze na Rusi, Związek Ziemian Polaków (prez. Stanisław Horwatt), Polska Komisja Przewozowa Powrotu do Kraju, Związek Kolarzy Pragnących Powrócić do Kraju. Od 1916-18 roku w Kijowie, w pałacyku Gotowca przy ul. Uniwersyteckiej działał drugi polski teatr „Studia” pod kierownictwem wielkiej polskiej aktorki i reżyserki Stanisławy Wysockiej, na deskach którego występowali m.in. tacy wyśmienici aktorzy, jak Stefan Jaracz, Juliusz Osterwa i Antoni Fertner, a w 1918 roku trzeci teatr – teatr Juliusza Osterwy. Na początku 1918 roku w pałacyku przy Kreszczatiku powstał polski salon sztuki d’art, a ludzie sztuki: Mieczysław Treter, Leon Kowalski (w Krakowie był pierwszym prezesem Związku Polskich Artystów Plastyków), Wincenty Drabik i Kazimierz Dunin-Markiewicz przystąpili do organizowania Polskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Bardzo ważną i zasłużoną placówką było Polskie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości na Rusi. Powstało w 1917 roku po napadach grabieżczych na wiele polskich dworów i pałaców ziemiańskich na ziemiach ukraińskich, podczas których zniszczeniu uległo wiele cennych księgozbiorów, starych archiwów rodzinnych i zbiorów sztuki. Celem organizacji było: *„przeciwdziałać strasznemu dziełu zniszczenia, jakiego dokonywa w stosunku do zabytków naszych tocząca się wojna. Zinwentaryzować to wszystko, co jeszcze bezpowrotnie zniszczeniu ulec nie zdołało, zabezpieczyć odpowiednio przed nieuchronną zgubą, uratować dla ojczyzny szanowne resztki świetnej naszej naukowej i artystycznej kultury, te nieledwie szczątki świętej naszych przodków spuścizny, pracować nad odzyskaniem tego, co nam narodowi i państwu polskiemu dawniej przemocą wydarto i co z kraju przemocą wywieziono”*. Prezesem Towarzystwa był hr. Franciszek Potocki, wiceprezesem hr. Ludgard Grocholski, sekretarzem historyk sztuki dr. Mieczysław Treter. Towarzystwo miało szereg filii na terenie Ukrainy, m.in. w Humaniu, Kamieńcu Podolskim, Winnicy, Żytomierzu i Romnach. Towarzystwo nawiązało współpracę z Polską Komisją Likwidacyjną do spraw Królestwa Polskiego w Petersburgu, która ustanowiła przy nim swego delegata. Pracę Towarzystwa popierał Wydział Opieki nad Zabytkami przy Generalnym Sekretariacie Ukraińskiej Republiki Ludowej, które pomagał w transporcie księgozbiorów i dzieł sztuki. W dziedzinie pracy naukowo-archiwalnej i bibliotecznej przodował ośrodek kijowski, którego aktywiści prowadzili prace w bibliotece i archiwum Uniwersytetu



Ignacy Paderewski

Św. Włodzimierza. Okazało się, że oprócz skonfiskowanych księgozbiorów Liceum Krzemienieckiego, Uniwersytetu Wileńskiego i Wileńskiej Akademii Medycznej były tu przechowywane księgozbiory polskich szkół prowincjonalnych i prywatnych z terenu Ukrainy. Natomiast dział numizmatyczny zawierał ekspozycje z Liceum Krzemienieckiego, Uniwersytetu Wileńskiego, gimnazjum w Łucku na Wołyniu i szkoły bazylińskiej w Humaniu na Kijowszczyźnie. Towarzystwo zajmowało się ratowaniem – przewożeniem do Kijowa ocalałych jeszcze księgozbiorów i zbiorów dzieł sztuki i umieszczaniem ich w bezpiecznych magazynach (niestety, później wiele zabezpieczonych księgozbiorów i dzieł sztuki wpadło w ręce bolszewików i dzisiaj zamiast w Polsce jest w bibliotekach i muzeach Ukrainy i Rosji). Kierował tą akcją dr M. Nałęcz-Dobrowolski, który zorganizował objazdową delegaturę, która zabezpieczała i w miarę możliwości inwentaryzowała cenne zabytki, biblioteki i archiwa. Organem prasowym Towarzystwa był poświęcony dziejom i zabytkom sztuki i kultury miesięcznik „Muzeum Polskie”, którego redaktorem był Ludgard Grocholski, a kierownikiem artystycznym Mieczysław Treter. Jest on dzisiaj kopalnią cennych informacji na temat szeroko pojętego polskiego życia kulturalnego na terenie Ukrainy („Zarys działalności Polskiego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości na Rusi w Kijowie w latach 1917–1918” (w:) „Trudne sąsiedztwo. Studia

z dziejów stosunków polsko-rosyjsko-ukraińskich w XVI–XX wieku”, Toruń 2007).

Oczkiem w głowie działaczy polskich w Kijowie było szkolnictwo polskie na Ukrainie. Zajął się nim poważnie, jak również działalnością kulturalną i ochroną polskiego dziedzictwa narodowego na Ukrainie Polski Komitet Wykonawczy na Rusi poprzez Wydział Oświaty. W Kijowie szkołami polskimi opiekowała się również Polska Macierz Szkolna (prez. Józefat Andrzejowski). Działało Biuro Centralnego Związku Korporacji Uczniowskich na Rusi. Pomimo ciężkich warunków wojennych, rewolucji i anarchii na Ukrainie w latach 1917–18 powstało 1300 szkół polskich, w tej liczbie 36 średnich, 1256 powszechnych i 9 zawodowych, w których uczyło się 85 tysięcy dzieci i młodzieży. W Kijowie działało wówczas 10 polskich szkół podstawowych i 8 gimnazjów, szkoły zawodowe oraz pierwsza w dziejach miasta polska wyższa uczelnia – Polskie Kolegium Uniwersyteckie (1917–1919), mająca 718 studentów. Jego rektorem był wybitny historyk kultury i oświaty Ludwik Janowski, następnie profesor polskiego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W Kolegium wykładali wybitni profesorowie polskich uczelni ze Lwowa, Krakowa i Warszawy, a także polscy pracownicy naukowcy wyższych uczelni Kijowa. Największy zespół gimnazjów i szkół polskich w Kijowie mieścił się w bardzo dużym budynku przy ul. Ryłski Zaulek 10, tuż obok placu Bohdana Chmielnickiego i w bliskim sąsiedztwie Soboru św. Zofii. Powstało tu także Polskie Towarzystwo Naukowe oraz inne towarzystwa naukowe i oświatowe jak: Towarzystwo Popierania Nauki i Kultury Polskiej na Rusi, Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe (prez. Brunon Bartoszewicki), Towarzystwo Prawników Polskich (Polskie Tow. Naukowe Prawnicze), Polskie Towarzystwo Lekarskie, Polskie Stowarzyszenie Techniczne, Związek Inżynierów i Techników Polskich na Rusi (prez. Stefan Bryła), Polski Uniwersytet Powszechny, Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego.

Ożywiło się również polskie życie religijne. Z braku dostatecznej ilości kościołów msze były odprawiane co godzinę. Np. w kościele św. Aleksandra, gdzie proboszczem w latach 1913–26 był ks. Teofil Skalski (w latach 1926–32 więzień NKWD), nawet w dni powszednie msze były odprawiane od 6 do 11 rano. W Kijowie znalazło się przez wojnę kilkudziesięciu księży polskich i stałych księży mieszkano na plebanii 13, a do 1918 roku Msze św. w kościele odprawiało codziennie 24–26 księży. Bardzo ożywiona była działalność Kato-

lickiego Stowarzyszenia Dobroczynności oraz katolickich stowarzyszeń społecznych: Towarzystwa św. Zyty i Towarzystwa „Dźwignia” dla pracujących kobiet, które ks. Skalski założył najpierw w Żytomierzu, gdzie mieszkał przed przybyciem do Kijowa. W latach 1899–1906 w pobliżu centrum przy ul. Wielkiej Wasylkowskiej wybudowano drugi kościół polski pw. św. Mikołaja. Administracja carska nie chciała wydać zgody na budowę nowego kościoła katolickiego. Dopiero prośba o zgodę, którą podpisało aż 314 najbardziej znanych i często bardzo zasłużonych polskich kijowian, których nawet carat nie mógł zignorować, znieśli ją do udzielenia zgody na budowę kościoła. Budowa kościoła miała kosztować 600 000 rubli. Zbiórką ofiar kierował Komitet ds. Zbierania Ofiar, na którego czele stanął Leonard Jankowski z pomocą m.in. hr. Władysława Branickiego i hr. Józefa Potockiego; sam L. Jankowski ofiarował na świątynię 100 000 rubli. Kościół św. Mikołaja, wzniesiony w stylu neogotyckim i mający dwie strzeliste wieże wysokości 62 m, jest widoczny z daleka i robi imponujące wrażenie – jest jedną z najpiękniejszych świątyń Kijowa i – ze względu na swój styl – symbolem jego polskości.



Ks. Teofil Skalski

W 1913 roku przystąpiono do budowy trzeciego kościoła polskiego na Padole według projektu inżyniera architekta Karola Iwanickiego; kościół ten p.w. św. Józefa Oblubieńca, który miał mieć także kościół dolny, w chwili wybuchu wojny wyciągnięty był pod dach. Czwarty kościół był zaprojektowany i plac przygotowany na budowę. Do 1919 roku w Kijowie było także 15 kaplic katolickich, z których niektóre mogły pomieścić 100 osób (w gmachu I Gimnazjum, w Korpusie Kadetów, w instytucie Panien Szlachcianek). Ładna i duża kaplica katolicka na uniwersytecie, po skasowaniu wydziału teologicznego w 1862 roku, została przebudowana na cerkiew.

Idea zbrojnej walki o niepodległość Polski nie ominęła także i polskiego Kijowa. W 1915 roku powstał w Kijowie związek paramilitarny Polska Organizacja Wojskowa (POW), który działał do 1919 roku (ostatni komendant Stefan Bieniewski). Wiosną 1918 roku powołano w Kijowie Komendę Naczelną POW nr 3, która swą kierowniczą działalnością obejmowała Rosję i Ukrainę. Po upadku caratu w lutym 1917 roku Polacy służący w armii rosyjskiej zaczęli tworzyć polskie oddziały wojskowe. W Kijowie 21 lutego 1917 roku zaczęto formować Dywizję Strzelców Polskich pod dowództwem gen. Tadeusza Bylewskiego, a 4 grudnia 1917 roku III Korpus Polski w Rosji pod dowództwem gen. Eugeniusza de Henning-Michaelisa. 2 stycznia 1918 roku powstał Inspektorat Polskiej Siły Zbrojnej na Ukrainie, któremu podporządkowano I i II Korpus Polski w Rosji; przebywał on w Kijowie do 8 lutego 1918 roku. Prezydent Polski w latach 1939-47 Władysław Raczkiewicz w 1918 roku sprawował funkcję prezesa Rady Naczelnej Polskiej Siły Zbrojnej z siedzibą w Kijowie. Po upadku caratu w lutym 1917 roku powstało w Kijowie Towarzystwo Wiedzy Wojskowej, które od marca do września 1917 roku wydawało w stolicy Ukrainy tygodnik „Wiadomości Wojskowe”, redagowany przez Henryka Bagińskiego (redakcja pisma została przeniesiona do Mińska). W październiku 1917 roku powstało Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego.

Pomimo tak wielkiego rozwoju polskości w Kijowie, nad Polakami na całej Ukrainie wzbierały się jednak ciemne chmury.

Od końca XIX w. w carskim imperium słowo „Ukraina” było zakazane. Ziemię ukraińską nazywały się oficjalnie Małorosją, a język ukraiński małorosyjskim. Zresztą w 1876 roku car Aleksander II zakazał używania małorosyjskiego w piśmie (wyjątkiem były teksty li-

turgiczne i muzyka cerkiewna). Po rewolucji 1905 roku również Ukraińcy uzyskali prawa narodowe. Dopiero w zasadzie od tego roku pojawia się w Kijowie, który, jak pisze Marcin Wojciechowski: *„był wówczas miastem rosyjsko-polsko-żydowskim, Ukraińcy byli tam mniejszością”* („Ukraina bez Rosjan i Polaków”, „Gazeta Wyborcza”, 8.07.2012 r.), sprawa ukraińska – jej obecność w tym mieście zaczęła być powoli zauważalna.

Przed 1905 rokiem otwarta i aktywna ukraińskość w Kijowie była hobby niewielu osób. Nawet ci, i to nie tylko kijowianie, co uważali się za Ukraińców, często mówili po rosyjsku i widzieli Ukrainę najwyżej jako prowincję autonomiczną w granicach Rosji. Nawet rządząca w Kijowie – na Ukrainie Ukraińska Centralna Rada 23 czerwca 1917 roku wydała swój I Uniwersał, w którym proklamowano autonomię Ukrainy w ramach państwa rosyjskiego. Rodzący się od końca XIX wieku współczesny naród ukraiński oraz wylaniająca się na powierzchnię dziejów podczas I wojny światowej Ukraina jako podmiot w polityce europejskiej stanowili wielką niewiadomą nie tylko dla Polaków czy Rosjan, ale także całej Europy, tym bardziej, że nie był to jednolity etnicznie, językowo i kulturalnie naród, a dwie jego główne części żyły w Rosji i cesarstwie austro-węgierskim. [...]

[...]W latach 1917-20 Kijów przechodził z rąk do rąk. Panowali tu nacjonaści ukraińscy, Niemcy wraz z ich marionetkowym rządem ukraińskim byłego generała armii carskiej Pawła Skoropadskiego, biali Rosjanie, bolszewicy, a w maju-czerwcu 1920 roku, w wyniku wojny polsko-bolszewickiej, miasto było w rękach wojska polskiego, po czym przeszło na trwałe pod władzę bolszewików. Wszystkie te zmiany władzy w Kijowie rzutowały – i to w sposób negatywny na społeczność polską w tym mieście, na jej działalność. Okres od lutego 1918 do 7 maja 1920 roku był prawdziwą gehenną dla tamtejszych Polaków, jak również na całej Ukrainie. Bardzo częste były napady rabunkowe na polskie dwory, a nawet na kościoły. Coraz częściej mordowano pojedynczych Polaków lub całe polskie rodziny. Proboszcz katolickiej parafii św. Aleksandra ks. Teofil Skalski pisze w swoich wspomnieniach: *„...nastąpiły dla Kijowa i dla Kresów naszych czasy okropne. Zmieniały się w Kijowie rządy i władze. O ile pamiętam, przeszliśmy przez jedenaście władz i rządów. Każdy z nich utwierdzał się bezboleśnie dla miasta, niekiedy nawet po parodniowym bombardowaniu, każdy coś rekwirował, terroryzował ludność, mordował swoich przeciwników rzeczywistych, ale częściej urojonych, konfisko-*

wał złoto, obalał walutę starą, i wprowadzał swoje bezwartościowe, papierowe pieniądze...” („Terror i cierpienie. Kościół katolicki na Ukrainie 1900–1932”, Kraków 2008). Natomiast Mieczysław Lepecki – późniejszy pisarz, podróżnik i adiutant marsz. Piłsudskiego, tak opisywał ówczesny Kijów: *„Nawet w śródmieściu, na ładnej ulicy Kreszczatik, wiele domów było rozbitych pociskami działowymi, a wszystkie odrapane, brudne. Handel w mieście nie istniał... Zubożała przez rewolucję «burżuazja» i inteligencja (czyli bardzo wielu Polaków – przyp. M.K.) niosła na targ biżuterię, ubranie i bieliznę, otrzymując w zamian mąkę, kaszę i kartofle... Na targach można było dostać wszystkiego... Nie było rzadkością zobaczyć tam bogaty ornat księdza katolickiego, karabele..., złote pierścienie herbowe, kolczyki ze wspianymi kamieniami... Ludność przechodziła straszliwy kryzys głodowy...”* („W blaskach wojny”, Lwów-Warszawa 1936).

Dla obrony ludności polskiej aptekarz kijowski Seweryn Ejzert zorganizował w 1917 roku milicję polską, w której szeregach znalazło się wielu starszych wiekiem harcerzy polskich. W tym samym czasie w Kijowie powstał także polski Komitet do Walki z Anarchią (prez. Zdzisław Grocholski), który położył duże zasługi w organizowaniu oddziałów wojska polskiego na Ukrainie, z Polaków z byłej armii rosyjskiej. Komitet miał szereg filii w terenie, z których najsprawniejszą była filia w Humaniu. Formowane oddziały wojska polskiego brały również aktywny udział w samoobronie polskiej na Ukrainie – w zwalczaniu grabieży, gwałtów i pogromów.

Upadek caratu sprawił, że do władzy w Kijowie 17 marca 1917 roku, drogą zwykłego przypadku i szczęścia, dostali się nacjonaści ukraińscy z tzw. Ukraińskiej Centralnej Rady. Rada ta nie miała większego poparcia wśród Ukraińców, a tym bardziej w rosyjsko-żydowskim Kijowie (te dwie nacje stanowiły większość ludności miasta).

Prawda, Polacy w Kijowie żyli w środowisku rosyjskim i ukraińskim własnym odrębnym życiem, ale tylko dlatego, że Rosjanie (chodzi o zdecydowanie większą część społeczeństwa), a już na pewno władze rosyjskie były wrogami narodu polskiego; jednak mimo wszystko nie była to pełna izolacja. Polacy trzymali dystans wobec Rosjan, jednak po 1905 roku nastąpiło ożywienie kontaktów polsko-rosyjskich, szczególnie w sferze kulturalnej. Natomiast Polacy nie byli wrogo nastawieni do Ukraińców, jak i do idei niepodległej Ukrainy, czemu dali wyraz wielokrotnie, co potwierdzają fakty historyczne. Oto niektóre z nich:

15 lutego 1917 roku tzw. rewolucja lutowa obaliła monarchię w Rosji – abdykował car Mikołaj II. Na dzień 17 marca 1917 roku był wyznaczony wspólny rewolucyjny pochód mieszkańców Kijowa. Polski Komitet Wykonawczy na Rusi podjął decyzję o udziale wszystkich organizacji polskich w pochodzie. Na czele pochodu Polaków szedł prezes Komitetu Wykonawczego Joachim Bartoszewicz i członkowie Komitetu. Następnie szli przedstawiciele różnych polskich organizacji i polskiej młodzieży akademickiej: zwarte grupy „Polonii” i „Korporacji”. Grupa „Polonii” niosła sztandar z Jagiellońskim Orłem na amarantowym tle i wielki transparent z napisem: „Niech żyje wolna, niepodległa Polska z dostępem do morza”; Korporacja niosła sztandar z Białym Orłem na czerwonym tle i trzy transparenty z napisami: „Niech żyje niepodległa Polska”, „Niech żyje niepodległa Ukraina” i „Cześć i chwała bojomnikom za wolność ludów”. Polacy poparli przejęcie władzy w Kijowie i na Ukrainie przez ukraińską Centralną Radę 17 marca 1917 roku. [...]

[...]Odbyty w Kijowie w dniach 8-24 czerwca 1917 roku zjazd przedstawicieli wszystkich środowisk polskich na ziemiach ukraińskich, który powołał do życia Polski Komitet Wykonawczy na Rusi, przyjął rezolucję, stwierdzającą: „*Polacy, stojąc na gruncie samookreślenia wszystkich narodowości, popierają dążenia Ukraińców do rozwoju narodowego i politycznego*”. Wystosowano również adres do Centralnej Rady proponując współpracę (L. Podhorodecki). Profesorowie Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego w Kijowie wzięli udział w otwarciu ukraińskiego Uniwersytetu w Kijowie 5 października 1917 roku. Rektor Kolegium, prof. Ludwik Janowski wygłosił, nawiązując do pozytywnych doświadczeń polsko-ukraińskich, mowę w języku polskim i ukraińskim. W lutym 1918 roku milicja polska w Kijowie wzięła udział po stronie ukraińskiej w obronie Kijowa przed bolszewikami (Armią Czerwoną).

Polacy popierali dążenia niepodległościowe Ukraińców, widząc w tym sprawiedliwość dziejową, jak i dlatego, gdyż wierzyli, że niepodległa Ukraina będzie bardziej życzliwa dla Polaków w tym kraju niż władze rosyjskie. Niestety, także rządy ukraińskie bardzo Polaków rozczarowały.

Adres Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi do ukraińskiej Centralnej Rady proponujący współpracę co prawda nie został odrzucony, ale niewiele to dało, poza tym, że, spośród 80 miejsc w Radzie przeznaczonych dla mniejszości narodowych, 20 miejsc

przysłało Polakom. Tak samo niewiele miało dać m.in. Polakom powołanie w Centralnej Radzie ukraińskiej Sekretariatu ds. Narodowościowych, który opracował projekt przyznania mniejszościom narodowym praw autonomicznych, i który został zawarty w tzw. Trzecim Uniwersale z 20 listopada 1917 roku oraz w uchwalonym w Ukrainie Ludowej przez Małą Radę w styczniu 1918 roku „Prawie o narodowo-personalnej autonomii”. W dokumencie tym stwierdzono, że każda z narodowości zamieszkujących Ukrainę ma prawo do autonomii narodowo-personalnej. Statut taki przyznawano na mocy prawa jednak tylko trzem spośród nich: rosyjskiej, żydowskiej i polskiej. Dokumenty te były czysto propagandowe i obliczone na pokazanie państwu Ententy, że Ukraina jest państwem demokratycznym i dlatego powinna uzyskać międzynarodowe uznanie jako suwerenne państwo. [...]

[...]7 listopada 1917 roku władzę w Rosji przejęli drogą rewolucji motłochu bolszewicy. Związani z nimi bolszewicy ukraińscy nie uznali ukraińskiej Centralnej Rady i w Charkowie 25 grudnia 1917 roku utwo-



Janusz Korczak

rzyli Ukraińską Ludową Republikę Rad. Tak się zaczął bój o bolszewicką Ukrainę. W odpowiedzi na to Ukraińska Centralna Rada ogłosiła w styczniu 1918 powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej i utworzyła rząd, w którym polski prawnik z Kijowa Mieczysław Mickiewicz był ministrem do spraw polskich (25.01.-28.04.1918 r.). 9 lutego 1918 roku bolszewicy zajęli Kijów. Tego samego dnia rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej zawarł traktat brzeski z Niemcami i Austro-Węgrami, w myśl którego na Ukrainę wkroczyła 450-tysięczna armia niemiecko-austriacka. Traktat brzeski miał wyraźne oblicze antypolskie, gdyż przyznawał arbitralnie Ukrainie, o co usilnie starał się rząd ukraiński, polską Chełmszczyznę i Podlasie. Niemcy postanowili mieć w Kijowie jednak swój rząd ukraiński i 29 kwietnia 1918 roku wojska niemieckie dokonały aresztowania rządu i rozpędzenia Centralnej Rady, a władcą Ukrainy został ich kandydat, były generał armii carskiej Paweł Skoropadski, który przyjął tytuł hetmana Ukrainy. Wprowadził rządy dyktatorskie, a w odniesieniu do Polaków m.in. rozwiązał oficjalne przedstawicielstwo Polaków na Ukrainie – Polski Komitet Wykonawczy na Rusi i zastosował represje wobec jego działaczy. Po klęsce militarnej Niemiec w listopadzie 1918 roku, nacjonalistyczny rząd ukraiński (Wynnyczeko i Petlura) 14 grudnia 1918 roku zajął Kijów, a Skoropadski uszedł do Niemiec. [...]

[...]Jednak już 5 lutego 1919 roku Armia Czerwona zajęła Kijów, 30 sierpnia 1919 roku miasto zajęły ponownie rządowe wojska ukraińskie (Petlura), jednak następnego dnia stolica Ukrainy wpadła w ręce wojsk tzw. „białych Rosjan” – białogwardzistów, dowodzonych przez gen. Antoniego Denikina. 16 grudnia 1919 roku władzę w Kijowie przejęli ponownie bolszewicy, a podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku w okresie od 7 maja do 10 czerwca miasto było w rękach wojsk polskich i ukraińskich oraz sprzymierzonego z Polską rządu ukraińskiego atamana Petlury. 12 czerwca do Kijowa wkroczyła już na stałe Armia Czerwona. [...]

[...]Chociaż w ukraińskim Kijowie Polakom było ciężko, okres od marca 1917 do lutego 1918 roku był z pewnością najlepszym od 1648 roku okresem dla Polaków mieszkających w Kijowie. W carskim i ukraińskim Kijowie Polacy byli niechciani, ale ich istnienie było uznawane i przyjmowane. Byli dyskryminowani i ograniczani w swej działalności - ale byli i po 1905 roku coraz więcej mogli się czuć Polakami.

Najgorzej było Polakom w Kijowie i na całej Ukrainie w całych ich dziejach pod rządami bolszewików w

1918 i 1919 roku, kiedy to zaczęły się prześladowania na dużą skalę polskich działaczy społecznych i niepodległościowych, a następnie w okresie sowieckim. Uznani zostali za największych wrogów nowego, bestialskiego ustroju i przez to skazani na fizyczną zagładę. Bowiem niejednokrotnie wystarczyło być tylko Polakiem i odezwać się „na ulicy po polsku, aby być sądzonym jako kontrrewolucjonista” (J. Kupczak, „Polacy na Ukrainie w latach 1921–1939”, Wrocław 1994). Dokonywano częstych rewizji w lokalach polskich organizacji. Przystąpiono do masowych aresztowań Polaków oskarżanych o współpracę z władzami w „burżuazyjnej” Polsce, a także udział w tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Uwięzionych głównie zsyłano do obozów w głąb Rosji, często rozstrzeliwano. Likwidowano polskie organizacje i szkolnictwo, konfiskowano Polakom dorobek ich życia, konfiskowany im często przez utworzony przez bolszewików Ludowy Komisariat do Spraw Polskich, który w imieniu władzy sowieckiej i dla niej obejmował całkowitą kontrolę nad polskim życiem w Kijowie. Do pierwszego głośnego mordu na Polakach doszło w 1918 roku, kiedy CzeKa rozstrzelała braci Mariana i Józefa Lutosławskich za sprzeciwianie się antypolskim decyzjom Ludowego Komisariatu do Spraw Polskich. Z kolei w maju 1919 roku odbył się w Kijowie głośny proces 27 polskich studentów, spośród których 5 zostało skazanych na rozstrzelanie. W tym samym czasie bolszewicy aresztowali w Kijowie wszystkich księży katolickich, w tym sędziwego wiekiem, liczącego 84 lata ks. Stanisława Pomirskiego, uczestnika Powstania Styczniowego 1863 roku. Bardzo często ustępujące pod naporem wojsk polskich oddziały bolszewickie aresztowały Polaków jako zakładników, nie pomijając przy tym dzieci, kobiet i ludzi starszych (Artur Patek, „Polacy na Wschodzie 1917–1922”, Kraków 1995).

Wszystko co Polacy mieli w Kijowie, stracili bezpowrotnie i bez żadnego odszkodowania z chwilą trwałego usadowienia się bolszewików w mieście. Bardzo wielu Polaków straciło coś jeszcze cenniejszego – swoje życie w wyniku terroru tak ukraińskiego, jak i bolszewickiego. Szczęściem dla tysięcy Polaków było odzyskanie niepodległości przez Polskę w listopadzie 1918 roku. Mogli więc wracać do wolnej ojczyzny, gdzie nikt ich nie zabijał za polskie pochodzenie i gdzie mogli swobodnie żyć. Polacy, i to nie tylko uchodźcy wojenni, masowo wyjeżdżali do kraju. Po zajęciu Kijowa przez bolszewików, wczesną wiosną 1918 roku powstał w Kijowie Polski Komitet Centralny Powrotu do

Kraju, który przystąpił do organizowania powrotów na wielką skalę. Akces do Komitetu zgłosiły między innymi następujące placówki polskie w Kijowie: Polska Zjednoczona Komisja Krajowa Organizacji Ratowniczych, Rada Okręgowa Kijowska, Centralny Komitet Obywatelski, Polska Komisja Przewozowa Powrotu do Kraju, Polskie Towarzystwo Lekarskie, Polski Komitet Pomocy Sanitarnej, Związek Kolarzy Pragnących Powrócić do Kraju. Potem z ramienia Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego akcją repatriacyjną Polaków z Kijowa i Ukrainy kierował także Edmund Sobolewski. Polacy, którzy wówczas nie opuścili Kijowa i ziem ukraińskich, mogli z tego skorzystać po podpisaniu w Rydze 24 lutego 1921 roku układu o repatriacji między Polską a Rosją Sowiecką i Ukrainą Sowiecką. Do 30 czerwca 1924 roku powróciło wówczas do Polski ze Wschodu 469 000 Polaków. Z Kijowa wyjechało ponad 70-75 tysięcy osób, czyli 85% Polaków mieszkających tu w 1917 roku. Większość Polaków wyjechała przed listopadem 1919 roku; w miesiącu tym przebywało w Kijowie jeszcze 36 828 Polaków. Na pamięć i wdzięczność zasłużyła sobie Cyna Orlikowska, polska urzędniczka repatriacyjna w Kijowie, która w 1921 roku przybyła do Kijowa z zadaniem ratowania dzieci i młodzieży polskiej. Wspólnie z Szarytkami, siostrami Bogumiłą i Władysławą, ks. Teofilem Skalskim, proboszczem polskiej parafii katolickiej św. Aleksandra w Kijowie oraz jego sekretarzem Zygmuntem Lepiesowskim wyszukiwała polskie dzieci i młodzież, a następnie legalizowała ich wyjazd do Polski wbrew niekorzystnym zapisom artykułu VI Traktatu Ryskiego. Uratowano ich całą masę.

Po repatriacji sowiecki spis ludności z 1926 roku odnalazł w Kijowie już tylko 12 712 Polaków (7764 mówiło po polsku a 4948 po rosyjsku, nikt po ukraińsku), a kolejne spisy ludności: w 1939 roku – 11 808 Polaków, w 1959 roku – 8482, w 1970 roku – 9656 (wówczas już tylko 8,4% z nich mówiło po polsku, 31,5% po ukraińsku i 59,7% po rosyjsku) w 1989 roku – 10 445 i w 2001 roku – 6924 Polaków. Na ile one są wiarygodne – to zupełnie inne zagadnienie. Przyjmuje się, że osób polskiego pochodzenia mieszka w Kijowie kilka razy więcej w odniesieniu do liczby Polaków podanej w ostatnim ukraińskim spisie ludności.

Polacy mieszkający w Kijowie byli bardzo przywiązani do swego miasta, chociaż było to miasto rosyjsko-ukraińskie. Uważali je za swoją „małą ojczyznę”, kochali je i jemu służyli. Służyli także wszystkim jego mieszkańcom – Polakom, Ukraińcom, Rosjanom. Na przy-



Kornel Makuszyński

kład pochodzący z Ukrainy Edmund Liwski (1817–1888), w latach 1834–37 student Uniwersytetu Kijowskiego, historyk, encyklopedysta i pedagog, człowiek, który dużo podróżował po Ukrainie i Europie, tak napisał: *„Ze wszystkich części naszej przedrozbiorowej ojczyzny, którą kocham, jak Polak, najwięcej miłuję Ukrainę”*, a kompozytor polski Michał Zawadzki (1828–1887) oprócz kompozycji polskich (m.in. *„Śpiewy i piosenki Michała Zawadzkiego”*, Kijów 1884) stworzył m.in. 42 szumki, 45 ezalaraszek (oryginalne narodowe tańce ukraińskie) i 4 marsze zaporoskie. Z sentymentem podchodzili nawet do tego, co nie było polskie w mieście, ale co związane było z ich życiem, jak np. ze wspomnieniami z młodości. Np. Kazimierz Klimowski (zm. w 1885 r.), pedagog i wielki filantrop (m.in. Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w Krakowie zapisał aż 37 400 rubli, z której to sumy do 1939 r. wypłacano absolwentom podejmującym po studiach pracę naukową), który ukończył II Gimnazjum w Kijowie, zapisał na gimnazja kijowskie 35 200 rubli, chociaż były to gimnazja rosyjskie (jednak pełne Polaków).

Dlatego Polacy wypędzeni z Kijowa tęsknili za swym miastem – za swoim rodzinnym gniazdem, za

swoją ojcowizną, gdyż Polacy w Kijowie nie byli jakimś przybłędami z dalekiego kraju (jak np. Litwini w Wilnie po 1945 roku, którzy w 99% pochodzili z Litwy Kowieńskiej) czy jego okupantami. Bowiern „...podstawę ludności polskiej na Ukrainie prawobrzeżnej stanowili Polacy obecni tu od wielu stuleci, przechowujący dziedzictwo historyczno-kulturowe Rzeczypospolitej przedrozbiorowej” (Tadeusz Zienkiewicz) i właśnie spośród nich rekrutowali się głównie polscy mieszkańcy Kijowa. Co więcej, wielu Polaków w Kijowie było potomkami spolonizowanych przed wiekami Rusinów, czyli tubylczej ludności Kijowa i Kijowszczyzny. Mieli więc do Kijowa i do ziem ukraińskich takie samo prawo, jakie mieli i mają Ukraińcy. Nie tylko w międzywojennej Polsce powstały różne koła i związki kijowian, jak np. Związek byłych Członków Polonii Kijowskiej (prezes Stanisław Zieliński), założone w 1922 roku Koło Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Stowarzyszeniu Techników Polskich czy założony przez wykładowcę Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego w Kijowie Konrada Dynowskiego, po 1920 roku profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Polski Związek Prawników Kresowych, ale także na obczyźnie, jak np. po II wojnie światowej – w 1953 roku Koło Kijowian w Londynie, które w latach 1959, 1963, 1966 i 1980 wydało cztery tomy bardzo cennego „Pamiętnika kijowskiego”.

W listopadzie 1918 roku odrodziło się państwo polskie. Naczelnik państwa polskiego Józef Piłsudski popierał ideę niepodległej Ukrainy, widząc w jej istnieniu większą gwarancję dla niepodległości Polski. 13 lutego 1919 roku przewodniczącym Dyrektoriatu (prezydentem) Ukraińskiej Republiki Ludowej został Semen Petlura, człowiek, który rozumiał, że bez sojuszu z Polską Ukraina nie ma najmniejszych szans na utrzymanie niepodległego bytu wobec militarnej przewagi Rosjan. W sierpniu 1919 roku przybyła do Warszawy delegacja rządu ukraińskiego z Pyłypem Pyłypczukiem na czele, która wyraźnie manifestowała swe pragnienie ustanowienia z Polską przyjaznych stosunków, czym również zainteresowana była strona polska. 1 września 1919 roku podpisano rozejm ustanawiający prowizoryczną granicę na Zbruczu, którą Ukraina zaakceptowała jako granicę polsko-ukraińską 2 grudnia 1919 roku (Lwów po stronie polskiej). Uznanie przez rząd ukraiński granicy na Zbruczu stało się podstawą dalszych rokowań polsko-ukraińskich, które w lutym 1920 roku uwieńczyła umowa polityczna i wojskowa. Polska nawiązała stosunki dyplomatyczne z Kijowem; posłem Rzeczypospolitej przy rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej został adwokat i znany publicysta Bohdan Kutylowski (1919–21), w 1918 roku delegat w Kijowie sprawujący władzę w Warszawie Rady Regencyjnej. Rząd ukraiński wiążąc się z Polską nie miał nic do stracenia, a wszystko do zyskania. 21 kwietnia 1920



Wojsko polskie
wkracza do Kijowa.
Ulica Wielka
Włodzimierska.
7 maja 1920 roku

roku marszałek Piłsudski zawarł z przewodniczącym Dyktorii Ukrainińskiej Republiki Ludowej, atamanem Semenem Petlurą, sojusz polityczny i wojskowy. Polska uznawała w nim suwerenność Ukrainińskiej Republiki Ludowej, zrzekała się terytoriów Rzeczypospolitej przedrozbiorowej na wschód od ustalonej linii granicy z Ukrainą na Zbruczu w Małopolsce Wschodniej (Lwów polski) i Słuczy na Wołyniu i zobowiązywała się do wspólnej walki z bolszewikami w celu wyparcia bolszewików z Ukrainy i tym samym scementowania niepodległej Ukrainy.

Semen Petlura chcąc przypodobać się Polakom tak w Kijowie – stolicy Ukrainy, która była jednocześnie wielkim skupiskiem Polaków, bardziej wpływowych w mieście od Ukraińców, jak i w ogóle Polakom na Ukrainie [...], po podpisaniu umowy polsko-ukraińskiej i zajęciu Kijowa przez wojska polsko-ukraińskie 7 maja 1920 roku, wprowadził dwóch Polaków do swego rządu: Henryk Józewski został wiceministrem spraw wewnętrznych, a Stanisław Stempowski ministrem rolnictwa, a następnie ministrem zdrowia. Po opuszczeniu Kijowa w czerwcu 1920 roku rząd Ukrainińskiej Republiki Ludowej przebywał chwilowo w Tarnowie.

Podstawowym elementem tej walki polsko-ukraińskiej o wolną Ukrainę było założenie, iż występujący razem z Polską rząd Petlury spotka się z poparciem ludności ukraińskiej i przy pomocy wojsk polskich ustanowi swą władzę w prawo- i lewobrzeżnej Ukrainie („Historia dyplomacji polskiej. Tom IV 1918-1939”, Warszawa 1995). [...]

[...]25 kwietnia 1920 roku wojska polskie rozpoczęły ofensywę na całej linii frontu ukraińskiego – tzw. wyprawę kijowską. 7 maja wojsko polskie weszło do Kijowa, a 9 maja na Kreszczatiku odbyła się defilada wojska polskiego i ukraińskiego; przybyli wówczas do Kijowa marszałek Józef Piłsudski i Semen Petlura. 14 maja Armia Czerwona rozpoczęła wielkie kontrnatarcie na froncie białoruskim. Najważniejsze siły polskie były zgrupowane na Ukrainie. Toteż trzeba było przerzucić część wojsk na północ. Wojska polskie nieatakowane wymaszerowały z Kijowa 10 czerwca 1920 roku. Kontrofensywa doprowadziła bolszewików aż pod Warszawę. Jednak w bitwie warszawskiej w sierpniu 1920 roku ponieśli sromotną klęskę, a kolejną we wrześniu w bitwie nad Niemnem. Niepodległość Polski została uratowana, ale nie Ukrainy. *„Wyprawa na Kijów skończyła się niepowodzeniem głównie dlatego, że Ukraińcy nie poparli masowo Semen Petlury. Do punktów poborowych zgłaszały się jednostki, a nie tysiące Ukra-*

ińców. Pewna część wojsk ukraińskich opowiadała się za bolszewikami i walczyła przeciw wojskom Petlury i wojskom Piłsudskiego” (Michał Mońko, wPolityce.pl 25.4.2014).

18 marca 1921 roku podpisany został w Rydze traktat pokojowy między Polską a Rosją Sowiecką i Ukrainą Sowiecką. Traktat ten umożliwił repatriację do Polski z terenów sowieckich, w tym także z Kijowa, 469 000 etnicznych Polaków. Rządowi polskiemu udało się uratować – repatriować z Kijowa m.in. 1400 polskich dzieci z byłych polskich ochronek, żłobków i szkół polskich (internatów). Polacy, którzy pozostali w Kijowie, zostali chcąc nie chcąc obywatelami sowieckimi. Spis ludności przeprowadzony przez Sowiety w 1926 roku wykazał na Ukrainie 476 453 Polaków, z tego już tylko 12 800 w Kijowie („Polacy w świecie”, Londyn 1946). Wyjechała z Kijowa jeśli nie cała, to prawie cała inteligencja polska.

Po podpisaniu traktatu ryskiego Polska i Związek Sowiecki nawiązały stosunki dyplomatyczne. W 1926 roku został otwarty konsulat w Kijowie, do którego przeniesiono w 1934 roku konsulat generalny z Charkowa, z powodu przeniesienia stolicy Ukrainy Sowieckiej z Charkowa do Kijowa. W latach 1930-33 kierownikiem konsultatu był Henryk Jankowski, który jednocześnie w latach 1931-33 kierował tam polską tajną placówką wywiadowczą „Kh” Oddziału II Sztabu Głównego. Ostatnim konsulem polskim w Kijowie był w latach 1937-39 Jerzy Matusiński, który po agresji Związku Sowieckiego na Polskę 17 września 1939 roku został 30 września aresztowany przez NKWD i osadzony w kijowskim więzieniu, skąd 8 października został przewieziony do Moskwy i słuch po nim zaginął.

Po czerwcu 1920 roku nie było w Kijowie prawdziwie polskiej działalności. Ale także komunistycznej prowadzonej przez Polaków, gdyż tak jak ogień nie zgadza się z wodą, tak komunizm z Polakami. [...]

[...]Jedynie kościoły były oazami polskości, ale oczywiście tylko w odniesieniu do działalności czysto religijnej i tylko do czasu ich zamknięcia: kościoła św. Mikołaja w 1936 i kościoła św. Aleksandra w 1937 roku (ostatni jego proboszcz, ks. Zygmunt Kwaśniewski, został rozstrzelany). Oficjalną działalnością polską w duchu już sowieckim kierowało na Ukrainie Biuro Polskie przy Komitecie Centralnym Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Cała tzw. polska działalność w Kijowie polegała na sowietyzowaniu Polaków. Służyły temu przede wszystkim czasopisma polskojęzyczne, których w Kijowie w latach

1919-41 wydawano 18, w tym „Sierp” – tygodnik poświęcony sprawom wsi 1922-28 i „Głos Młodzieży” – tygodnik 1928-1935; wydawany w latach 1935-41 „Głos Radziecki” – dziennik organ Komunistycznej Partii Ukrainy był wydawany najwyżej w 10-20 egzemplarzach w celach wyłącznie propagandowych, dla fałszowania historii Polaków na sowieckiej Ukrainie. Działały szkoły polskojęzyczne (bo nie polskie z ducha i języka – był to kaleki język polski), a nawet od 1924 roku „polska” wyższa uczelnia – Polski Instytut Wychowania Społecznego, który w 1932 roku miał ok. 560 studentów. W 1931 roku przy Wszechukraińskiej Akademii Nauk powstał Instytut Polskiej Kultury Proletariackiej. Nauczycieli dla szkół polskich na Ukrainie kształcono w kijowskim Polskim Technikum Pedagogicznym. W latach 30. XX w. Centralna Polska Biblioteka w Kijowie liczyła 80 000 woluminów. Działał w Kijowie w latach 1926-36 Państwowy Teatr Polski, a w 1936 roku założono Zespół Polskiej Pieśni Ludowej i Tańca, który niebawem został zlikwidowany, tak jak wszystkie inne „polskie” placówki w Kijowie i na całej Ukrainie. Kijowska Rozgłośnia Radiowa nadawała periodicznie „polskie” programy radiowe.

Po śmierci Włodzimierza Lenina w 1924 roku dożywočním dyktatorem Związku Sowieckiego został Józef Stalin (1878-1953), prawdziwy psychopata (Jerrold M. Post), tyran i jeden z największych ludobójców w dziejach świata. Jako metodę rządzenia stosował masowy, państwowy wewnętrzny i zewnętrzny terror, który pochłoniął co najmniej 20 milionów ofiar śmiertelnych. Odnosnie polityki narodowościowej Stalin uważał, że należało się wystrzegać i zwalczać nacjonalizmu (czytaj: patriotyzm) poszczególnych narodów. Do tych wybranych przez Stalina narodów, które trzeba zwalczać, należał także naród polski, a więc także Polacy mieszkający w Związku Sowieckim. Tym bardziej, że Polacy zadali m.in. jemu policzek podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, którym była klęska, jaką ponieśli dowódcy, a więc m.in. on, i sam był zdania, że: *„Łatwiej jest osiodłać krowę, jak wprowadzić do Polski komunizm”*.

Tragedię fizyczną Polaków w Kijowie (i całym Związku Sowieckim) przyniosły lata 30. XX w. Ludność polska poniosła wówczas ogromne straty wskutek masowych aresztowań, aktów ludobójstwa, deportacji. Z Ukrainy wysiedlono 75 tys. rodzin polskich. Np. w dniach 25 maja – 10 czerwca 1936 roku wysiedlono do Kazachstanu 3317 rodzin polskich z obwodu kijowskiego, w większości Polaków z Kijowa. Natomiast 11

sierpnia 1937 roku ludowy komisarz spraw wewnętrznych Związku Sowieckiego Nikołaj Jeżów wydał rozkaz operacyjny nr 00485, w którym nakazał wykrywać i niszczyć ponoć ciągle działających członków Polskiej Organizacji Wojskowej, co było wierutną bzdurą. W praktyce był to nakaz rozstrzeliwania osób narodowości polskiej. „Polską operację” przeprowadzano w sposób okrutny: aresztowano bez konkretnych dowodów, a biciem i torturami wymuszano przyznanie się do przynależności do POW. Pod koniec 1937 roku „w sprawie polskiej” aresztowano około 19 tys. osób, zakończono śledztwo wobec ok. 7 tys., z których rozstrzelano prawie 4,9 tys. osób. Ofiary tej operacji stanowią prawdopodobnie znaczną część osób pochowanych przed rokiem 1939 w kijowskiej Bykowni (peryferyjna dzielnica miasta) (M. Iwanow, „Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921-1939”, Warszawa-Wrocław 1991; H. Stroński, „Polska droga do Kazachstanu. Represje wobec ludności polskiej na Ukrainie w latach trzydziestych”, „Przegląd Wschodni”, 1994, t. III, z. 2(10)). W 1936 roku bolszewicy zamknęli kościół katolicki św. Mikołaja (obrócony w przechowalnię warzyw), a w 1937 roku został zamknięty ostatni kościół katolicki w Ukrainie – kościół św. Aleksandra w Kijowie (urządzono tam internat dla pracowników, a na miejscu prezbiterium urządzono toaletę!).

Jakże wymowną i tragiczną postacią w tym sowieckim antypolskim terrorze jest ksiądz prałat Teofil Skalski (1877-1958), pochodzący z Podola kapłan diecezji żytomierskiej, wykładowca teologii, filozofii i prawa kanonicznego w seminarium żytomierskim i w latach 1913-26 proboszcz parafii św. Aleksandra w Kijowie, zasłużony nie tylko jako kapłan, ale także jako działacz charytatywny (pomoc dla polskich uchodźców z Galicji) i oświatowy (szkolnictwo polskie). W 1920 roku nie wyjechał do Polski chcąc służyć pozostałym Polakom w Kijowie. W 1922 roku został mianowany protonotariuszem apostolskim i administratorem diecezji żytomierskiej (należał do niej Kijów), a w 1925 roku został jej administratorem apostolskim z władzą ordynariusza. Bolszewicy aresztowali go po raz pierwszy w sierpniu 1919 roku. Wykupiony przez parafian za sumę 60 tys. rubli przez pewien czas musiał się ukrywać. 2 maja 1921 roku został aresztowany ponownie za odmowę przekazania władzom bolszewickim inwentarza kościelnego. Został zwolniony dzięki interwencji Polskiej Misji Repatriacyjnej, ale był zmuszony do zapłacenia sumy 300 tys. rubli kary. Od początku maja do 9 czerwca tego roku aż 19 razy był wzywany przez so-

wiecki organ bezpieczeństwa GPU i poddawany przesłuchaniom. Namawiano go do opublikowania w prasie sowieckiej deklaracji lojalności wobec nowej władzy, a także ogłoszenia listu pasterskiego aprobującego nowy ustrój, czemu zdecydowanie się sprzeciwił. Został aresztowany w 1926 roku i osadzony w kijowskim więzieniu. Potem został przewieziony do Moskwy i osadzony w znanym już więzieniu GPU na Łubiance, a następnie przewieziono go na oddział pełnej izolacji w moskiewskim więzieniu na Butyrkach. W grudniu 1927 roku rozpoczął się proces sądowy ks. Teofila Skalskiego w Najwyższym Sądzie Wojskowym ZSRR w Moskwie. Akt oskarżenia zarzucał mu działalność kontrrewolucyjną, próby przyłączenia prawobrzeżnej Ukrainy do Polski, ułatwianie osobom polskiego pochodzenia nielegalnego przekraczania granicy polsko-sowieckiej, przyjmowanie księży przybyłych z Polski do pracy duszpasterskiej na terenie Ukrainy Sowieckiej oraz udział w tajnej organizacji „Orzeł Biały” (jej istnienie było fikcją stworzoną przez GPU w celu walki z Kościołem). Dnia 28 stycznia 1928 roku Wydział Wojskowy Najwyższego Trybunału ZSRR skazał ks. Teofila Skalskiego na 10 lat ciężkiego więzienia (prokurator żądał kary śmierci), konfiskatę mienia, utratę praw obywatelskich i publicznych na 5 lat. Więziono go na przemian w Jarosławiu, w Moskwie a nawet w Korownikach, więzieniu dla najgorszych kryminalistów. Na podstawie porozumienia rządowego polsko-sowieckiego, 15 sierpnia 1932 roku ks. Teofil Skalski został, wraz z 41 Polakami, w tym 16 księżmi, wymieniony za więzionych w Polsce komunistów („Wołanie z Wołynia”).

Na początku 1939 roku w Kijowie mieszkało jeszcze ponoć 11 808 Polaków, ale byli to zastraszeni ludzie – ludzie bojący się własnego cienia. I poza nimi, poza trwałymi pamiątkami polskimi w mieście, niczego polskiego już nie było – ani kościoła, ani organizacji, ani szkoły, ani cegokolwiek innego. Był tylko od 1928 roku do sowieckiej agresji na Polskę we wrześniu 1939 roku konsulat polski, do którego bał się wejść Polak mieszkający w Kijowie. Tak wyglądały naturalne prawa człowieka w kraju, w którego hymnie śpiewano do upadku Związku Sowieckiego w 1991 roku: „...*Chwała ci ojczyzno, Tyś ziemia swobody, Ludów przyjaźni ostoja i straż...*”

Hitler ze Stalinem postanowili wspólnie wymazać Polskę z mapy politycznej Europy. 1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę od zachodu, a 17 września Stalin zadał walczącej Polsce cios nożem w plecy. Konsul generalny RP w Kijowie od 1937 roku, Jerzy Matusiński, 30 września 1939 roku został wez-

wany do przedstawicielstwa Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRR, gdzie został aresztowany i osadzony w kijowskim więzieniu, skąd 8 października przewieziony do Moskwy i najprawdopodobniej zamordowany przez NKWD (bo po tym dniu wszelki śluch o nim zaginął), pomimo że chronił go paszport dyplomatyczny – prawo międzynarodowe.

Po 17 września 1939 roku, czyli po wprowadzaniu sowieckich rządów i terroru na zagarniętych Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej, Kijów stał się kaźnią dla wielu tysięcy Polaków z terenów wschodniej Polski zajętych przez Armię Czerwoną. Sowiecka ludobójcza machina NKWD aresztowała tam wojskowych, pracowników państwowych, urzędników samorządowych, właścicieli ziemskich, kupców i przemysłowców oraz przedstawicieli inteligencji – po prostu każdego, kto mógł być wrogiem nowego reżimu na okupowanych ziemiach polskich. Więzienia kijowskie były przepełnione jeńcami polskimi, większość z których na zawsze pozostała w zbiorowych mogiłach na ziemi kijowskiej. W kijowskiej Bykowni, gdzie rok wcześniej grzebano lokalnych Polaków rozstrzelanych w podziemiach kijowskiego NKWD tylko za to, że byli Polakami i katolikami, NKWD-yści w 1940 roku zamordowali 3435 polskich oficerów – jeńców wojennych! 28 listopada 2011 roku w Bykowni prezydent RP Bronisław Komorowski i prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz wmurowali akt erekcyjny pod budowę Polskiego Cmentarza Wojennego, czwartego spośród tzw. cmentarzy katyńskich. Uroczyste otwarcie i poświęcenie cmentarza nastąpiło 21 września 2012 roku z udziałem ponownie prezydentów Bronisława Komorowskiego i Wiktora Janukowycza.

22 czerwca 1941 roku na Związek Sowiecki, który dotychczas był najlepszym sojusznikiem Hitlera, napadły Niemcy hitlerowskie – podobny do bolszewizmu twór ludobójczy. Dla Polaków niemieccy hitlerowcy nie byli lepsi od bolszewików. Podczas okupacji niemieckiej Kijowa hitlerowcy zamordowali w Babim Jarze ponad 100 tys. kijowian (Żydów, Ukraińców, Rosjan, Polaków). Toteż szereg Polaków mieszkających i przebywających z jakiegoś powodu w Kijowie przyłączyło się do partyzantki. W mieście działała w latach 1941-43 nawet jedna polska konspiracyjna grupa, dowodzona przez Ludwika Polańskiego ps. „Michał”. Należeli do niej polscy robotnicy z Warszawy i Lwowa, przywiezieni tu przez Niemców i pracujący w ich tu-tejszym przedsiębiorstwie budowlano-remontowym. Grupa wynosiła z magazynów niemieckich żywność

niby dla zatrudnianych przez nich robotników, którą przekazywała partyzantce i ludziom w potrzebie; przekazywała partyzantce informacje o Niemcach, prowadziła nasłuch radiowy, a następnie drukowała ulotki w języku polskim i niemieckim (dezinformacja), prowadziła akcje sabotażowe na kolei. 19 maja 1943 roku Polański zginął w ulicznej walce z Niemcami.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku, w sierpniu tegoż roku w Warszawie została powołana wydzielona organizacja dywersyjna pod kryptonimem „Wachlarz” Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej w celu prowadzenia działań specjalnych (dywersyjno-sabotażowych na kolei i wywiadowczych) na okupowanych przez Niemców terenów Związku Sowieckiego, czego domagały się od rządu polskiego władze brytyjskie. Powstały cztery odcinki „Wachlarza” wzdłuż najważniejszych linii kolejowych na wschód. Odcinek II swoją działalnością obejmował linię kolejową Równe – Kijów przez Zwińhel i Żytomierz. Jego dowódcami byli por. Jan Piwnik ps. „Ponury”, a od lipca 1942 do lutego 1943 roku por. Tadeusz Klimowski ps. „Klon”. Dowódcą Oddziału II Wywiadowczego był Adolf Moczulski ps. „Krzysztof”. Na terenie Kijowa mieścił się ośrodek dywersyjny (dowódcą Józef Gajewski-Ostoja, a dowódcą patrolu dywersyjnego był Teodor Gołąbek), a w Darnicy (ważna kijowska stacja kolejowa na lewobrzeżnych peryferiach miasta) placówka dywersyjna i patrol pocztowy.

5 listopada 1943 roku Armia Czerwona zdobyła Kijów. W obronie miasta przed późniejszymi nalotami lotnictwa niemieckiego wzięli również udział Polacy, konkretnie polski 1 Samodzielny Dywizjon Artylerii Przeciwlotniczej pod dowództwem ppłk. Włodzimierza Sokołowskiego w dniu 8 kwietnia 1944 roku w bitwie o stację i węzeł kolejowy Darnica. Dywizjon ten w marszu na zachód (w rejon Żytomierza) przybył do Darnicy 7 kwietnia 1944 roku. Zaraz po północy z 7 na 8 kwietnia około 50 niemieckich samolotów nerkujących Ju-88 rozpoczęło bombardowanie węzła kolejowego i znajdujących się na nim transportów wojskowych. Doszło do bitwy, gdyż Polacy otworzyli skuteczny ogień zaporowy z dział i karabinów maszynowych: Niemcy jednak trafili bombami w 8 wagonów, a żołnierze polskiego Dywizjonu stracili 5 niemieckich samolotów; poległo 45 polskich żołnierzy, 7 zaginęło, 53 zostało rannych. Walki żołnierzy polskich pod Darnicą zostały upamiętnione na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie, napisem na jednej z tablic w okresie lat 1945–1990: „DARNICA 8 IV 1945”.

Chociaż Stalin zmarł 8 marca 1953 roku, to po jego śmierci nic na lepsze nie zmieniło się w życiu Polaków w Kijowie. Przede wszystkim jako obywatele sowieccy nie mieli prawa repatriować się do Polski w 1945 roku. Repatriować do Polski tak w 1945 roku, jak i w latach 1956–57 mogli się jedynie przebywający tu w wyniku wojny przedwojenni obywatele polscy. Do upadku Związku Sowieckiego w 1991 roku Polacy w Kijowie nie odzyskali żadnego kościoła, nie mogli mieć żadnej prawdziwie polskiej organizacji czy polskiej szkoły, a nawet zespołu folklorystycznego. Byli ciągle obywatelami drugiej czy może nawet trzeciej klasy. Był tu, podobnie jak przed wojną, konsulat polski (jedyne konsulat zagraniczny w Kijowie do 1959 r.), ale on, niestety, komunistyczny, nie służył miejscowym Polakom. Kijów i Uniwersytet Kijowski nawiązały współpracę z Krakowem i Uniwersytetem Jagiellońskim. W muzeach, bibliotekach i archiwach kijowskich jest wiele tysięcy poloników i polskich pamiątek narodowych, niekiedy bezcennych dla narodu polskiego (np. wielka biblioteka króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, bezcenne archiwum Tadeusza Czackiego), które ukradli nam carowie, a potem komuniści, a władze dzisiejszej Ukrainy nie chcą nam zwrócić, uważając je za własność narodu ukraińskiego.

Po śmierci Stalina nie było już tak potwornego terroru. Jednak i wówczas tylko sekretnie polskich katolików w Kijowie odwiedzali od czasu do czasu nieliczni polscy księża pracujący legalnie na Ukrainie – księża Tadeusz Hoppe i Serafin Kaszuba. Kilka razy katolicy kijowscy zwracali się do władzy miejskiej o pozwolenie na założenie kaplicy, ale za każdym razem odpowiedź była odmowna. Wówczas udali się ze skargą do Moskwy, i o dziwo władze Kijowa po tej interwencji wydały pozwolenie na urządzenie kaplicy. Katolicy wykupili na peryferyjnym terenie czteropokojowy dom, w którym urządzili świątynię. 2 maja 1969 roku w nowej kaplicy była pierwsza liturgia, podczas której kapłan symbolizował położony na ołtarzu ornat.

W tak trudnych warunkach Polacy i katolicy dożywiali do upadku Związku Sowieckiego w 1991 roku. Po raz pierwszy w historii Europy powstała niepodległa Ukraina. Sytuacja Polaków, których mieszka dziś w Kijowie ok. 7000, uległa radykalnej zmianie. Zmianie na lepsze [...]. Polskość Kijowa mogła zacząć podnosić się ze zgliszcz.

Jeszcze w 1991 roku oddano wiernym kościół św. Aleksandra, ale nie na własność, a tylko na warunkach dzierżawy wieczystej, gdyż Polacy i katolicy nie mają

prawa mieć własności na ukraińskiej Ukrainie. Kościoła św. Mikołaja, w którym urządzono salę koncertową, nie zwrócono po dziś dzień, mimo długoletnich starań i obietnic ukraińskich prezydentów, zwłaszcza prezydenta Leonida Kuczmy, który podczas pielgrzymki papieża Jana Pawła II na Ukrainę w 2001 roku solennie mu to obiecał; zezwolono jedynie na odprawianie mszy niedzielnej. Nie odzyskano żadnego budynku parafialnego. Trudno uzyskać zgodę na budowę nowych kościołów. Jakże wymownym i oburzającym jest to, co dzieje się w sprawie budowy kościoła w dzielnicy Obołnia. Po wieloletnich trudnych i kosztownych wysiłkach udało się uzyskać teoretyczną możliwość wybudowania świątyni. Próby postawienia katolickiego krzyża zakończyły się pocięciem go na kawałki. Siostry zakonne, które w kwietniu 2013 roku modliły się na tym miejscu o budowę świątyni, zostały bezkarnie ostrzelane i poranione z broni pneumatycznej. Nie było na to żadnej reakcji ze strony władz miasta. Ani milicji, ani prokuratury. Wygląda na to, że miasto wprawdzie wydzielając katolikom na Obołni miejsce pod budowę świątyni, liczyło jednak na to, że wszystko potoczy się tak, że kościół nie powstanie (strona internetowa parafii Chrystusa Króla Wszechświata na Obołni w Kijowie). [...]

[...]Jeśli chodzi o świecką polską działalność narodową w Kijowie, to pierwszą polską organizacją było powstałe w 1988 roku Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe, które zrzeszało Polaków zamieszkujących Kijów oraz środkową i wschodnią Ukrainę. Obecnie (2011 r.) polska działalność w Kijowie koncentruje się w organizacjach i placówkach takich, jak: „Dom Polski” przy ul. Saksagańskiego 99 (od 1992, siedziba Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie), Związek Polaków na Ukrainie, Narodowościowo-Kulturalne Stowarzyszenie Polaków „Zgoda”, Związek Polaków Kijowa, Kijowskie Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe im. A. Mickiewicza, Kijowskie Polskie Zgromadzenie Szlacheckie „Zgoda” im. Mariana Małowskiego, Kijowska Polska Młodzieżowa Asocjacja „Młodzi i Kreatywni”, Polonijna Społeczna Organizacja „Dzieci Polski”, Rzymsko-Katolickie Towarzystwo „Polonia” w Kijowie, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich na Ukrainie, Kijowski Oddział Związku Nauczycieli Polskich na Ukrainie, Stowarzyszenie Uczonych Polskich, Stowarzyszenie Lekarzy Polskich, Międzynarodowe Stowarzyszenie Farmerów Polskich, Międzynarodowe Stowarzyszenie Przedsiębiorców Polskich, Stowarzyszenie Kombatantów Wojska Polskiego, „Polanie znad Dniepru” – zespół wokalnie-taneczny. Wychodzą:



Władysław Horodecki

dwutygodnik „Dziennik Kijowski” (red. nac. Stanisław Panteluk) i czasopismo „Krynica” (red. nac. Dorota Jaworska). Działa Polska Biblioteka im. Adama Mickiewicza, która ma ponad 4000 zarejestrowanych czytelników (Polaków i Ukraińców); wraz ze Stowarzyszeniem im. A. Mickiewicza organizuje wiele imprez, m.in. wieczory dyskusyjne i literacko-muzyczne oraz spotkania ze znanymi osobami. Od 1991 roku w Kijowie jest Ambasada RP oraz Instytut Polski utrzymywany przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, który propaguje kulturę polską.

Tylko w latach 1989–2001 oficjalna (a więc definitywnie zaniżona) liczba Polaków w Kijowie spadła z 10 445 do 6924 osób. [...]

[...]Ukraiński już Kijów wzbogacił się o cztery nowe polonika: pomnik polskiego wieszcza narodowego Juliusza Słowackiego na skwerze przy rzymskokatolickim kościele św. Mikołaja, odsłonięty 1 maja 2012 roku, oryginalny pomnik – ogromny śnieżnobiały fortepian przy Dziecięcej Szkole Muzycznej 32 upamiętniający 200-lecie urodzin (2009 r.) Fryderyka Chopina, który dzięki zainstalowanym w nim czujnikom wydaje taktę nieprześcignionych mazurków Szopena, tablicę-płasko-rzeźbę Janusza Korczaka także z 2012 roku, odsłoniętą na budynku byłego gimnazjum polskiego, w którym on pracował, oraz gustowny pomnik architekta Władysława Horodeckiego przy Kreszczatiku. Od 1996 roku Horodecki jest także patronem dawnej ulicy Karola Marksa (Nikołajewskiej) w Kijowie.

CDN

OŚWIATA MEDYCZNA NA WOŁYNIU W LATACH 1805–1939

W artykule dokonano analizy treści, metod i form oświaty medycznej na Wołyniu, przedstawiono ewolucję i rozwój oświaty medycznej od 1805 do 1939 roku. Po raz pierwszy retrospektywnie nakreślono chronologię i geografie tworzenia systemu szkolenia felczerów, pielęgniarek, siostr miłosierdzia w państwowych instytucjach medycznych i instytucjach kościelnych.

Wyróżniono następujące etapy tego procesu:

I – powołanie (1805–1875);

II – stabilizacja (1876–1905);

III – aktywizacja (1906–1914);

IV – stagnacja (1915–1922);

V – dyrektywny rozwój (1923–1939).

Demokratyczne zmiany i reformy socjalnej w sferze usług w Ukrainie niosą zmiany w procesach optymalizacji i udoskonalenia państwowej oświaty medycznej, właściwego wychowania przyszłego pokolenia i kształtowania w nim kultury duchowej. Rozwiązanie tego fundamentalnego – ze względu na socjalno-historyczne znaczenie – zadania jest możliwe przez dogłębne poznanie twórczego doświadczenia przeszłości i jego wykorzystanie we współczesnej praktyce ogólnej i specjalistycznej oświaty, w tym także medycznej. Istnieją dwa kierunki badań oświaty medycznej na Wołyniu:

- *historyczno-pedagogiczny*, który przedstawia obiektywną wiedzę historycznego rozwoju edukacji medycznej na Wołyniu jako części składowej oświaty medycznej;
- *aspekt pedagogiczny*, który umożliwia identyfikację systemu edukacyjnego w szkołach medycznych; pozwala przeanalizować treści, formy i metody, ich wykorzystanie w konkretnych etapach historycznych w okresie od początku XIX i do lat 30. XX wieku; określić główne kierunki rozwoju.

W celu lepszego zrozumienia procesu kształtowania się edukacji medycznej na Wołyniu warto przeanalizować system instytucji medycznych i edukacyjnych, warunki szkoleń pracowników służby zdrowia, którzy przyczyniają się do edukacyjnego procesu bezpieczeństwa społecznego.

Analiza literatury przedmiotu pozwala określić następujące etapy oświaty medycznej na Wołyniu:

Etap pierwszy rozwoju edukacji medycznej – powołanie (1805–1875) – charakteryzuje się stopniowym przejściem od rzemieślniczej nauki do systematycznych szkoleń. Przygotowywano pielęgniarki w zakresie podstawowej wiedzy w katolickich klasztorach: w Szkole Sióstr Szarytek w Łucku i Żytomierzu, a od 1805 i do 1832 roku edukacja farmaceutów i pielęgniarek odbywała się w Liceum Krzemienieckim. W 1821 rozpoczęto edukację pielęgniarek w Łuckim Instytucie Sióstr Miłosierdzia, który był państwową instytucją oświatową. Instytucja owa funkcjonowała aż do 1875 roku. Od 1834 r. mieszkańcy Wołynia studiowali na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Kijowskiego św. Włodzimierza. Jednak dostęp na te studia był ograniczony; z Wołynia studiowały na tym uniwersytecie pojedyncze osoby. W tym okresie babki-położne, kręgarze, znachorzy zdobywali wiedzę a następnie leczyli warstwę chłopską w sposób indywidualny.

Etap drugi rozwoju edukacji medycznej – stabilizacja (1876–1905). Po zlikwidowaniu Szkoły Szarytek w Łucku i Liceum Krzemienieckiego (I poł. XIX w.) zrodziła się pilna potrzeba kształcenia pielęgniarek na Wołyniu. W wyniku starań wicewojewody wołyńskiego postanowiono otworzyć Szkołę Felczerów w Żytomierzu. 2 lutego 1875 roku w guberni wołyńskiej, w Żytomierzu, otwarto Szkołę Felczerską, która była podporządkowana Wołyńskiej Administracji Gubernialnej. Przy szkole funkcjonował internat dla uczniów.

Etap trzeci rozwoju edukacji medycznej – aktywizacja (1906–1914). W tym czasie na Wołyniu pracowników medycznych szkolono w trzech państwowych, siedmiu kościelnych i jednym zakładzie prywatnym. W Felczerskiej Szkole zatrudniono trzech doktorów medycyny, znacznie poszerzono zakres ówczesnej oświaty medycznej, unowocześniono metody naukowo-dydaktyczne, poprawiła się baza materialna szkoły.

Dzięki zmianom w życiu społecznym i uzyskaniem przez wszystkich obywateli pewnych swobód (1905–1907), na podstawie specjalnego zezwolenia rządu w największych miastach Rosji otworzono prywatne szkoły położniczo-felczerskie. W celu osiągnięcia korzyści materialnych właściciele tych szkół zwiększali ilość studentów, przy tym nie brali pod uwagę jakości

kształcenia oraz dostępność medycznych ośrodków rehabilitacyjnych, gabinetów i poziom ich wyposażenia. Skutkiem takich działań było skrócenie okresu przyuczania do zawodu. Ów fakt spowodował pojawienie się w miejskich i wiejskich szpitalach licznej rzeszy stażystów, głównie felczerów wojskowych a w konsekwencji wprowadzenie eksternatu do szkół medyczno-położniczych.

W marcu 1907 roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wprowadziło zasady kształcenia ustawicznego dla tych, którzy chcieli otrzymać tytuł felczera, reglamentując organizację kształcenia ustawicznego. Stażystów dopuszczano do egzaminów w medycznych szkołach publicznych pod warunkiem ukończenia czteroletniego gimnazjum oraz nie mniej niż 5-letniego praktycznego stażu pracy w szpitalach publicznych lub w innych placówkach medycznych.

Felczerzy wojskowi zdawali egzaminy bez okazania dokumentów o ogólnokształcącej edukacji. W tym czasie liczbę felcherskich i felchersko-położniczych szkół zwiększono. Obok szkół publicznych i prywatnych funkcjonowały czteroletnie wojskowe szkoły felcherskie, które przygotowywały pomocników lekarzy.

Warto zauważyć, że pod koniec 1914 roku w carskiej Rosji było 65 felcherskich i felchersko-położniczych szkół, w tym na Ukrainie – 19, 6 szkół prywatnych, 3 wojskowe: kijowska, chersońska i mikołajowska (Departament Marynarki).

Należy zaznaczyć, że od 1910 roku działała Wołyńsko-Żytomierska Szkoła Farmaceutyczna. Później, w 1911 roku, na Kongresie pracowników medycznych Żytomierza, Krzemieńca, Łucka i Równego przez wykładowców szkół felcherskich zostały opracowane i zatwierdzone zasady przyjmowania do szkół aptekarskich. Postanowiono, że bez egzaminów wstępnych do szkół zostaną przyjęci ci, którzy ukończyli co najmniej 4 klasy w publicznych szkołach męskich lub w Prawosławnym Seminarium Duchownym. Ci uczniowie, którzy ukończyli trzyletnie lub czteroletnie gimnazjum powinni zdać egzamin wstępny z języka łacińskiego. Pozostali kandydaci musieli zdać egzamin z łaciny i algebry.

Na początku 1918 roku, po wycofaniu się Rosji z wojny, do szkół felcherskich rekrutowano żołnierzy, których nagrodzono Georgievskim Krzyżem i innymi odznaczeniami.

Należy zaznaczyć, że wzrosła liczba kobiet, które zapisały się do tych szkół. Porównując dane statystyczne, można stwierdzić, że w 1906 roku do Szkoły Wołyń-

skiej dostało się 8 dziewcząt, a już w roku 1918 – 131. Ogólnie w roku akademickim 1918–1919 studiowało w szkole 219 uczniów. Ciało pedagogiczne składało się z 2 nauczycieli prawa (byli przedstawiciel religii katolickiej i prawosławnej), 17 nauczycieli, którzy posiadali wyższe wykształcenie, 1 doktora medycyny, 1 dentysty, 1 masażystki i 2 farmaceutów.

Etap czwarty rozwoju edukacji medycznej (1915–1922) – stagnacja. Ten etap charakteryzuje się niejakim upadkiem edukacji medycznej na Wołyniu z powodu kryzysu politycznego, społecznego i gospodarczego w rezultacie rewolucji bolszewickiej i znacznego pogorszenia sytuacji materialnej większości studentów. W tych czasach studenci rezygnowali ze studiów z powodu braku pieniędzy i żywności.

Od 9 lipca 1919 roku, na mocy tymczasowych „Przepisów o szkole średniej” w szkołach felcherskich zorganizowano rady pedagogiczne, dołączając do nich studentów (po jednym przedstawicielu od pięciu klas).

Rada pedagogiczna, na przykład w Wołyńskiej Szkole Felcherskiej, wraz z przedstawicielami studentów organizowała zespoły do prowadzenia spraw edukacyjno-dydaktycznych, edukacyjno-produkcyjnych i wychowawczych.

Na podstawie przyjętej przez Ludowy Komisariat Ochrony Zdrowia „Dyrektywy o utworzeniu szkół asystentów lekarzy” (czerwiec 1920 r.) powstała Wołyńska Szkoła Asystentów Lekarzy. Jej celem było przygotowanie pomocników lekarzy do praktycznej służby społeczeństwu.

Zlikwidowano przy tym klasę położników, czteroletnie nauczanie zostało zamienione siedmioma semestrami studiów, które trwały 2,5 roku (jeden semestr trwał 14 tygodni).

Program praktycznie nie ulegał zmianie, ale powiększył się o dyscypliny polityczne i gospodarcze. Pod koniec każdego trzech semestrów studenci w ciągu tygodnia zaliczali przedmioty praktyczne, zaś z materiału teoretycznego zdawali egzaminy, które nazywano „próbami”. W czasie trzech semestrów studenci pisali kolokwia z ogólnych dyscyplin medycznych.

Ponadto po ukończeniu kursu studenci zdawali egzaminy z przedmiotów, które były wykładane w ciągu ostatnich trzech trymestrów. Studentom, którzy zdali wszystkie egzaminy rada pedagogiczna szkoły wydawała tymczasowe zaświadczenie o ukończeniu szkoły. Stałe zaświadczenie asystenta lekarza było wydawane tylko pod warunkiem odbycia stażu pracy przez rok w wojskowej lub cywilnej placówce medycznej.



Etap piąty kształcenia medycznego – okres dyrektywnego rozwoju (1923–1939) – charakteryzował się tym, że edukacja medyczna na Wołyniu Radzieckim była regulowana i ściśle określana przez rządzące instytucje partyjne i państwowe. Zadeklarowane przez instytucje rządowe prawo wszystkich obywateli do bezpłatnej opieki medycznej wymagało znacznie większej liczby nowych pracowników służby zdrowia. W tym celu otwarto siedem nowych placówek medyczno-oświatowych na terenie radzieckiego Wołynia.

W 1922 roku Wołyńska Szkoła Felczerska została przekształcona w Szkołę Asystentów Lekarzy z 2-letnim nauczaniem. W tej szkole zostały otwarte kierunki: felczerski, położniczy i pielęgniarstwo – szkoła felczerska i pielęgniarstwa z sześciomiesięcznym kursem nauczania, położnicza z czteromiesięcznym kursem nauczania. Od tego czasu Wołyńska Szkoła Asystentów Lekarzy nosiła nazwę „Zespół Wołyńskich Szkół imienia W. Semaszki”, aby uczcić pamięć pierwszego kierownika pierwszej radzieckiej służby ochrony zdrowia. Zgodnie ze statutem nauczanie w szkołach medycznych było bezpłatne.

W tym samym roku otwarto Wołyńską Szkołę Farmaceutyczną, która przygotowywała farmaceutów, kierowników aptek, techników laboratoryjnych dla województwa wołyńskiego. Nauka w szkole trwała 3 lata. Oprócz kształcenia ogólnego, zajęć z anatomii i fizjologii, w tej szkole wykładano botanikę, zielarstwo, farmakologię i inne nauki.

Należy zaznaczyć, że w tym czasie Kuratorium Oświaty zapoczątkowało sześciomiesięczne kursy dla asystentów farmaceutów (50 osób). Zakończenie nauki było przewidziane na koniec grudnia 1921 roku, ale ze względu na brak wykładowców i długie przerwy w zajęciach laboratoryjnych (z powodu braku leków), postanowiono przedłużyć naukę do marca 1922 roku.

Z powyższej analizy wynika, że w okresie pocz. XIX – lata 30. XX wieku na Wołyniu prowadzono szkolenie personelu pielęgniarstwa w licznych placówkach oświatowo-medycznych. Średni personel medyczny na Wołyniu był przygotowywany przez różne placówki: państwowe, kościelne, szkoły prywatne, państwowe placówki medyczne oraz krótkoterminowe kursy w wołyńskiej, berdyczowskiej, korosteńskiej i nowograd-wołyńskiej Szkołach Felczerskich i Położniczych. W latach 30. XX wieku naukę organizowano w technikach medycznych, w siedmiu placówkach medyczno-pedagogicznych, działających przy klasztorach prawosławnych i katolickich, na kursach Oddziałów Czerwonego

Krzyża a także w Wołyńskiej Szkole Pomocników Lekarzy. Należy zaznaczyć, że od 1876 do 1922 roku w działalności oświatowo-medycznych placówek Wołynia dominowała tendencja do zmniejszenia roli państwa w organizacji edukacji medycznej, wzrastała zaś rola organizacji kościelnych i instytucji niepublicznych. Od 1922 roku na radzieckim Wołyniu instytucje medyczne i oświatowe były poddane kontroli władzy państwowej.

Po połączeniu polskiej i radzieckiej części Wołynia w 1939 roku, we wrześniu tegoż roku otworzono szpitale w Równym i Łucku. W wyniku terytorialnego podziału Wołyni rozdzielono na obwody: wołyński, żytomierski i rówieński, a krzemieniecka część Wołynia weszła w skład obwodu tarnopolskiego.

Dr Irena KRUKOWSKA

Żytomierski Instytut Pielęgniarstwa

Przypisy:

1. „Więści Tymczasowego Ludowego Rządu” 01.02.1919 / „Вісті Тимчасового Робітничо-селянського уряду” 01.02.1919

Bibliografia:

1. Borowy E.M.: „Z historii medycyny wiejskiej (koniec XIX – początek XX stulecia)”, Radziecka Służba Zdrowia 1958, Nr 9., s. 54-56
2. Grando O.: „Podróż w przeszłość medycyny”, Triumf, 1995, s.175
3. Duchin L.: „Z historii rozwoju szkół położniczych w Rosji i na Ukrainie”, [w:] red. L. Duchinin: „Felczer i położna”, 1968, Nr 5, s. 47-51
4. Historia wyższej medycznej oświaty i oświatowych medycznych szkół Ukrainy: „Materiały naukowo-praktycznej konferencji” [w:] red. K. Duplenko, K. Państwowe Medyczne Wydawnictwo, 1962, s. 168
5. Krukowska I.: „Medyczna oświata na Wołyniu (XIX w.– lata 30. XX w.)”, Żytomierz, Polesie 2010, s. 237

150. rocznica urodzin Marii Skłodowskiej-Curie

NAJSŁYNNIEJSZA KOBIETA WSZECHCZASÓW

Maria Salomea Skłodowska-Curie urodziła się 7 listopada 1867 roku w Warszawie w rodzinie Władysława Skłodowskiego – nauczyciela matematyki i fizyki, człowieka o znakomitych walorach intelektualnych, znawcy m.in. szeregu języków i historii, oraz Bronisławy z Boguskich. Jednak rodzina wywodziła się z innego regionu Polski, z Podlasia, a była też znana na dalszych kresach wschodnich Rzeczypospolitej.

Ten pradawny dom szlachecki używał dwóch form nazwiska: Skłodowski i Składowski, a pieczętował się w różnych rozgałęzieniach herbami „Dołęga” i „Jastrzębiec”. Nazwisko zaś swe wzięło od siola szlacheckiego Skłody w Ziemi Podlaskiej.

Źródła archiwalne podają, że np. Aleksander, Andrzej, Grzegorz, Jan Idzi, Leonard, Łukasz, Wojciech i dalsi panowie Skłodowscy w 1697 roku podpisali w imieniu Ziemi Nurskiej akt elekcyjny króla Augusta II; to samo uczynił Jan Skłodowski w imieniu województwa sandomierskiego.



Herb „Dołęga”

Okolo roku 1700 Seweryn Skłodowski był właścicielem dóbr Rząśnik pod Płockiem, a Kazimierz dóbr Skłody-Przyrussy na Podlasiu.

Wojciech Skłodowski z Ziemi Mielnickiej w 1764 roku podpisał akt elekcji króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. W tymże czasie do tej rodziny należały dobra Czaplin, Mince, Barszczówka, Niewodnica, Borągłynec Lacki.

Liczne osoby należące do tego rodu były urzędowo potwierdzone w starożytnej szlacheckości przez heroldię białostocką (1818, 1837), kowieńską (1851, 1865), wileńską (1865), mińską (1866).

Władysław Skłodowski był oficerem wojsk powstańczych na terenie Guberni Augustowskiej w roku 1863. (*Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Białorusi w Grodnie*, f. 970, z. 2, nr. 15, s. 154).

Matką Marii Skłodowskiej była Bronisława z Boguskich – równie dawnej, znanej od XIV wieku, lecz podupadłej majątkowo rodziny rycerskiej, pieczętującej się w trzech różnych gałęziach godłami „Rawicz”, „Topór” i „Zagłoba”.

W rosyjskim gimnazjum w Warszawie była Maria pierwszą uczennicą, a szczególnie lubiła lekcje z matematyki i przyrodoznawstwa. Nieraz jednak miewała konflikty z nauczycielką Majer, gorliwą rusyfikatorką polskich dzieci. Niewola mimo wszystko nie mogła nie demoralizować ludności kraju nad Wisłą, a wyjątkowo trudne warunki codziennego bytowania powodowały postępujące kundlenie moralne i umysłowe ludzi, atrofię wyższych potrzeb i odruchów duchowych, wzmacniały tendencję do zamykania się wyłącznie w banalnym świecie potrzeb fizjologicznych i materialnych. Warszawa w drugiej połowie XIX była w Europie miastem nie najliczniejszym, lecz mającym największą liczbę domów publicznych i rejestrującym najwięcej przestępstw kryminalnych. To był kraj bez nadziei i bez perspektyw, w którym brak było miejsca zarówno dla „ludzi wyższych”, wznoszących się nad poziom codziennego sprytu i cwaniactwa, jak i dla idei czystej, bezinteresownej nauki i takiejże sztuki. Nie byłoby tu miejsca i dla genialnej dziewczyny, która przez kilka lat

po ukończeniu gimnazjum zarabiała na chleb powszedni na posadzie wiejskiej nauczycielki.

Niejako więc w sposób naturalny i konieczny zaczęła w niej kielkować myśl o szukaniu ratunku z tej całej beznadziei. Rodzice nie byli przeciwni myśli, aby Mania udała się do wolnej Francji, gdzie zresztą mieszkali bliscy krewni, którzy mogliby pomóc młodej panie w urządzeniu się na nowym miejscu. Wreszcie decyzja zapadła i dwudziestoczteroletnia Maria Skłodowska wyjechała do Paryża. Po ciężkich latach w Warszawie, po korepetycjach, po posadzie guwernantki u prostackich chlebobawców dziewczyna znalazła się w „stolicy Europy”, by tu studiować fizykę – marzenie i pasję swego życia.

Ale i tu warunki życia okazały się ekstremalne. Niezależna z usposobienia studentka wynajęła małą mansardę, sama zarabiała na swe utrzymanie, a głód i chłód były częstymi gośćmi w jej mieszkaniu. Dziewczę jednak hołdowało zasadzie „*nie dać się zwyciężyć ani ludziom, ani okolicznościom*” i zaliczało na Sorbonie egzamin za egzaminem, i to tym skuteczniej, im bardziej doskwierał jej głód i im bardziej bojowy stawał się na skutek tego nastrój.

Pewnego razu Maria zemdlą w domu. Zatelefonowano do doktora Dłuskiego, jej szwagra, który szybko zorientował się, o co chodzi. Pusty rondel, czyste naczynia, w których od dawna nie widziano jadła i paczuszka herbaty jako jedyny zapas żywności – mówiły same za siebie. Okazało się, że w ciągu ostatniej doby pani studentka zjadła kilka rzodkiewek i garść wiśni; pracowała zaś do trzeciej nad ranem, przespąła cztery godziny, potem poszła na wykłady, wróciła, zjadła jeszcze parę rzodkiewek i... zemdlą z wycieńczenia. Taki bowiem tryb życia prowadziła od kilku miesięcy.

W 1894 roku studia zostały pomyślnie ukończone. Wciąż jednak trzeba było rozpaczliwie walczyć o przetrwanie. Podczas jednego z rzadkich spotkań towarzyskich, w których brała udział, zapoznała się z ujmującym, młodym mężczyzną, a wzajemna fascynacja była tak silna, że już w 1895 roku odbył się ślub Marii Skłodowskiej z Piotrem Curie, początkującym naukowcem fizykiem.

Z małżeństwa tego przyszła na świat córeczka Irena, która w dojrzałym wieku kontynuowała dzieło matki i również została laureatką nagrody Nobla w dziedzinie fizyki.

Zarówno Maria, jak i Pierre Curie pracowali w laboratorium profesora Henri Becquerela, który kilka lat



Herb „Jastrzębiec”

wcześniej opisał zagadkowe zjawisko promieniotwórczości, lecz nie bardzo wiedział, co to właściwie takiego i co z tym począć. Odkrywcą po prostu zauważył, że owinięte w czarny papier klisze fotograficzne, na które kładł różne minerały, reagowały podobnie jak na światło, jeśli leżały na nich przez jakiś czas związki uranu. Wywnioskował więc hipotetycznie, że, być może, sole uranowe emanują jakieś tajemnicze promienie. I tyle. Zagadkowe zjawisko zaintrygowało małżeństwo Piotra i Marii Curie, którzy nie omieszkali rodzinnie zabrać się do badań nad nim, zagrzewani do tego wzajemną miłością. Ich praca polegała na tym, że przez ponad rok dusili się w oparach dymu, gotując w kotłach tony blendy smołowej, dostarczanej z czeskiej miejscowości Jachimków. Po przerobieniu kilku ton surowca pani Marii udało się uzyskać kilkaset miligramów uranu.

W 1897 roku ukazuje się pierwsza publikacja naukowa Marii Skłodowskiej, zawiadamiająca o odkryciu pierwiastka promieniotwórczego, nazwanego przez nią na cześć ojczyzny „polonem” (od „Polonia” – po łacinie „Polska”). Odkrywczyni tworzy też nazwę badanego przez się zjawiska: radioaktywność, czyli promieniowanie.

W 1898 r. małżonkowie komunikują o odkryciu pierwiastka rad (od łacińskiego „radium” – „promień”) oraz wykazują, że także tor i jego związki są promie-



niotwórcze. Pani Maria osobiście jeszcze przedtem zaobserwowała, że odpady z rudy uranowej, zwane smołką i chalkolitem, mają jeszcze większą moc promieniotwórczą. Domyśliła się więc, że muszą w nich tkwić jakieś inne pierwiastki radioaktywne poza uranem. Przypuszczenie okazało się trafne i w ten sposób tak naprawdę zaczęła się epoka fizyki jądrowej.

Odkrycie i zbadanie zjawiska promieniotwórczości miało ogromne znaczenie m.in. dla energetyki, a także dla medycyny i to w znaczeniu podwójnym: umożliwiło bowiem wykorzystanie radioaktywności w celu leczenia groźnych schorzeń. Po drugie, ustalono również, iż promieniowanie radioaktywne może być niesłychanie szkodliwe dla zdrowia i życia ludzi. „*Każde możliwe zwiększenie poziomu promieniowania, każde napromieniowanie może o kilka odsetków zwiększyć częstotliwość mutacji... Praktycznie zaś wszystkie aberracje chromosomów i liczne mutacje genów są niekorzystne jak dla jednostek, tak też dla populacji*” (F. Vogel, A.G. Motulsky: „*Human Genetics*”, Berlin – Heidelberg 1986).

Dziś oczywiście wiemy już, że promieniotwórczość, jak każde inne wielkie odkrycie, została przez ludzi użyta nie tylko dla dobra człowieka. Ale na tego rodzaju nadużycia nie ma chyba rady i nie wynika z nich, iż powinno się zaprzestać wszelkich badań naukowych, których wyniki nieraz szatan wykorzystuje w celu czynienia zła. Jak słusznie bowiem zauważa wielki socjolog Florian Znaniecki w dziele „*Rzeczywistość kulturowa*”: „*Rezultaty nauki mogą stać się przedmiotem wszystkich rodzajów działalności praktycznej*”... W tym też najbardziej nieludzkiej...

Prawie cztery lata pracowała Skłodowska nad tym, aby z tony rudy pozyskać 0,1 grama chlorku radu, następnie zaś, prowadząc badania wspólnie z mężem, ustaliła, że promieniowanie nie zależy od warunków środowiska, że intensywnie oddziałuje na tkanki żywych organizmów itd.

Rozpocząła się nie tylko nowa epoka w nauce powszechnej, ale i nowa epoka w dziejach cywilizacji ludzkiej. Paul Langevin w 1945 roku pisał o bohaterskim czynie naukowym Piotra i Marii Curie: „*Odkrycie to będzie miało dla przyszłości naszej cywilizacji znaczenie dające się porównać ze znaczeniem odkryć, które pozwoliły człowiekowi opanować siłę ognia, a zastosowanie tego odkrycia, które do niedawna ograniczały się jedynie do obszaru medycyny, przewyższając znacznie zastosowanie maszyn parowej oraz silników spalinowych i odrzutowych*”.

O atmosferze moralnej, w której dokonywał się ten przewrót kopernikański w nauce i cywilizacji XX wieku, Ewa Curie we wspomnieniach o matce odnotowała: „*Tymczasem praca wspaniale się rozwijała. W ciągu lat 1889 i 1900 Piotr i Maria ogłaszają komunikat dotyczący odkrycia «elektryczności indukowanej», którą rad wywołuje, i drugi – o ładunku elektrycznym przenoszonym przez promienie. Poza tym redagują na Kongres Fizyków w roku 1900 sprawozdanie ogólne o ciałach promieniotwórczych, które wznieca wśród europejskich fizyków niezwykle zainteresowanie.* [...]”

Maria tymczasem w dalszym ciągu przerabia kilogram za kilogramem tony odpadków smołki uranowej, które jej jeszcze parokrotnie dosyłają z Jachimkowa. Dzięki nadludzkiej cierpliwości jest w ciągu czterech lat jednocześnie fizykiem i chemikiem, inżynierem, majstrem i wyrobnikiem. Dzięki pracy jej mózgu i jej mięśni znajdują się na stołach szopy związki coraz to bardziej aktywne, coraz bogatsze w rad. Zbliża się do celu. Już minął czas, kiedy stojąc w kłębach dymu na podwórzu, pilnowała ciężkich kotłów z wrzącymi masami. Teraz nadchodzi okres oczyszczania i «frakcyjnej krystalizacji» roztworów silnie radioaktywnych. Ale ubóstwo urządzeń więcej niż kiedykolwiek przeszkadza w robocie. Trzeba by mieć koniecznie nadzwyczaj czyste pomieszczenie, aparaty najdokładniej zabezpieczone przed kurzem i zmianami temperatury. W szopie zaś, otwartej dla wszystkich wiatrów, unoszą się pyłki węgla i żelaza, ku rozpacz Maryi wciąż przedostają się do rozczyńców, oczyszczonych z takim staraniem. Serce jej się ściska na widok tych codziennych drobnych nieszczęść, które tyle ją kosztują czasu i siły”...

W 1903 roku Maria Skłodowska-Curie kończy pracę doktorską i uzyskuje dyplom. Jednocześnie wspólnie z mężem i profesorem Becquerem staje się laureatką zespołowej nagrody Nobla z dziedziny fizyki. Ma wówczas 36 lat. W 1904 roku przychodzi na świat jej druga córka Ewa. Małżonkowie są sławni, przyjmują zaproszenia i biorą udział w przyjęciach i spotkaniach towarzyskich w pałacach królewskich, prezydenckich, magnackich. M.in. w Londynie są obecni na wspaniałym przyjęciu. Na dłoniach Marii, zniszczonych przez kwasy i promieniowanie, nie ma żadnego klejnotu, nawet obrączki, podczas gdy wszędzie dookoła niej połyskują na głębokich dekoltach i wypięlgnowanych palcach najwspanialsze brylanty Zjednoczonego Królestwa.

W jednym z listów z tego okresu pani Maria wyzna: „*Od czasu tej nieszczęsnej nagrody Nobla nic prawie nie*



Piotr i Maria, 1895 r.

możemy robić i zaczynam się sama siebie pytać, czy otrzymane pieniądze nam to wynagrodzą. Bo, ostatecznie, ludzie, u których kupuję mięso, węgiel, cukier itd., są bogatsi ode mnie, a nie doznają stąd takich udręczeń”... Nigdy jednak nie należy uskarżać się na los z powodu tych czy innych, mniejszych lub większych trudności, gdyż – jak wierzyli Grecy – Parki (Parki to córki nocy i nazywają się: Kloto, Lachezis i Atropos. Przędą one nić żywota ludzkiego, którą w końcu najstarsza z nich, nieubłagana Atropos, przecina w godzinę śmierci – *przyp. red.*) mogą być zazdrosne i złośliwe, jeśli człowiek nie ceni ich dobrych darów losu, дарowanych mu razem z przykrościami, jako swego rodzaju „przyprawami”. I wówczas zsyłają na nas prawdziwe nieszczęścia.

Mija kolejnych parę lat, dzielonych przez Piotra i Marię Curie między domem rodzinnym a pracą naukową. W 1906 roku głowa rodziny ginie tragicznie pod kołami pędzącego ulicą zaprzęgu konnego, a jego żona odnotowuje w dzienniku: „*Mój Piotrze, byliśmy stworzeni na to, by razem żyć i związek nasz był konieczny*”...

Jest zrozpaczona. Lecz nikt nie żyje na ziemi samotnie i jej także przychodzą z pomocą inni ludzie. Mi-

nisterstwo Oświaty Francji ofiarowuje wdowie katedrę profesorską na Sorbonie, zajmowaną poprzednio przez jej męża. W ten sposób Skłodowska staje się pierwszą panią profesor na tej renomowanej uczelni. Wbrew pozorom nie łączyło się to tylko z zaszczytami i sławą; do zajęć rodzinnych, do prac naukowych w laboratorium dołączyły obowiązki dydaktyczne na uniwersytecie. To wszystko dzielna Polka potrafi łączyć w harmonijną całość i nie zaniedbuje żadnej ze swych doniosłych misji. Dyplomatka Aleksandra Kołłątaj pisała w tymże czasie: „*Kuchnia, rodzina i kościół (Küche, Kinder, Kirche)! – oto trójkąt, który burżuazja przepisała nam, kobietom, jako jedyne pole do popisu. Ile uzdolnień, talentów, znakomitych darów ducha zanikło i przepadło w tym zakłętym trójkącie geometrycznym*”...

Ale przecież nikt niczego nie narzuci człowiekowi, jeśli on naprawdę ma rozum, wolę i odwagę, by dokończyć w życiu czegoś znakomitego. Odkrywczyni radu i polonu, dwukrotnej noblistce Skłodowskiej jakoś ani kuchnia, ani dzieci, ani kościół nie przeszkodziły w dokonaniu epokowych odkryć naukowych i zapoczątkowaniu nowej ery cywilizacyjnej, w przeciwieństwie do tysięcy skandalistek, które nie potrafiły ani niczego odkryć czy wynaleźć, ani założyć porządnej rodziny, ani urodzić i wychować na dobrego człowieka dziecka, ani nauczyć się przygotowania obiadu choćby dla siebie samej. Ba, nawet nie potrafiły utrzymać w ładzie i czystości własnego mieszkania, choć miały gęby pełne frazesów o równości i wolności. Macierzyństwo, życie rodzinne i wiara w Boga nie stanowią przeszkody na drodze do realizacji pełni swego człowieczeństwa przez kobietę. Taką naukę pani Maria wyniosła z domu rodzinnego.

W jednym z ówczesnych wywiadów prasowych siostra Marii Skłodowskiej, madame Szałajewa, mówiła: „*My wszystkie od lat najmłodszych idziemy przez życie samotne, z trudem torując sobie drogę. Mogłyśmy wtedy wyrobić sobie trochę tej energii... I dziś wszystkie pracujemy samodzielnie. Ja prowadzę wielką szkołę w Warszawie, a moja trzecia siostra dr Dłuska wraz z mężem zarządza sanatorium w Zakopanem*”. Na pytanie o stosunek siostry Marii do kraju odpowiedziała: „*Moja siostra interesuje się Polską i jej sprawami bardzo żywo. Nie zdarza się nigdy, aby kiedykolwiek odmówiła komuś, kto zwraca się do niej z prośbą.*

– A dzieci?

– *Dzieci mówią po polsku doskonale. Od lat sześciu mają tylko polskie nauczycielki. Starsza, Irena, ma nawet*

niedługo do nas przyjechać, aby poznać nasze stosunki, a zwłaszcza zwyczaje ludowe.

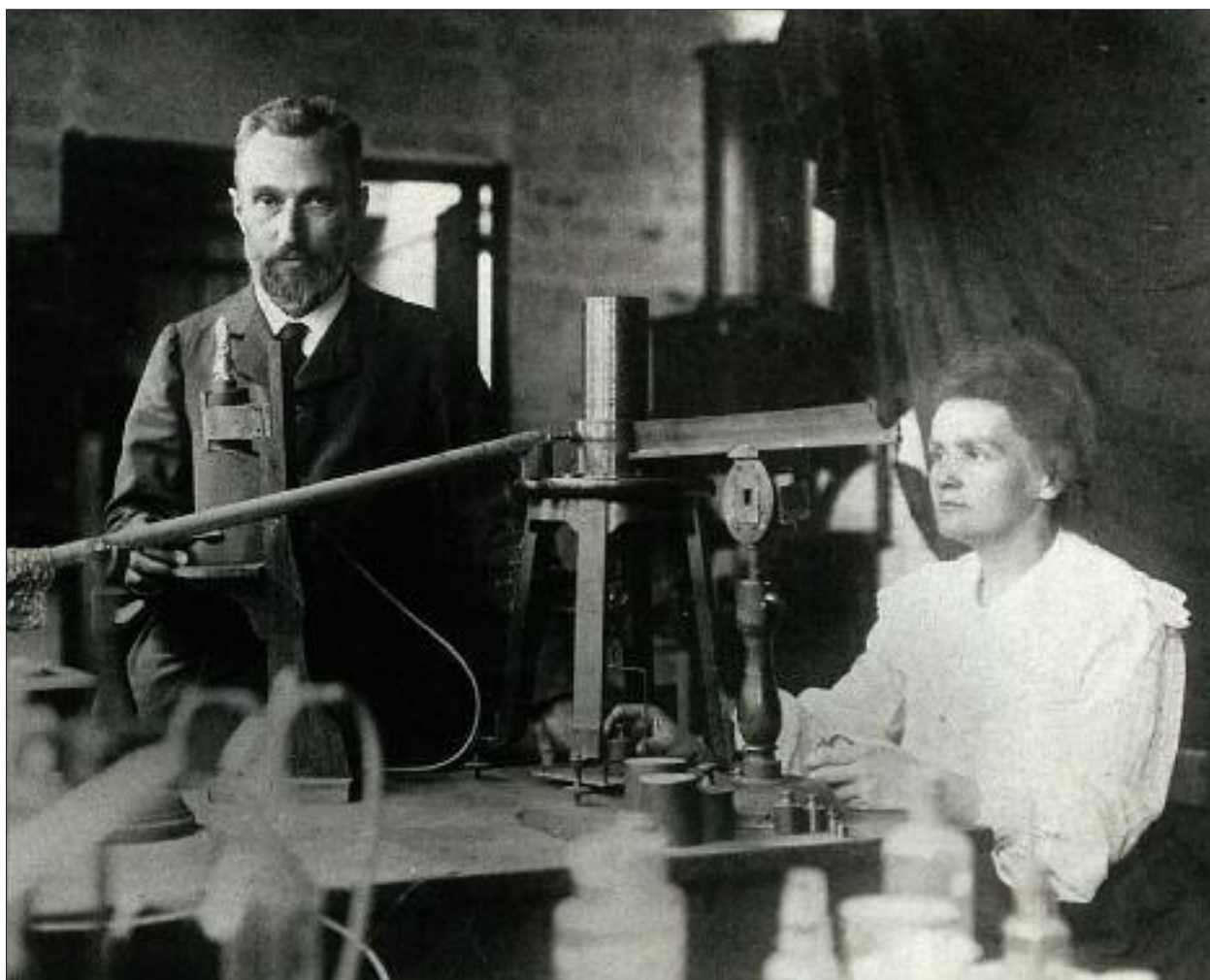
– *Czy pani Curie-Skłodowska jest dobrą matką?*

– *Ach, może za dobrą nawet. Poświęca swoim córkom za wiele czasu; interesuje się nawet ich najdrobniejszymi sprawami. Zresztą, po śmierci ukochanego męża nie pozostało jej nic więcej, prócz dzieci i nauki.*

Cóż zresztą może być „więcej” niż rodzina i dobra praca zawodowa? Laureat nagrody Nobla Albert Einstein zaznaczał: *„Pani Curie była – ze wszystkich ludzi w świecie – jedynym niezeepsutym przez sławę człowiekiem”*. Była w ogóle osobą szlachetną i zącną, świadomie akceptującą czystość i surowość obyczajowości staropolskiej, której zasadniczą ideę wyraził bardzo trafnie poeta i filozof Jan Kochanowski: *„Dwie rzeczy człowieka szlachcą: dobre obyczaje a rozum. Obyczaje z cnót pochodzą, a rozum z nauk; obydwie rzeczy w sobie mieć rzecz nieprzepełacona jest człowiekowi. Ale jeśli przy jednej tylko masz zostać, raczej przy cnocie niż przy nauce*

zostań, bo nauka bez cnoty, jako miecz u szalonego, i sobie i ludziom szkodzi; cnota zaś dobrze sama będzie chwalebna i pożyteczna”... Gdy zaś cnota i mądrość w jedno się łączą – jak w przypadku Marii Skłodowskiej – budzi to podziw u jednych, a złość jadowitą u drugich. Jak pisał Jan Kochanowski: *„Jest rzecz niepodobna wszystkim się podobać”*, a już w szczególności ludziom marnym, lecz bardzo mocno kochającym samych siebie, jak to jest w większości przypadków gatunku *homo sapiens*.

Po śmierci męża Maria Curie mimo całej swej działalności i prawości czuła się jednak zupełnie bezradna w obliczu zła. Tłum nie mógł jej wybaczyć ani genialności, ani zacności. Podła prasa i zawistni współpracownicy wciąż szukali przysłowiowej „dziury w całym”, a gdy to się, mimo „najlepszych chęci”, nie udawało, zaczęto tworzyć tzw. „fakty prasowe”. Jakże ostro i bezwzględnie tępiłono tę kobietę! Łatwiej jest potępić kogoś za domniemane wykroczenia niż siebie samego



Maria z mężem w laboratorium

za rzeczywiście. Brukowa prasa francuska od pewnego czasu zaczęła zarzucać Marii domniemany romans z Paulem Langevinem, wybitnym fizykiem, któremu jednak nie wiodło się w życiu rodzinnym i który niekiedy prosił o radę w sprawach bieżących wdowę po swym nauczycielu i przyjacielu Piotrze Curie. Wrzawa gazeciarskiego łajdactwa sięgnęła szczytu w 1911 roku, kiedy Skłodowska miała otrzymać drugą nagrodę Nobla, tym razem w dziedzinie chemii (opublikowała bowiem szereg prac dotyczących chemicznych i fizycznych właściwości polonu i radu oraz metod wyodrębniania, oczyszczania i pomiaru aktywności pierwiastków promieniotwórczych). Niektórzy zawistni, lecz mniej zdolni rywale znakomitej badaczki posunęli się do takiej nikczemności, iż pisali listy do Komitetu Noblowskiego z oszczerstwami i żądaniem nieprzyznawania jej nagrody za rzekome „niemoralne czyny”. Aż pani Maria, nie zniżając się do polemiki z prostakami, wystąpiła w prasie z listem, w którym słusznie skądinąd stwierdziła, że *„w nauce nie powinniśmy się interesować ludźmi, lecz faktami”*. Nawet bowiem gdyby wybitny uczony uległ chwilowo jakiejś ludzkiej słabości, to i tak dla przyszłych pokoleń ważne byłyby wzloty jego myśli, a nie upadki jego uczuć czy poglądów. Profani w ogóle nie powinni zabierać głosu na jego temat, dla lokaja bowiem i tak nie ma bohatera.

W końcu osobnik, który jako pierwszy rzucił na Skłodowską oszczerstwa, przeprosił ją publicznie i zmyśłone zarzuty wycofał, fala „gniewu ludu” opadła, tłum i wyraziciele jego gustów dziennikarze musieli się pogodzić z faktem istnienia obok siebie prawdziwego geniusza, a nawet zaczęli się przymilać do niego. Bądź co bądź ta „rozpustna Polka”, jak ją „szarmancko” nazywały niektóre gazety paryskie, była dumą Francji przed światem, pozyskując dla tego państwa w ciągu kilku lat dwie nagrody Nobla. Co prawda nowa fala plotkarstwa i nieokrzesanego zainteresowania życiem prywatnym uczzonej ponownie wezbrała w dewiacyjnym XXI wieku, kiedy to opublikowano mnóstwo artykułów, powieści, filmów, dramatów, dorabiających pani Skłodowskiej „gębę” emancypowanej sufrażystki, zdradzającej rzekomo męża z jego przyjacielem i narzekającej na własne dzieci jako na czynnik utrudniający uprawianie „wolnej miłości”. Trudno o bardziej nikczemne i fałszywe zmyślenia, kłamstwa i przeinaczenia, ale ponieważ takie było w tym czasie „zapotrzebowanie społeczne”, spreparowano szereg najwstrętniejszych, najpodlejszych „dzieł sztuki”, ukazujących Skłodowską w krzywym zwierciadle literackich i filmowych alfonsów,

sprzedających za judaszowskie srebrniki godność nieżyjącej już, zacnej i poważnej kobiety. Tego rodzaju skandalizujące publikacje ukazują się zresztą w Polsce do dziś, a polski czytelnik chętnie łyka te obrzydliwe wydzieliny zapijaczonych prostytutek prasowych.

Jako wymowny szczegół sylwetki etycznej Marii Skłodowskiej-Curie przypomnijmy okoliczność, że była ona nie tylko autorką odkryć naukowych, ale też wynalazczynią szeregu konstrukcji technicznych, z których ani jednej nie opatentowała i za które nie otrzymała żadnego honorarium, przekazując wszystkie swe idee bezinteresownie i nieodpłatnie ludzkości, aby mogły one służyć dobru tejże ludzkości. Uważała, iż myśl Rogera Bacona o tym, że *„nauka powinna uwolnić człowieka od męczącej pracy”* – jest jak najbardziej słuszna. Pobieranie zaś pieniędzy za wkład w realizację tej misji wydawało się jej odpychające pod względem moralnym.

Tak piękna postawa etyczna w przypadku Marii Skłodowskiej była widocznie zjawiskiem pochodnym, logicznie niejako wynikającym z jej światopoglądu chrześcijańskiego. W jej wielkim umyśle harmonijnie współżyły ze sobą głęboka wiara i rozległa wiedza. Wbrew bowiem usilnie krzewionym stereotypom między religią a nauką nie ma sprzeczności; jedynie płytką wiara i płytką wiedza przeczą sobie nawzajem; głęboka zaś wiara i głęboka wiedza tworzą nierozzerwalną i harmonijną całość światopoglądową. Jak trafnie zauważał Alfred Adler, *„nie ma nauki, która nie musiałaby znaleźć ujścia w metafizyce”*. Tylko dla pedantów czepiających się słów i pozorów, gdyż nie uświadamiających sobie zasadniczej ubogości mowy ludzkiej, nie mogącej wyrazić najsubtelniejszych twórców ducha, wszędzie przezierają sprzeczności, nigdy nie pozwalające im ujrzeć jasno głębi życia duchowego. Michel Chevreul, współtwórca chemii organicznej, pisał w książce *„Historia wiedzy chemicznej”*: *„Gdyby kiedykolwiek ktoś twierdził, że dzisiejsza wiedza prowadzi do materializmu, to ja spędziwszy długie swoje życie wśród książek i w laboratoriach chemicznych w celu poszukiwania prawdy, uważałbym za obowiązek zaprotestować przeciw takim poglądom... Gdyby ktoś powiedział, że nie ma Boga, czułbym się dotknięty w swoich uczuciach jako człowiek i jako uczony”*... Ale oczywiście nie chodzi o to, czy ktoś czuje się dotknięty – durnie ciągle czują się „dotknięci” i „obrażeni” przez świat, choć to nie inni, lecz ich własna głupota najbardziej ich „obraża”.

W okresie po pierwszej wojnie światowej Maria Skłodowska kontynuowała badania naukowe i wykłady na Sorbonie, brała czynny udział w licznych kongresach naukowych, na których reprezentowała naukę francuską i wypowiadała nieraz idee, które potwierdzał dopiero późniejszy rozwój nauki. Tak np. w 1912 roku wyraziła myśl, że możliwe jest istnienie takich cząsteczek elementarnych, które są pozbawione ładunku elektrycznego i których bieg pozostanie prosty nawet w obecności silnego pola elektromagnetycznego lub magnetycznego. Te słowa wielu renomowanych mężów nauki zaskoczyły, ale minęło kilkadziesiąt lat i Ernest Rutherford eksperymentalnie odkrył istnienie neutronów.

Maria Skłodowska była w swoim czasie i pozostaje do dziś jedną z najsłynniejszych kobiet świata. Nie tylko jednak tym się nie szczyliła, lecz czuła się nawet zakłopotana, ponieważ zdawała sobie sprawę z okoliczności, jak marną rzeczą jest sława i jak krótka bywa ludzka pamięć o ich dobroczyńcach. We wspomnieniach Ewy Curie znajdujemy stwierdzenie, że sława w

niczym nie zmieniła stosunku Marii do tejże sławy. Nie zdołała nigdy opanować wręcz fizjologicznego lęku przed tłumem, ani nieśmiałości sprawiającej, że lodowaciały jej ręce i zasychało w gardle, gdy stawiała w obliczu gromady ludzkiej. Nigdy też nie uległa zmianie jej całkowita niezdolność do wywyższania się, ani do ponizania kogokolwiek. *„Tak jestem daleka od was – pisała do córki Ewy – i tyle mnie spotyka hołdów, których nie mogę ani lubić, ani cenić, bo mnie męczą, więc też mi dzisiaj trochę smutno. W Berlinie tłum zebrany na peronie dworcowym entuzjastycznie witał boksera Dempsey’a, który wysiadł z tegoż pociągu, co i ja. Wydawał się bardzo rad z tego, a ja się zastanawiałam, czy w gruncie rzeczy jest wielka różnica między entuzjazmem dla Dempsey’a a dla mnie. Myślę, że w ogóle entuzjazm tego rodzaju jest niewłaściwy sam przez się, bez względu na to, do kogo się odnosi. Nie wiem jednak, jak należałoby postępować w takich przypadkach”...*

Podczas przyjęcia w Pałacu Elizejskim u prezydenta Republiki jakaś pani podchodzi do Marii Skłodowskiej i pyta:



Maria Skłodowska-Curie wśród innych wielkich uczonych początku XX wieku podczas I Konferencji Solwayowskiej w Brukseli w 1911 (m.in. Wien, Einstein, Maurice de Broglie – brat Louisa de Broglie, Nernst, Planck, Poincaré, Rutherford); pierwszy z prawej: Paul Langevin; drugi z prawej: Albert Einstein



Dyplom Nagrody Nobla z 1911 roku

„– Czy życzy pani sobie, abym ją przedstawiła królowi Grecji?

– Nie widzę potrzeby – odpowiada uczona spokojnie. Spostrzegła się jednak, że pani, która do niej przemawia, jest żoną prezydenta, więc poczerwieniawszy dodaje szybko:

– Ależ naturalnie, to tylko od pani zależy...”

To nie była świecka dama, próżna i przywiązana jak sroka do blichtru, błyskotek i konwenansów. To był człowiek czynu i myśli, piękne wcielenie prawdziwego człowieczeństwa. Nie mogło być inaczej, praca bowiem i nauka ściśle przynależą do siebie. Ewa Curie pisze: „Niestrudzona, zadziwiająca, przerażająca niemal pracowitość! W «wolnych chwilach» Maria pisze artykuły naukowe, książki. Rozprawę o izotopach, krótką, wzruszającą biografię Piotra Curie, nowe opracowanie cyklu swych wykładów. Te lata płodnej i świetnej pracy są także okresem tragicznych, bohaterskich zmagani. Pani Curie



Awers medalu poświęconego Marii Curie-Skłodowskiej (proj. W. Gosławska)

jest zagrożona ślepotą. W roku 1920 lekarze jej oznajmili, że zaćma na obu oczach stopniowo otoczy ją mrokami nocy. Nie dała poznać po sobie rozpacz. Spokojnie uprzedziła córki o tym nieszczęściu, od razu je pocieszając, że za dwa – trzy lata będzie można dokonać operacji. Do tego czasu – przez wszystkie miesiące straszego oczekiwania zmętniałe soczewki oczne coraz gęstszą mgłą oddzielać ją będą od świata i od pracy. Powoli, stopniowo Maria przewyrczyła zły los. Dzięki grubym szkłom okularów widzi prawie normalnie, może się swobodnie poruszać, nawet prowadzić samochód. W laboratorium znów podejmuje najsubtelniejsze pomiary i doświadczenia. Ostatni to cud pełnego cudów życia: Maria zmartwychwstaje z ciemności, odzyskuje dość światła na to, aby pracować, pracować do końca”...

Przy tak olbrzymim dorobku życiowym Skłodowska była przekonana, że „zmarnowała” swe życie. „Byłam głupia, jestem głupia, będę głupia, lub – żeby wyrazić to innymi słowy – nigdy nie miałam szczęścia, nie mam go i nigdy nie będę miała” – ze szczyptą goryczy wyznawała w jednym z listów. Ale trzeba pamiętać, że gorycz leży na dnie każdego życia ludzkiego, najwięcej zaś jej jest pod koniec życia „słodkiego” i „szczęśliwego”. Nie od dziś bowiem wiadomo, że wszystko jest marnością i wiatrem ulatującym na wietrze.

Fakt, że M. Skłodowska nie była, w przeciwieństwie do wielu innych kobiet, zorientowana na przeżywanie tzw. przygód życiowych; wynikało to z jej ogromnej inteligencji, ale być może także częściowo z jej lekkiej zamkniętości w sobie, tak obcej i niezrozumiałej dla człowieka stadnego, z natury kolektywistycznego i ludycznego. Wszystkie zdjęcia M. Skłodowskiej ukazują piękną, harmonijną i proporcjonalną twarz o delikatnych, zawsze ściśnionych ustach, a przecież zamkniętość w sobie przejawia się zawsze właśnie w zaciśniętych wargach. Wypada również zaznaczyć, iż osoby o rozwiniętym intelekcie bywają raczej niezależnie usposobione i instynktownie unikają uczuciowego uzależnienia się od kogokolwiek, a już szczególnie od zdania innego człowieka, nawet najbardziej ukochanego. Polegają najczęściej na własnym prawym sumieniu, rozumie i poczuciu obowiązku, zachowując do świata dość daleki dystans, graniczący z odosobnieniem i osamotnieniem.

Maria Skłodowska kilkakrotnie przyjeżdżała do Polski, pomagała zakładać tu podstawy organizacyjne dla rozwoju fizyki atomowej; chętnie dzieliła się swą olbrzymią wiedzą z naukowcami polskimi.

Maria Skłodowska była nie tylko dwukrotną laureatką nagrody Nobla (tę nagrodę otrzymała także jej córka Irena Joliot-Curie), ale również kawalerem kilkunastu złotych medali, najwyższych odznaczeń naukowych Anglii, Niemiec, Belgii, Rosji, Szwajcarii.

Lata jednak mijały i zbliżał się kres ziemskiej podróży ziemskiej tej mądrej, wspaniałej Polki. We wspomnieniach jej córki Ewy Curie czytamy zdania pełne dramatyzmu: *„Tragiczny pośpiech przygotowań. Marii nie wolno już przyjmować nikogo prócz najbliższych. Złamię jednak ten zakaz, w sekrecie wezwie do siebie swą współpracownicę, panią Cotelte: «Proszę starannie przechować aktyn do mego powrotu. Liczę na panią, że wszystko będzie w porządku! Po wakacjach zabierzemy się znów do tej pracy»...»*

Gorączka podnosi się powyżej czterdziestu stopni. Nie można tego ukryć przed Marią, która – z dokładnością uczoney – zawsze sama sprawdza termometr. Nie mówi prawie nic, ale strach maluje się wyraźnie w jej wyblakłych oczach. Profesor Roch, na gwałt wezwany z Genewy, porównuje wyniki badań krwi sprzed kilku ostatnich dni. Stwierdziwszy, że liczba krwinek zarówno czerwonych, jak białych zmniejsza się raptownie, stawia diagnozę: anemia złośliwa o przebiegu piorunującym. [...] Zaczyna się straszliwa, okrutna walka, która się nazywa „łagodną śmiercią”, a która jest dzikim zmaganiem się ciała z przemocą, jakiej ono nie chce ulec. Przy boku matki Ewa inną toczy walkę: do świadomości Marii, ciągle zupełnie przytomnej, myśl o śmierci jeszcze nie dotarła...

Trzeciego lipca 1934 roku rano pani Curie ma po raz ostatni siłę sama spojrzeć na termometr, trzymany w drżącej, chwiejnej dłoni. Widzi nagły spadek temperatury, który zawsze zwiastuje koniec, i uśmiecha się radośnie, bo Ewa ją zapewnia, że to znak poprawy, że teraz już jej stopniowo będzie coraz lepiej. Z namiętym akcentem nadziei i chęci do życia mówi, patrząc przez szeroko otwarte okno na góry skąpane w słonecznych blaskach: *„To nie lekarstwa mi pomogły, ale te góry – ta przestrzeń – powietrze”...*

Ostatnie jej chwile zdradzają niezwykłą odporność i siłę tej kobiety, która tylko na pozór zdawała się wątła. Serce nie przestaje bić i uparcie, nieustrudzenie

kołacze się w ciele, z którego ciepło odpływa. Przez szesnaście godzin doktor Piotr Lowys i Ewa trzymać będą te lodowate ręce – jeszcze nie martwe, chociaż już nie żywe. Dopiero o świcie dnia następnego, gdy słońce zaróżowi śnieg na górach i rozpocznie swą wędrówkę po cudownie czystym niebie, gdy wspaniały blask poranka rozświetli pokój i łóżko, dotknie zapadłych policzków i szarych oczu, już bez wyrazu, już przez śmierć zeszlonych, zatrzyma się to serce... Nietypowe objawy choroby, badania krwi dające obraz inny niż w zwykłych przypadkach anemii złośliwej, wskażą prawdziwego zabójcę: rad. *„Pani Curie może być zaliczona do ofiar długotrwałego oddziaływania ciał promieniotwórczych, które odkryła wraz z mężem”* – napisze profesor Regaud.

W piątek, dnia 6 lipca 1934 roku, w południe, bez żadnych przemówień, bez delegacji, tylko w obecności najbliższych i przyjaciół złożono doczesne szczątki pani Skłodowskiej-Curie w grobie rodzinnym na cmentarzu w Sceaux. Jej trumna stanęła przy trumnie Piotra Curie. Brat i siostra rzucili na nią garść ziemi przywiezionej z Polski. Na kamiennej płycie umieszczono krótki napis: *„Maria Curie-Skłodowska 1867–1934”*. Później ciało genialnej uczoney przeniesiono do paryskiego Panteonu – miejsca wiecznego spoczynku najznakomitszych ludzi Francji.

Po latach jej imię zostało uwiecznione jeszcze w ten sposób, że naukowcy rosyjscy nadali je jednemu z kraterów na niewidocznej stronie Księżyca, znajdującemu się w sąsiedztwie krateru Ciołkowskiego, innego polskiego geniusza zasłużonego dla całej ludzkości.

Dr Jan CIECHANOWICZ



Grób Marii Curie Skłodowskiej i Piotra Curie
w Panteonie, w Paryżu

Rok 2017 – Rokiem Josepha Conrada

PIEWCA HONORU I WIERNOŚCI

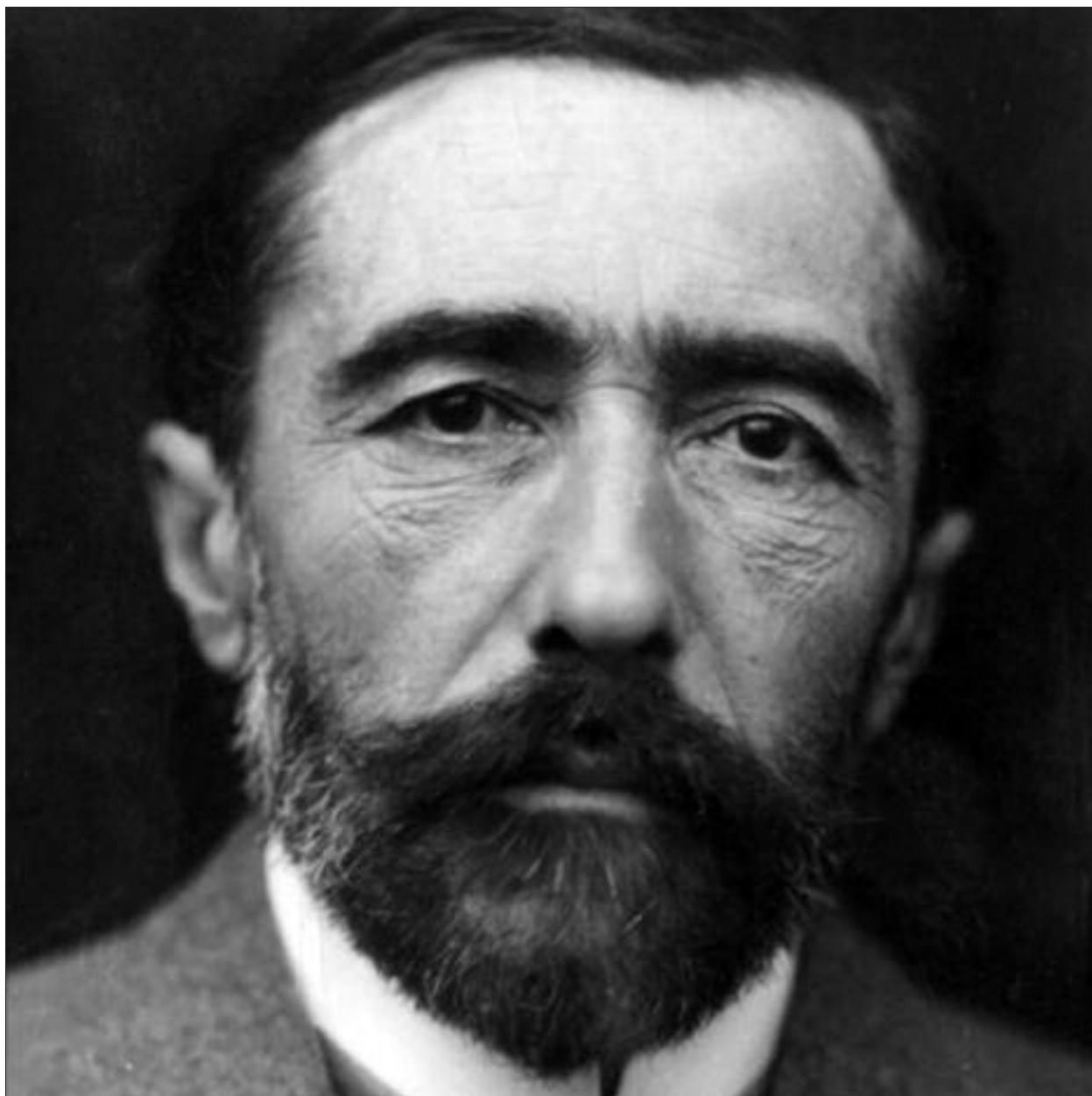
Jeden z najwybitniejszych europejskich mistrzów pióra urodził się na dzisiejszej Ukrainie, w mieście Berdyczowie, 3 grudnia 1857 roku jako syn Apolla Korzeniowskiego i Eweliny z Bobrowskich. Ta gałąź rodu pieczętowała się herbem „Nałęcz”. W *„Pamiętnikach mojego życia”* Tadeusz Bobrowski, brat Eweliny, wspominał: *„Z młodych ludzi w okolicy z jednym tylko zejść się i sympatyzować mogłem, mianowicie z Apollem Nałęcz Korzeniowskim (tak się bowiem dość pretensjonalnie podpisywał zawsze), później szwagrem moim”* (Tadeusz Bobrowski, *„Pamiętniki mojego życia”*, t. 1, s. 425-426, Warszawa 1979). Apollo Korzeniowski, ojciec Józefa, był dość uzdolnionym pisarzem. Bobrowski stwierdza: *„Oryginalne utwory jego dramatyczne – «Komedia» i «Dla miłego grosza» (ostatnia nawet premiowana w Warszawie i współcześnie z Korzeniowskim Józefem) miały niemałe powodzenie wśród czytelników i myślącej publiczności”*.

Literackie uzdolnienia były niewątpliwie dziedziczne i wiele razy uzewnętrzniały się w trakcie dziejów tego rodu; choć w ogóle się przyjmuje za pewnik,



Herb „Nałęcz”

że np. Józef Korzeniowski (1797–1863), autor licznych tragedii, wierszy, ód, komedii, jak *„Kolokacja”*, *„Spekulant”*, *„Wąsy i peruka”*, *„Majątek albo imię”*, *„Majster i czeladnik”*, nie należał do tegoż rodu, co Joseph Conrad. Przy tym z reguły jako nie do obalenia dowód jest przytaczany fragment listu samego Conrada do Edwarda Garnetta z 20 stycznia 1900 roku, w którym autor *„Lorda Jima”* neguje swe pokrewieństwo z autorem *„Karpackich górali”*, pisząc, jak następuje: *„W latach trzydziestych (czy czterdziestych) XIX wieku żył powieściopisarz nazwiskiem Józef Korzeniowski. Nazwisko noszę to samo, ale rodzina jest inna, jako że moje pełne nazwisko brzmi Nałęcz Korzeniowski. Podkreślone słowo jest nazwą naszego znaku rycerskiego (trade mark) – «Nałęcz». Właściwie tylko ja i Alfred Borys Konrad Korzeniowski jesteśmy jedynymi żyjącymi Korzeniowskimi tego gatunku”*... To ostatnie zdanie jest zupełnie bezpodstawne, gdyż w czasach Conrada żyli liczni, co prawda mu nieznani reprezentanci tej gałęzi Korzeniowskich, nie mówiąc o używających innych godeł. Joseph Conrad nie był genealogiem i jego sądy nawet o dziejach własnego rodu nie mogą być miarodajne, gdyż znał tylko nieliczne grono bliskich krewnych i nie miał żadnego pojęcia o rozmaitych, mniej znanych i jakby „zagubionych” pokoleniach swego wielkiego rodu, pieczętującego się różnymi herbami w różnych odgałęzieniach. Było to przecież zjawisko nagminne w środowisku szlachty polskiej, podobnie jak okoliczność, że reprezentanci tego środowiska (od paru stuleci drastycznie podupadającego pod względem umysłowym, moralnym, politycznym, majątkowym, kulturalnym) z reguły nie znali swych dziejów dalej niż na trzy czy cztery pokolenia wstecz i paru stopni pokrewieństwa „wszerz”. Jest bardzo prawdopodobne, że obaj Józefowie Korzeniowscy byli w tym czy innym stopniu pokrewieństwa, zważywszy, że ród to był szeroko rozgałęziony po wielu prowincjach Polski, Litwy, Rosji, Austrii. Korzeniewscy vel Korzeniowscy (polscy genealodzy twierdzą, że są to dwie wersje tego samego nazwiska) z powodu ogromnego rozmnożenia i rozgałęzienia używali nie tylko godła „Nałęcz”, ale też herbu „Kościeszka”, „Janina”, „Waga”, „Leliwa” i in. Trudno byłoby dziś ściśle ustalić, od jakiej konkretnie posiadłości wzięli swe nazwisko.



Joseph Conrad-Korzeniowski

„Wykaz urzędowych nazw miejscowości w Polsce” (t. 2, s. 168, Warszawa 1981) informuje o wsi Korzeniew w województwie kaliskim, Korzeniewo we wrocławskim i elbląskim, Korzeniów w lubelskim i tarnowskim, o kilku Korzeniówkach i Korzeniach. Prawdopodobnie wielu Korzeniewskich wzięło swe nazwisko od wsi Korzeniówka w powiecie drohiczyńskim na Podlasiu, inni, być może, od wsi Korzenie pod Smorzgoniami itd.

W przekazach archiwalnych od XVI wieku poczynając gęsto jest od wzmianek o różnych reprezentantach tego szeroko rozgałęzionego rodu. We wsi Korzeniówka na Podlasiu, według spisu z 1662 roku, miesz-

kali Adam, Stanisław i Sebastian Korzeniewscy z rodzinami, jak również („*Akty izdawajemyje Wilenskoju Archeograficzskoju Komissijeju*”..., t. 33, s. 512). Jan Stanisław Korzeniewski, starosta kościański, poseł województwa poznańskiego, w 1668 roku podpisał akt konfederacji generalnej warmińskiej („*Volumina Legum*”, t. 4, s. 495). Onże jest poborcą hiberny w 1678 roku (tamże, t. 5, s. 268). Pan Andrzej Korzeniewski, sędzia ławnik m. Brześcia, figuruje w księgach grodzkich tego miasta w roku 1669 („*Akty*”..., t. 18, s. 481-483 i in.). W 1679 roku pisarzem ziemskim brzeskim był Teodor Korzeniewski („*Akty*”..., t. 3, s. 91). Jan Korzeniewski, namiestnik klasztoru kościoła św. Bazylego



Apollo Korzeniowski – ojciec pisarza

w Wilnie, figuruje w księgach ziemskich wileńskich 13 stycznia 1680 roku („*Akty*”..., t. 9, s. 48-49). W testamencie Sylwestra Wołczackiego, administratora i namiestnika biskupstwa białoruskiego z roku 1686, figuruje m.in. pani Korzeniewska.

Paweł Korzeniewski, szlachcic spod Brześcia, wyłania się z mroku czasów na łamach przekazów archiwalnych z 1702 roku. W 1711 roku Bazylianie wileńscy zaskarżyli przed magistratem stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego „*pana Władysława Korzeniewskiego, o to y w takowy sposób: iż co obżałowany ięgomość mając w sąsiedztwie z żałującymi majątność swoją, nazwaną Uszę, w województwie Mińskim leżącą, różnemi czasy, różnych miesięcy y dni, różne szkody, krzywdy, niaizdy sam przez się y przez poddanych swoich, żałującym czynił y czynić nie przestaie*”.

Jako w roku 1708, naiechawszy gwałtownym y nieprzyjacielskim sposobem, z niemłą gromadą ludzi y czeladzi, boiarami poddanymi Uszańskiem, z różnym orężem, do boiu należącym, to iest, ze strzelbą ognistą, szablami, bardyszami y oszczepami, kiiami y cepami, także y ze psami, na majątność żałujących, nazwaną Bie-

liczany, w tymże województwie Mińskim leżącą, y poddanego żałujących na imię Mikitę młynarza violento modo wziąwszy, do majątności swojej, nazwanej Uszy, zaprowadził y tam u siebie niewinnie, niemilosierdnie w swoim prywatnym więzieniu okowywał, przez kilkanaście niedziel trzymał y męczył, od którego takowego niemilosierdnego więzienia wyszpomieniony poddany śmiercią z tego świata zszedł”. (Pisownia oryginału)

Natomiast w 1711 roku napadł pan Korzeniewski na wieś Moszczenica, gdzie „*siana stogów sześć zabrac kazał y do Borysowa zaprowadzić y chłopów wiecznie wiosennych* (sprawa działa się w kwietniu – przyp. J.C.) *czas w karmie dla bydła y koni zgubił...*”. Wszelako nie kontentując się i tym, dokuczał Bazylianom stale i na rozmaite sposoby, czyniąc im „*wielką krzywdę y nieznośną ruinę*” („*Akty*”..., t. 8, s. 167-169). W księgach rachunkowych Mohylewa za styczeń 1712 roku zanotowano dosłownie, iż „*na jakiegoś pana Władysława Korzeniewskiego wydano 55 złotych, w tym kupiono 20 garncy miodu i 30 garncy piwa na 26 złotych*” („*Istoriko-juridyczeskije materiały*”..., t. 23, s. 10, oraz t. 30, s. 76).

W 1716 roku w województwie witebskim występuje Stanisław Korzeniewski, miejscowy szlachcic, który z jakichś powodów chłopów poddanych swego sąsiada na drodze „*przejąwszy, niemilosierdnie bił, mordował ledwie nie do śmierci*”. Sprawa znalazła się w sądzie i imię szlachcica zostało przekazane potomności. W tymże roku w Mohylewie występuje też inny Korzeniewski, rotmistrz orszański. Dla niego to czyniono od czasu do czasu kosztem miasta nieduże zakupy w rodzaju: „*Dla imć pana Korzeniewskiego ryby marzley y wieńdej, miętuzów żywych za złotych 5,15*”. Tuż zaznaczono, że kupiono mu „*chleba sitnego, cybuli, jarzyny, soli, krup, pieprzu, oliwy, octu*” oraz *drew wozów dwa*” („*Istoriko-juridyczeskije materiały*”..., t. 27, s. 19). Były to wydatki „reprezentacyjne”, których pan Korzeniewski zażywał nie sam, lecz wspólnie z opiekuńczymi gospodarzami.

Wiktor i Jerzy Korzeniewscy 19 lutego 1764 r. podpisali instrukcję szlachty województwa wileńskiego posłom obranym na sejm konwokacyjny w Warszawie („*Akty*”..., t. 13, s. 235). Poszczególne gałęzie rodu Korzeniewskich były w posiadaniu m. in. majątku Walerianów, zaścianka Maklewszczyzna, Opity-Masłowszczyzna w powiecie oszmiańskim; gnieździły się w powiatach wileńskim, święciańskim, mińskim, trockim i innych (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 4, nr 1438).

O Korzeniewskich z Połoczczyzny i Witebszczyzny znajdują się bogate materiały genealogiczne i inne w zbiorach Narodowego Archiwum Historycznego Białorusi w Mińsku (f. 319, z. 2, nr 1474). „Wywód rodziny urodzonych Korzeniewskich herbu Nałęcz”, sporządzony przez Deputację Wywodową Szlachecką Gubernii Mińskiej 6 lutego 1823 roku donosi iż w 1692 roku Bazyli Korzeniewski, chorąży służby kozackiej polskiej, otrzymał od Jerzego Sapiehy nadanie ziemskie na Witebszczyźnie. W 1834 roku Aleksander, Tomasz, Michał, Teofil, Marcin, Dominik, Jan Korzeniewscy „za szlachtę rodowitych” zostali uznani (tamże, s. 221).

„Wywód Rodziny Urodzonych Korzeniewskich” z roku 1820 podaje, że „rodzina urodzonych Korzeniewskich jest dawna i starożytna, od niepamiętnych czasów zaszczyconą dostojnością szlachecką, używała prerogatyw temu stanowi właściwych, posiadała dobra ziemskie dziedziczne oraz urzędu publiczne piastowała, z której to rodziny pochodzący, a do niniejszego wywodu za protoplastę wzięty Jan Karol Korzeniewski miał syna Antoniego, który odchodząc z tego świata trzech po sobie zostawił synów: Wincentego, Tomasza i Jerzego, i onym osiągnięte po swym ojcu Janie Karolu Korzeniewskim dobra ziemskie, jako to: Luszczkowszczyzna z attynencjami w ludzkim i oszmiańskim powiatach leżące, testamentem w roku 1752 Januarii 7 dnia sporządzonym, rozpiął. Z przyrzeczonych synów Antoniego Korzeniewskiego Jerzy Antoniewicz Korzeniewski czterech na świat wydał synów: Jakuba, Mariana, Jana i Jerzego, posiadaczy dóbr Narkuski, Woronowo, Olszewo, Żołudek, Kowalszczyzna, Bieniakonie”.

„Wywód rodziny urodzonych Korzeniewskich herbu Nałęcz”, ułożony w Wilnie w 1819 roku, głosi, że „Piotr Korzeniewski w zaszczyście prerogatywy szlacheckiej dziedziczył dobra ziemskie Czernie zwane, i spłodził syna Samuela, a ten pomienione dobra mocą sukcesji posiadując, przykupił do nich folwark Korzenie, i synów trzech Adama, Eliasza i Daniela sukcesorami po sobie zostawił”. Był to rok 1623. „Adam sam jeden będąc dziedzicem dóbr oyczystych, spłodził syna Kazimierza”, który z żoną Marjanną Porzecką posiadał też folwark Kamionka... Komisja wywodowa uznała więc w 1819 roku „Justyna z synem Franciszkiem i Michała z synem Józefem Korzeniewskich za rodowitą i starożytną szlachtę polską” (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 1, nr 1008, s. 62-63).

Kolejny „Wywód rodziny urodzonych Korzeniewskich herbu Nałęcz”, tym razem z 2 października 1837 roku,

podaje, że „Piotr Korzeniewski, protoplasta rodziny, miał we władaniu swoim ziemny z poddanymi majątek Czernie zwany w powiecie oszmiańskim położony, który synowi Samuelowi, a ten Adamowi Izajaszowi i Danielowi, synom, zostawił: na dowód tego cytowany jest testament Samuela Piotrowicza Korzeniewskiego pod rokiem 1623”... (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 1, nr 1058, s. 121-125). Korzeniewscy ci posiadali także na Mińszczyźnie liczne dobra: Domowickie, Piorunów Most, Kraśny Brzeg, Hajdukowa Słoboda („Spisok ziemlewladielcew Mińskiej Gubernii”, Mińsk 1899, s. 191 i in.).

Liczna też grupa Korzeniewskich uznana została przez heroldię grodzieńską za rodowitą szlachtę w 1835 roku. Gnieździł się w powiecie drohickim na dobrach Korzeniówka, Łapiny, Zaremby, Czerepy (CPAH Białorusi w Grodnie, f. 332, z. 4, nr 1, s. 75-77). W 1864 roku Józef Korzeniewski, szlachcic guberni wołyńskiej, został skazany na osiem lat ciężkich robót w kopalniach za udział w Powstaniu Styczniowym.

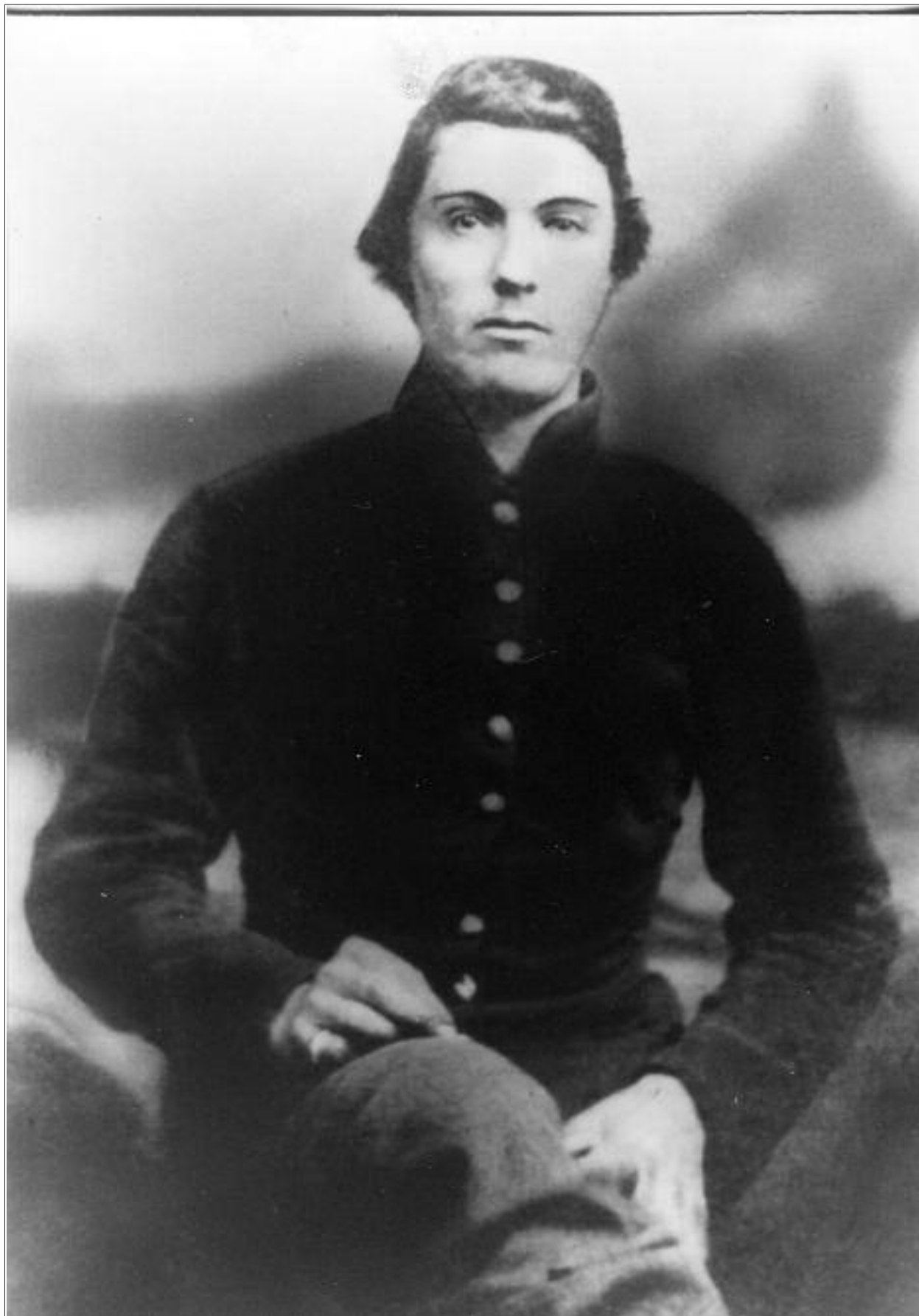
Jak wynika więc z przytoczonych powyżej rezultatów kwerendy archiwalnej, byli Korzeniewscy vel Korzeniowscy domem potężnie rozmnożonym i na skutek tego wieloherbowym, którego wszystkie części trudno byłoby ogarnąć pamięcią.

Po kądzieli Joseph Conrad, jak zaznaczyliśmy na początku, pochodził z równie słynnego i znacznego rodu ziemiańskiego Bobrowskich, także zresztą ogromnie rozgałęzionego i „wieloherbowego”, pieczętującego się takimi godłami, jak „Bóbr”, „Jastrzębiec”, „Lubicz”, „Nałęcz”, „Pobóg”, „Prus”.

Apollo Korzeniowski wziął udział w powstaniu antyrosyjskim 1861 roku, był sądzony i lata 1862–1866 razem z żoną i kilkuletnim synkiem spędził na zesłaniu w głębi imperium; początkowo mieszkał w Wo-



Rodzice Józefa Korzeniowskiego:
ojciec Apollo Korzeniowski i matka Ewa Bobrowska



Siedemnastoletni Józef Conrad-Korzeniowski

łogdzie, potem bliżej Polski – w Czernihowie. Warunki bytowania w Rosji były tak uciążliwe, że matka małego Józka Korzeniowskiego ciężko zachorowała i ku wielkiemu bólowi całej rodziny zmarła 18 kwietnia 1865 roku w wieku niespełna trzydziestu dwóch lat. Podupadł na zdrowiu i chłopczyk, którego jesienią 1866 roku wysłano na kurację domową do majątku Bobrowskich Nowofastowa i do Kijowa. Dolegliwości, które mu dokuczały, jak uważają biografowie, miały charakter czegoś w rodzaju epilepsji, czyli schorzenia dość często atakującego osoby o predyspozycjach do wielkości. Zanikły one dopiero po czternastym roku życia Józefa, gdy młody, rosnący w siłę organizm potrafił przełamać chorobę.

Od początku 1868 roku ojciec i syn Korzeniowscy zostali zwolnieni z niewoli moskiewskiej i osiedlili się na rok we Lwowie, przenosząc się następnie do Krakowa. Niebawem zaledwie 12-letni chłopiec doznał kolejnego wstrząsu – zmarł mu po matce i ojciec. Opiekę nad dzieckiem powierzono jego wujkowi, wspomnianemu powyżej Tadeuszowi Bobrowskiemu.

Edukacja chłopca, jak się wydaje, ograniczała się do lekcji domowych. W sumie czuł się on widocznie niezbyt swojsko w tym środowisku, ponieważ zaledwie w wieku 17 lat widzimy go już w portowym mieście Francji, w Marsylii, gdzie się przygotowuje do zawodu marynarza. Na szczęście znał dobrze język francuski i jakoś dawał sobie radę, ale środki na utrzymanie, nadsyłane przez wujka, szybko się ullaśniały w wesołym i niezbyt moralnym towarzystwie młodzieży portowej. Lecz ta banalna „aktywność ludyczna” rychło się sprzykrzyła młodzieńcowi, obdarzonemu bądź co bądź zdrowym instynktem moralnym, inteligencją i dynamizmem życiowym. Porzucił swe przyjaciółki i swych przyjaciół, zaciągnął się jako marynarz na żaglowiec francuski i odbył trzy podróże morskie do Ameryki Środkowej. Niestety do pięknie zapowiadającej się kariery „wilka morskiego” wtrącił się konsulat rosyjski (Józef Korzeniowski wciąż pozostawał poddanym cesarza Wszechrosji) i zabronił mu służyć na statkach pływających pod obcą banderą. Młody człowiek został niebawem bez grosza, niedawni „przyjaciele” też gdzieś raptem „wyparowali”. Okazało się, że kto nie ma pieniędzy, ten nie ma też „przyjaciół”, do tych pieniędzy się garnących. Był to nie lada zawód moralny dla młodego idealisty, który po raz pierwszy (lecz nie ostatni) stanął twarzą w twarz z ludzką nikczemnością, podłością, zdradą, słabością. Co prawda, udało się początkowo nieco pieniędzy na marną strawę pożyczyć, lecz gdy nastał czas

zwrotu długów, okazało się, że nie ma z czego. Pisać do wujka w tej sprawie było wstyd, podjął więc pan Józef decyzję, jak mu się wydawało, honorową: targnął się na własne życie. A przecież, gdyby umarł, długi pozostałyby niespłacone. Cóż za dyshonor! To tak, jakby pożyczyć pieniądze i uciec od wierzycieli!.. Na szczęście młodego desperata odratowano, a wujek T. Bobrowski, gdy od postronnych osób dowiedział się o tym przypadku, natychmiast spłacił wszystkie długi siostrzeńca i podniósł pułap rocznego zasiłku do prawie 2,5 tysięcy franków.

W kwietniu 1878 roku Józef Korzeniowski zaciągnął się na angielski statek handlowy, przechodząc w dalszym ciągu kolejne etapy kariery i rang nie tylko świetnie opanował język angielski, ale też w pełni zarabiał na swe utrzymanie i zrezygnował z pomocy opiekuńczego wujka, z którym wszelako nadal utrzymywał bardzo intensywną korespondencję. W 1886 roku zrzekł się poddaństwa rosyjskiego, przyjął brytyjskie, a po złożeniu egzaminu otrzymał rangę kapitana żegluga wielkiej Zjednoczonego Królestwa. Tym też rokiem datuje się jego wielka epopeja podróżnicza w charakterze dowódcy żaglowców brytyjskich. Wielokrotnie przebywał na nich trasę między Anglią a Indiami, dziewięć razy opłynął Przylądek Dobrej Nadziei, nieraz żeglował po morzach Archipelagu Malajskiego, docierał do wyspy Mauritius i do Australii. Przez pewien czas dowodził parowcem rzeczny w Kongu Belgijskim, zachorował tu na febrę, z której z trudem się wyleczył, i na zawsze przesiąkł nienawiścią do systemu kolonialnego, opartego na poniżeniu i wyzysku ludzi przez ludzi. W trakcie wszystkich podróży robił szczegółowe notatki, które następnie zostały wykorzystane jako swoisty materiał ilustracyjny i tło krajobrazowe dla jego wspaniałych powieści psychologicznych i obyczajowych.

Charlotte Bühler („*Bieg życia ludzkiego*”, s. 89-91) przytacza pewne fragmenty z życia Józefa Conrada jako ilustrację tego, że często bieg działalności ludzkiej bywa gwałtownie odwracamy pod wpływem tych czy innych okoliczności. Uczona pisze: „*W innych przypadkach, przerwanie opartego na witalności okresu życia już nie następuje dobrowolnie, a nawet czasem pod przymusem nieodwracalnej utraty zdrowia lub innych uszczerbków. Zilustrujemy te możliwości, zgodnie z naszą zasadą, na przykładzie biografii znanego człowieka, dodając do niej biografię człowieka dużo prostszego. Wybieramy tym razem dwie dość podobne do siebie biografie: marynarza i słynnego pisarza – Josepha Conrada oraz skromnego ma-*

rynarza, a potem urzędnika portowego – Alfreda Tetensa. Należy od razu podkreślić, że pewne wypadki losowe, utrata zdrowia lub inne trudności w okresie regresu biologicznego, traktowane są tu odmiennie niż poprzednio; że wielokroć te same trudności prawie nie dostrzegane w okresie wcześniejszym i wówczas natychmiast pokonywane, około 50-tki powodują radykalną zmianę życia.

U Josepha Conrada było jednak tak, że ciągle powracająca gorączka zmusiła go do zrezygnowania z umiłowanego zawodu marynarza już w wieku 36 lat; podobnie jak złamanie kości udowej przez Alfreda Tetensa zmusiło go do przerwania wielkiej kariery marynarskiej.

«Pragnienie by ruszyć na morze opanowało całkowicie moje uczucia i myśli». Tetens zamustrował się jako chłopiec okrętowy na szkunerze. Pierwszy rejs na Daleki Wschód trwał dwa lata. Bardzo się rozwinął fizycznie i został marynarzem. «W tej przyjemnej świadomości także moja duma rozwinęła się tak bardzo, że rozmyślałem nad użyciem moich sił fizycznych w przypadku, gdyby mój niesympatyczny sternik chciał kontynuować swoje dziwne, całkowicie niesympatyczne pieszczoty». Wywalczył sobie poważaną pozycję na statku.

Szansa na wstąpienie w wieku 20 lat do marynarki brytyjskiej była dla Conrada spełnieniem największego marzenia w życiu, podobnie jak dla Tetensa awans (w wieku 30 lat) na kapitana niemieckiego statku handlowego. Tetens mianowicie, po powrocie z pierwszych większych rejsów, jako dwudziestolatek uczęszczając do szkoły morskiej i w wieku 26 lat zdał egzamin kapitański, podczas gdy Conrad przez 12 lat dosłużył się powoli funkcji kapitana. Dla obu nadzieja na wielką przygodę, tęsknota za dala, chęć podróżowania, były decydującymi czynnikami aktywności zawodowej. Tetens tak pisze o pierwszym samodzielnym rejsie na morza południowe: «Kierowało mną odczucie, którego jeszcze dziś nie potrafię dokładnie określić, lecz o którym wiem, że wyrażało się w niezaspokojonej tęsknocie za czymś obcym, nieznanym, unikającym bojaźliwie tego co bezpieczne a zmierzającym do bytu pełnego walki, w stylu Robinsona. Z tych prawdziwie młodzieńczych tęsknot i marzeń wyleczyłem się gruntownie w czasie półtorarocznego pobytu na morzach południowych, ale chciałbym dodać, że jednocześnie moje pragnienie przygód zostało w pełni zaspokojone, a moje przeżycia były tak wielostronne, że przypuszczalnie przekraczały granice określone dla większości marynarzy».

Wymarzone przygody nie ominęły także Conrada, o czym mówią jego nowele. Tetens, który na wyspach morskich południowych nawiązywał kontakty handlowe, który od-

krył i nawet wziął w posiadanie wyspę Neu-Hamburg, który był zwalczany przez tubylców, gdy zakładał plantacje na Karolinach i który został ranny przypadkowym strzałem z karabinu tak ciężko, że musiał definitywnie wrócić do Europy i zrezygnować z aktywnego życia marynarskiego. By zapewnić sobie byt, zakupił wydawnictwo czasopisma zajmującego się problematyką morską, by «...pozostać w kontakcie ze wszystkimi sprawami dotyczącymi żeglugi i z niestabnącą siłą przynajmniej uczestniczyć w działalności na rzecz niemieckiej żeglugi». Jeszcze w tym samym roku – 1870 – został mianowany rzecznikiem marynarzy w magistracie, co bardzo go satysfakcjonowało. Tę funkcję pełnił do końca życia.

Jeszcze ciekawsza z naszego punktu widzenia jest zmiana działalności u Conrada, a to dlatego, że nie rozpoczął pisarstwa wtedy, gdy musiał zrezygnować z zawodu marynarza, lecz jego pierwsza powieść «Szaleństwo Almayera» powstała już w czasie jednego z jego ostatnich rejsów. Conrad, który zmarł w roku 1924, drugą połowę życia całkowicie poświęcił działalności literackiej.”

W 1893 roku Józef Korzeniowski przerwał żywot „wilka morskiego” i rozpoczął – w wieku 36 lat, czyli już po zgromadzeniu pewnych obserwacji i doświadczeń życiowych – karierę literata angielskiego, debiutując w 1895 roku powieścią pt. „*Almayer's Folly*” („Szaleństwo Almayera”, pierwsze wydanie polskie 1923). Twórczość rozwijała się w tempie piorunującym, niemal natychmiast zaskarbiając autorowi sławę powszechną.

Za szczytowe osiągnięcia uważane są dzieła z okresu około 1896–1911: „*The Nigger of the „Narcissus”* (1897), „*Lord Jim*” (1900), „*Typhon*” (1903), „*No-stromo*” (1904), „*The Secret Agent*” (1907), „*Under Western Eyes*” (1911), „*Chance*” (1913). Wszystkie te utwory, jak też szereg dalszych, zostały wydane także w języku polskim oraz w kilkudziesięciu innych. Prócz wyżej wyszczególnionych światową sławę Josepha Conrada utwierdziło i poszerzyło ukazanie się w późniejszym okresie takich znakomitych dzieł jak „*Victory*” (1915), „*The Shadow Line*” (1917), „*The Rover*” (1923). Prócz tego spod jego pióra wyszły błyskotliwe opowiadania i eseje, szkice marynistyczne, polityczne i kulturologiczne. W sumie spuścizna piśmiennicza tego geniusza zamyka się w 24 obszernych tomach po angielsku i w 26 po polsku.

Krytyka literacka zwraca uwagę nie tylko na przepiękny styl i język dzieł Conrada, lecz też na jego szla-

chetną filozofię życia, wyrażaną przez słowa i postępowanie jego bohaterów literackich. O ile ogólnofilozoficzne poglądy pisarza oscylowały raczej w ramach agnostycyzmu, z tym większą ostrością i zdecydowaniem dawał wyraz swym jednoznacznym i perfekcjonistycznym przekonaniom etycznym. Był przekonany, że istnieje absolutna i bezwzględna konieczność przestrzegania w postępowaniu twardych zasad moralnych, takich jak wierność, honor, męstwo, obowiązkowość, sprawiedliwość, odwaga, godność. Relatywizm moralny dla niego nie istniał, był po prostu w jego oczach czymś nie godnym człowieka, oznaką zwyrodnienia i małości.

Bohaterowie J. Conrada zawsze stają samotnie przed jakimś wezwaniem losu, przed potężnymi siłami przyrody, przed własnym odosobnieniem.

Człowiek wszelako nadaje sens swej samotności w pozbawionym sensu świecie przez postępowanie bezwzględnie godne, oparte na honorze, wierności i prawdzie.

Joseph Conrad był przekonany, że ludzie powinni być etyczni z samego tylko poczucia odpowiedzialności za los własny i świata, z wewnętrznej powinności, nie oglądającej się na nagrody, kary i sankcje. *„Wartość człowieka równa jest pracy, jaką wykonywa uczciwymi środkami dla uczciwych celów, ściśle w granicach swoich obowiązków społecznych”*... Co by się mogło dziać dookoła, człowiek godny nie ogląda się na okoliczności i polega na własnym prawym sumieniu, zawsze postępując sprawiedliwie, mężnie i lojalnie w stosunku do innych ludzi, choć przecież nieraz działalność podjęta w dobrej wierze i we właściwym celu, prowadzi gdzie indziej, niż zamierzała dojść osoba działająca. Dlatego też Conrad powiada, że *„ludzie odpowiadać mogą tylko za swoje intencje, ostateczny rezultat ich działania wymyka się spod ich władzy”*.

Z drugiej strony, często czyni człowieka – ku jegoż zaskoczeniu – są sprzeczne z jego własnymi myślami, poglądami i uczuciami. Wydaje się to dziwne, ale przecież i domniemany król Salomon odnotował (*„Przysłowia”*, XX, 24): *„Bóg kieruje krokami człowieka, jakżeby człowiek pojął własną drogę?...”* Człowiek bywa nie tylko „kowalem”, ale i przysłowiowym „szewcem”, partaczem swego losu. Mimo to nie pozostaje mu nic innego, jak polegać na własnym rozumie i własnym sumieniu, nad których właściwym ukształtowaniem musi się pracować przez wiele lat, zdobywając prawdziwą wiedzę i kulturę. *„Ubodzy duchem są o tyle szczęśliwsi, że nie mają pełnej świadomości swojej sytuacji.”*

Joseph Conrad

CYTATY

- Żyjemy tak jak śnimy – samotnie.
- Człowiek jest zadziwiający, ale arcydziełem nie jest.
- Każde źdźbło trawy ma swe miejsce na ziemi, skąd czerpie swe życie i siłę; tak i człowiek ma swe korzenie w kraju, z którego ciągnie wraz z życiem wiarę swoją!
- Ocean, jakby był zbyt wielki, zbyt potężny na pospolite cnoty, nie zna ani współczucia, ani wiary, ani prawa, ani pamięci.
- Poczucie bezpieczeństwa, nawet najbardziej usprawiedliwione, jest złym doradcą. Podobnie jak nadmierne poczucie błogości zwiastuje nadejście szału, poczucie bezpieczeństwa wyprzedza szybki cios klęski.
- Wierność jest wielkim ograniczeniem wolności, jest najsilniejszym z więzów pętających samowolę ludzi i statków na tym globie.
- Z narzędzmi i ludźmi trzeba się obchodzić uczciwie, aby wydali z siebie siłę, która w nich tkwi.
- Biada człowiekowi, którego serce nie nauczyło się za młodu ufać, kochać – i pokładać w życiu nadzieję!
- Imię – to rzecz piękna, kiedy do niego przyłącza się zasługa, a bez tego jest tylko znakiem, który rozróżnia jednego człowieka od drugiego.
- Jest na świecie szczęście, ale w pocziwej pracy – nie w obietnicach losu i loterii.
- Ludzie śmieją się tylko z tego, co śmieszne, albo z tego, czego nie rozumieją.
- Marzenia o miłości – tak samo jak kojące tajemnice wiary – są nie do przewyciężenia i nigdy, przenigdy ani mężczyźni, ani kobiety nie rządzą się rozumem.
- Morze podobne jest sercu kobiety.
- Nie lubię pracy – żaden człowiek jej nie lubi. Lubię jednak to, co daje praca – szanse odnalezienia siebie, własnej rzeczywistości.
- Nie wiem, jak daleko towarzyszy człowiekowi poczucie humoru. Może aż do stóp szubienicy.
- Nie szafuję lekkomyślnie słowem MIŁOŚĆ, są jednak ludzie, którzy są w stanie powiedzieć, że kochają kielbasę.

Conrad był pewien, że przez zło i w złe człowiek nigdy nie zrealizuje swego potencjału. Choć przecież zdawał sobie sprawę z tego, że – jak pisał Niccolò Machiavelli w „*Historiach florenckich*” – „*wielu, nie mogąc zdobyć rozgłosu przez czyny chwalebne, starało się go osiągnąć przez haniebne!*...” Rozgłos taki jednak nic nie jest wart, trąci od niego padliną. Tylko w dobru moralnym urzeczywistnia się prawdziwa wielkość człowieka. Duch etyczności jest żywiołem ducha conradowskiego w tym znaczeniu i formie, w jakich ukształtowały go tysiącletnie dzieje kultury ludów indoeuropejskich.

Dzielność charakteru to właśnie odziedziczona lub nabyta umiejętność poprawnego pod każdym względem działania, którą umownie się dzieli na poszczególne sprawności, zwane cnotami. Zalicza się tu takie kwalifikacje charakterologiczne, jak dzielność, sprawiedliwość, umiarkowanie, męstwo, odwaga, rzetelność, roztropność, życzliwość, trzeźwość, przytomność umysłu, lojalność, siła woli, cierpliwość, konsekwencja i inne.

Co prawda, zarówno naukowe teorie etyczne, jak i obiegowe sądy o moralności bywają z reguły odmienne: u Chińczyka i Polaka, Niemca i Nieńca, Czeceńca i Czecha, Japończyka i Francuza, księdza a złodzieja, nauczycielki a prostytutki, starca a młodzieńca itd. Każdy z reprezentantów powyższych grup społecznych będzie nieco inaczej sobie wyobrażał to, co dobre, i to, co złe; to, co godne pożądania, i to, co jest z natury odpychające. Co więcej, to, co przez jednych jest uważane za zaletę, przez innych będzie uważane za wadę. Wszelako z różnorodności ludzkich zapatrywań i rozmaitości sposobów postępowania wcale nie wynika równa ich sobie nawzajem wartość. To nieprawda, że „*człowiek jest miarą wszech rzeczy*”. Jest on taką miarą tylko we własnych oczach i tylko na własny użytek. Niedojrzała lub perwersyjna osobowość będzie nosicielką zarówno niedojrzałych i perwersyjnych sposobów postępowania moralnego, jak też niedojrzałych i perwersyjnych teorii etycznych. Byt tutaj nieraz określa świadomość. Z głoszonych poglądów można nieraz wnioskować o chorobach cielesnych i psychicznych trawiących dane indywiduum, dokładnie tak, jak można to robić na podstawie obserwacji konkretnych ludzkich zachowań. Odpowiednio: zdrowy umysł i zdrowe ciało są źródłem zarówno zdrowej moralności praktycznej, jak i zdrowych teorii etycznych.

Naturalny (czyli dany przez Boga ludziom) system wartości i norm etycznych ma charakter obiektywnie zhierarchizowany i niezależny od mniemań poszcze-

gólnych osób. Jest też zgodny z logiką i rozumem. Fundamentem tej hierarchii są cnoty teologiczne: wiara, nadzieja, miłość, z których wyrastają cztery cnoty główne: roztropność (rozum), sprawiedliwość, męstwo i umiarkowanie, które z kolei konkretyzują się i rozgałęziają na jeszcze bardziej szczegółowe normy, obowiązujące w poszczególnych sferach ludzkiej egzystencji i aktywności. Celem i skutkiem wszystkich tych cnót, rozumianych jako sprawności, jest sprawne działanie w godziwym celu. Przy tym rozumie się samo przez się, że cele godziwe nigdy nie mogą być osiągnięte środkami niegodziwymi. Niegodziwe środki czynią ostatecznie także cel niegodziwym i kończą się moralną klęską człowieka. A więc powinno się realizować tylko takie cele i rozwiązania, które nie narażają na szwank dobra powszechnego, co więcej, prowadzą do jego wzrostu, co się z kolei korzystnie odbija w końcu także na dobru osobistym jednostki działającej. Aby takie właśnie działania podejmować, trzeba się znać na sferze etyki i aksjologii, czyli posiadać dostatecznie wysoki poziom wiedzy i kultury moralnej. Trzeba też być na tyle dojrzałym, by mieć „dobrą wolę”, to jest chęć i moc postępowania zgodnego z odwiecznymi cnotami: roztropnością, sprawiedliwością, męstwem i umiarkowaniem, w których się kryje przeogromne bogactwo możliwości i potencjalnych osiągnięć.

Niewątpliwie postawa filozoficzna i moralna J. Conrada wyrastała z dawnej rycerskiej tradycji chrześcijańskiej Europy.

Józef Conrad nie znosił fałszu ani w życiu, ani w stosunkach moralnych i politycznych, ani w literaturze i sztuce. Uważał operę za „szczyt nienaturalności”, teatr nie uchodził w jego oczach nawet za rodzaj sztuki. Pisał: „*Aktorzy wydają mi się bandą pomyłonych szaleńców, udających, że są zdrowi... Są fałszywi i źli... Jest jakaś zmaza zepsucia w ich pustych głosach, mrugających oczach, w sztucznym oświetleniu, w sztucznych namiętnościach... [...] Film to po prostu robienie głupich kawałów dla głupich ludzi*”...

Józef Korzeniowski nigdy nie wstydził się i nie zerkał polskości, także wówczas, gdy został najslynniejszym pisarzem brytyjskim. Polskę odwiedził w roku 1890, 1893, 1914, składając wizytę wujowi na dalekich Kresach Wschodnich. Przez długie lata utrzymywał korespondencję z dalszymi krewnymi, z rodzinami Zagórskich i Poradowskich. W okresie 1914–1918 angażował się czynnie w sprawę odbudowy Państwa Pol-

skiego, zwracając się z memoriałami i petycjami do rządów Wielkiej Brytanii, USA, Francji, Włoch. Dużą wagę miała jego propolska a antyrosyjska i antyniemiecka publicystyka z lat 1914–1919, publikowana w najbardziej wpływowych periodykach Anglii i Ameryki. „Cegielka” wmurowana przez Conrada-Korzeniowskiego do fundamentu niepodległości Polski miała niewątpliwie duże znaczenie, porównywalne pod wieloma względami z działalnością Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, Wojciecha Korfanteo. Po prostu jego autorytet moralny jako pisarza i artysty był na Zachodzie bardzo wielki, a opinia publiczna przysłuchiwała się uważnie temu, co mówił autor „*Smugi cienia*”. Mimo patriotyzmu i działania na rzecz sprawy polskiej był Joseph Conrad wielokrotnie atakowany i to w sposób po polsku głupi i podły, na łamach periodyki krajowej jako rzekomy zaprzaniec, rusofil i „zdrajca”, co pisarz odczuwał bardzo boleśnie. Mimo to planował pod koniec życia powrót do ojczyzny i jedynie śmierć uniemożliwiła realizację tego zamierzenia.

Życie osobiste wielkiego mistrza pióra nie układało się ponoć zbyt pomyślnie. W 1896 roku ożenił się z

Angielką Jessie George. Co prawda pozostawiło to małżeństwo po sobie dwóch synów, Borysa (ur. 1899) i Johna (ur. 1906), ale biografowie twierdzą, że współżycie małżeńskie nie należało do harmonijnych, co zresztą nie powinno dziwić. Jessie i Józef wywodzili się z różnych kultur i tradycji, należeli do odmiennych typów psychologicznych. Od 1904 roku żona pisarza była inwalidką przykutą do wózka. A przecież mąż wiernie asystował jej do końca, wydając zresztą duże pieniądze na szereg zabiegów chirurgicznych. Na takim posterunku życiowym – jak na każdym innym, które nam powierza los – też należy trwać do końca.

Józef Conrad-Korzeniowski zmarł w Londynie w 1924 roku. Do pisarzy, którzy znajdowali się pod jego silnym wpływem, zalicza się m.in. Ernesta Hemingwaya, Antoine’a de Saint-Exupéry’ego, Williama Faulknera, Francisca Scotta Fitzgeralda. Jedną z najciekawszych książek o jego twórczości pt. „*Zwischen den Flüssen. Reisen zu Joseph Conrad*” napisał Horst Laube (wyd. Frankfurt am Main, 1983). Jest to jednak tylko jedna z ponad dwustu wydanych dotychczas w szerokim świecie książek o tym wielkim pisarzu i myślicielu.

Dr Jan CIECHANOWICZ



Grób Józefa Korzeniowskiego i jego żony na cmentarzu w Canterbury

Jadwiga Lewittoux-Szymańska

DZIEWCZĘCE LATA

Wstęp do wspomnień J. Lewittoux-Szymańskiej

Proponujemy dziś Czytelnikowi wspomnienia Jadwigi Lewittoux-Szymańskiej, która swoje lata dzieciństwa przed I wojną światową spędziła na polskiej pensji pani Wacławy Peretiatkowicz w Kijowie. Opowiadanie oddaje koloryt ówczesnego miasta i opisuje

losy polskiego środowiska ze spojrzenia dziecka z polskiej rodziny ziemiańskiej, zamieszkałej w okolicy Pyriatyna koło Łubien. Utwór został wyróżniony w konkursie Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej z 1962 r.

Janusz FUKSA

Jeszcze teraz czasem łapię się na tym, że nowy rok zaczyna się u mnie nie pierwszego stycznia, jak u wszystkich, ale pierwszego września. Jest to chyba refleks z dawnych dziecinnych lat, kiedy w tym czasie rozpoczynał się rok szkolny i faktycznie zachodziły największe zmiany w młodzieńczym życiu.

Prawie wszystkie szkoły w Kijowie otwierały się już w sierpniu, ale nasza pensja pani Wacławy Peretiatkowicz zaczynała rok szkolny dopiero 1 września.

Kijów aż huczał wtedy życiem i gwarem – przeważnie wszyscy wracali ze wsi, z letnisk (tak zwanych „dacz”) albo kurortów. Ci co nie mogli albo nie mieli gdzie wyjechać, spędzali wolne chwile nad Dnieprem lub w cienistych ogrodach na wzgórzach i urwiskach zawieszonych nad rzeką. Albo też jeździli tramwajem do najbliższych podmiejskich miejscowości Swiatoszyna i Puszczy-Wodicy.

Opaleni, przewiani wiatrem, jak gdyby cali napętnieni słońcem, z nową energią i zapałem powracali do swego codziennego życia, do pracy, nauki, do wszystkich spraw zatrzymanych przez czas wakacyjny. Na ulicach było jaskrawo, rojno i gwarno – wszędzie słychać było wybuchy śmiechu i powitania. Chodniki były pełne ludzi, jak gdyby nikt nie chciał siedzieć w domu; każdy musiał nacieszyć się ostatnimi upałami i tą cudowną kijowską jesienią.

Słoty i deszcze przychodziły dopiero w końcu października albo w listopadzie, aby po kilku dniach ustąpić miejsca mrozom i prawdziwej zimie.

A więc na pensję przyjeżdżało się 1 września. Co nam przyniesie ten nowy rok? Ciekawość i radość życia aż rozsadały serce... Nowa klasa, nowe przedmioty, może jeszcze jakieś inne koleżanki, prawdopodobnie jacyś nowi profesorowie i nauczycielki (ale nie – niech ci dawni zostaną, bo są przecież najmiłsi). W jakim

dortuarze będzie się spało i z jakimi koleżankami. Naturalnie mundurek i cała inna garderoba też musiała być nowa, bo wszystko było za ciasne i za małe. I najważniejsze, że sam człowiek wrócił już zupełnie inny, jakiś bardziej dorosły – zupełnie inaczej na wszystko patrzył i przeżywał.

Na pensję przyjechałam pierwszy raz nie mając jeszcze 12 lat. Po krótkich egzaminach wstąpiłam do 3 klasy, aby po 6 latach już jako 17-letnia panna z naszą polską maturą i ze świadectwem dojrzałości otrzymanym po zdaniu egzaminów jako ekstern w 4 męskim gimnazjum – opuścić szkołę i zakończyć pierwszy okres beztroskiej młodości.

Pensja nasza powstała, o ile mi wiadomo, w 1908 roku. Początkowo była klasa wstępna i pierwsza, na drugi rok została już otwarta również i druga, potem systematycznie otwierała się coraz wyższa klasa i coraz więcej uczennic zapełniało szkołę.

Kiedy wstąpiłam do 3 klasy, byłyśmy najstarsze i otwierałyśmy każdą nową klasę, z czego naturalnie czułyśmy się niezmiernie dumne i zarozumiałe.

Moja siostra o parę lat starsza ode mnie, ponieważ nie było odpowiedniej dla niej klasy, mieszkała na pensji, ale lekcje pobierała indywidualnie od naszych profesorów i nauczycielek.

Początkowo pensja nasza mieściła się przy ulicy Nestorowskiej, róg Bibikowskiego Bulwaru, właściwie było to na placu Włodzimierskim, gdzie stał wielki połyskujący złotymi kopułami i pięknie rozdzwoniony Sobór Włodzimierski. Parę razy byłyśmy tam, by zobaczyć obrazy pędzla malarza Wróbla. Obrazy robiły wielkie wrażenie, ale były jakieś niezwykłe. Zresztą sam autor koniec swojego życia spędził w kiryłowskim szpitalu dla umysłowo chorych.



Emilia Dukszyńska-Duksza, „Portret pensjonarki”

Pensja zajmowała parter i pierwsze piętro od frontu. W większej części domu z wejściem od bulwaru mieścił się Instytut Handlowy, gdzie ku naszej rozpaczy nie było wcale studentów Polaków, a przeważnie Ormianie czy też Gruzini z olbrzymimi czarnymi czuprynami i ogromnymi pałającymi oczami.

Zresztą, gdy przy spotkaniu na spacerze coś tam do nas w swoim języku wykrzykiwali, mademoiselle ka-zała nam odwracać od nich głowę i momentalnie pę-dziła swoje stadko w inną stronę.

W całej szkole było wtedy tylko kilkadziesiąt uczen-nic, a nas stałych, mieszkających w internacie tylko 8. Tylko 8, a właściwie dość, aby cały dom napęłnić ha-łasem, śmiechem i figlami. Atmosfera była serdeczna i domowa. Pani przełożona i jej córka panna Janka, młoda wówczas studentka, mieszkały w pokojach tuż przy naszych sypialniach. Oprócz nich były mademoi-selle i Fräulein, które opiekowały się nami na przemian. Ponadto pani prowadząca gospodarstwo – kucharka Ja-nowa, młoda pokojówka i stary woźny Piotr. Ale wtedy nie używało się słowa *woźny*. Mówiło się: *szwajcar* albo *lokaj* – a słowo *woźny* znałam tylko z „*Pana Tadeusza*”, myliło mi się często z Wojskim.

Pan Piotr był niski, łysy, z ogromnymi siwymi wą-sami. Traktował nas jak swoje własne wnuki i ku na-szemu oburzeniu wciąż nas strofował i gderał. A gdy hałas i figle przekraczały już miarę, chwytął się za głowę i wołał: „*Sami nie wiecie co wyprawiacie, «duraki»!*”

Na wymówki przełożonej mruczał niezmiennie: „*Już dobrze, już wiem, proszę pani, nie będę ich więcej tak nazywać, nawet będę ich szanować, jak trochę zma-drzeją, ale póki co to takie głupie «duraki»!*”

Już od pierwszych lat zdawałyśmy sobie sprawę, jak ważną rolę odgrywała nasza polska pensja, jakiego trudnego zadania podjęła się pani Peretiatkowicz, jakie trudności musiała pokonywać, żeby utrzymać tę polską placówkę. A wszystko było naprawdę na poziomie. I pierwszorzędne siły nauczycielskie, i higiena pomiesz-czenia, i życia. My pensjonarki mieszkające w interna-cie płaciłyśmy dość duże sumy, ale były też dziewczynki biedniejsze, do których trzeba było dokładać. Zdaje mi się, że w końcu drugiego roku pobytu mego na pensji przełożona – po długich wahaniach i namysłach – mu-siała udać się po czasową pomoc do społeczeństwa. Ustanowiono odpowiedni komitet, zdaje się z panem Józefatem Andrzejewskim na czele. Nie orientuję się, kto tam jeszcze należał, ale mądrą, poważną twarz tego starszego pana pamiętam jeszcze dziś. My przeżyłyśmy to ogromnie – przełożona była dla nas takim autoryte-

tem i otaczałyśmy ją taką miłością i szacunkiem, że nie mogłyśmy wprost zrozumieć, jak ktoś z zewnątrz może wtrącać się do naszych spraw. Była dla nas naprawdę niebywale dobra i wyrozumiała, pomimo że bardzo sta-nowcza i wymagająca. Ileż razy w czasie niedobrych nocy, kiedy chorowałam i miałam gorączkę, widziałam nad sobą jej pochyloną, stroskaną twarz.

Naturalnie, nie zawsze byłyśmy idealne i nawet teraz czasem ze wstydem wspominam dziecinny ego-izm i bezmyślność. Właśnie do Fräulein miała przyje-chać jej przyjaciółka z Wiednia. Dużo się o tym mówiło. Pani Peretiatkowicz zaproponowała, aby gość zamieszkał u nas na pensji, a myśmy z niecierpliwością i ciekawością oczekiwały jej przyjazdu. I właśnie któ-regoś dnia wpadłam na świetny według mnie pomysł, jednak trzeba było koniecznie zgody i pomocy Fräu-lein i mojej siostry. Obie zgodziły się momentalnie ze śmiechem. Ubrałam się w jakiś piękny kostium naszej Fräulein Grety, w jakiś wspaniały, przemodny kapelusz, uczesałam się odpowiednio, umalowałam, jaseczkiem uzupełniłam szczupłość mojej figury i już byłam tą oczekiwaną panią z Wiednia. Co to będzie za radość – przełożona jak się dowie, pośle zaraz pokojówkę po te świetne ciastka do François, za którymi wszystkie prze-padałyśmy. Może czymś jeszcze uświetni przybycie go-ścia z zagranicy! A małe chyba oszaleją ze śmiechu!

Cichutko w przebraniu wyszłam na ulicę i zaraz za-dzwoniłam do drzwi wejściowych. Gdy Piotr otworzył, poprosiłam go łamaną polszczyzną, aby mnie zapro-wadził do Fräulein. Wszystko poszło jak z płatka i wed-lug planu. I bieganie, i zagłądanie dzieci przez uchylone drzwi, i zadowolenie przełożonej, że nareszcie Fräulein ma oczekiwanego gościa, i cała fura świetnych ciastek. Przy kolacji siedziałam między przełożoną a Fräulein, bez żadnej tremy grałam rolę dorosłej wiedenki, co chwilę tylko przytakując przełożonej: „*Jawohl! Jawohl! Gnädige Frau!*”. Tylko nie mogłam patrzeć na moją siostrę, bo bym na pewno parsknęła śmiechem.

Gdy było już prawie po kolacji i z apetytem zaja-dałam nie wiem które z kolei ciastko, do pokoju wbiegła panna Janka Peretiatkowicz. I gdy przełożona zaczęła mnie jej przedstawiać, panna Janka krzyknęła nagle: „*Mamusiu! Ale to przecież Isia*”. Zrobiła się chwila głębokiej ciszy. Przełożona poczerwieniała (za-wsze kiedy była zdenerwowana, dostawała mocnych wypieków). Potem jednakże uśmiechnęła się, powie-działa parę zdawkowych słów i poszła do siebie. I wtedy dopiero koleżanki rzuciły się na mnie, oglądały, całowały, śmiały się i żartowały, ale ja już nie mogłam się

śmiać. Stałam zawstydzona, upokorzona taktem przełożonej, aż wreszcie wybuchłam płaczem. Gdy po godzinie wracałam z pokoju przełożonej, byłam jeszcze bardziej zawstydzona, bo żadnych wymówek, nic – tylko te kilka słów: „*Widzisz, moje dziecko, wykorzystałaś mój krótki wzrok i to, że znasz teraz niemiecki lepiej ode mnie. No i widzę, że możesz być w życiu wspaniałą aktorką*”.

Po paru latach pobytu na Nestorowskiej pensja nasza przeniosła się na ulicę Włodzimierską 47, do pięknego domu, gdzie zajmowała 4 mieszkania. Lokal był naprawdę ładny i wygodny: specjalnie poprzera-biane duże sale wykładowe i rekreacyjne, gabinet przyrodniczy i fizyczny, wszędzie jasno i higienicznie. Internat na pierwszym piętrze mieścił już kilkadziesiąt panienek. Nastąpił prawdziwy rozkwit i prosperity.

Przełożona zajmowała teraz mieszkanie łączące się z pensją, ale dzieliły nas bardzo długie korytarze. Jadła też oddzielnie, co trochę ją od nas fizycznie oddaliło, ale zawsze czułyśmy jej obecność i wpływ. Zresztą znajdowałam zawsze chwilkę czasu, żeby jak dawniej pobyc trochę z nią i porozmawiać szczerze. Ojciec mój robił nawet kiedyś przełożonej wyrzuty, że zabrała pół mego serca, że nigdy nie płacząc wyjeżdżając z domu i że mam właściwie dwa domy.

Przełożona miała teraz taki nawał pracy, tyle różnorodnych zagadnień i powiązań, że poprosiła bratanicę swego męża, pannę Wandę Peretiatkowiczównę, aby przyjechała ze wsi i była jej zastępczynią. Z początku bałyśmy się tej wysokiej, eleganckiej, trochę sztywnej i srogiej panny, ale wkrótce swoim dziecinnym instynktem wyczułyśmy, że ten chłód to tylko pozór, kryjący wrażliwą i serdeczną naturę. Była szalenie dokładna i obowiązkowa i prawie we wszystkich sprawach miała *plein pouvoir* (pełną władzę – *przyp. red.*) swojej stryjenki.

W ostatnich latach przed wojną pensja nasza nabrała siły i rozmachu. Zgłaszało się tyle dziewczynek, że nie było miejsca w klasach, internat też był przepelniony. Naturalnie były w Kijowie krytyczne głosy potępiające nowoczesność i postępowość naszej szkoły, ale do nas to nie docierało. Miałyśmy najwyższy poziom naukowy ze wszystkich szkół, bo oprócz zwykłego programu żeńskich szkół, po 7 klasach zdawałyśmy zawsze ze świetnym rezultatem jako eksternistki żeńską maturę w Gimnazjum Luterzańskim na ulicy Luterńskiej, poza tym w rok później po skończeniu 8-mej klasy – egzamin eksternów w męskiej szkole. Przy tym były obowiązkowe 3 języki: niemiecki, francuski i angielski,

a ponadto geografia porównawcza, psychologia i kosmografia. Wszystkie wykłady były po rosyjsku, tylko literatura polska i historia Polski – po polsku, według programu Kursów Baranieckiego w Krakowie. Nie tylko uczyłyśmy się, ale umiałyśmy gruntownie to, czego nas nauczono.

W szkole były same Polki, ale pamiętam drobny incydent, z którym przełożona miała dużo kłopotu. Pod nami, na wysokim parterze (to się nazywało *belle étage*) mieszkali państwo Brykin – on był dyrektorem Opery Kijowskiej. Otóż idąc na spacer, albo wracając, cała nasza wataha musiała przechodzić koło drzwi tych państwa. Naturalnie, pomimo najszczerzych chęci zachowania ciszy śmiałyśmy się i rozmawiały z sobą. I wtedy cichutko otwierały się drzwi ich mieszkania i na schody wybiegała mała, może 10-letnia chudziutka, mizerna dziewczynka. Patrzyła na nas, jak urzeczona, ale w tej chwili ktoś wypadał z mieszkania i zabierał ją ze sobą. Bardzo się opierała i płakała. Wreszcie pewnego dnia do przełożonej przyszli oboje państwo Brykin z prośbą, aby mała mogła chodzić do naszej szkoły. Mówili, że córeczka ich jest chora, że to ich jedyne dziecko, że nie chce chodzić do żadnej innej szkoły, że jest tak zafascynowana nami, że wprost nie mają innego wyjścia. Dziecko jest chore, nerwowe i bardzo przeżyje odmowę.

Przełożona była w bardzo trudnym położeniu – nie miała przecież prawa przyjmować Rosjanek, z drugiej strony nie chciała odmówić rodzicom. Ułożono więc tak, że małej się uszyje taki mundurek jak nasz, będzie przychodziła na wszystkie rekreacje i na drugie śniadania do nas, czasem nawet może posiedzieć w klasie jako niemy świadek, ale w razie przyjsia kuratora lub kogoś z okręgu – musi momentalnie znaleźć się w swoim domu. Naturalnie musiał o tym wiedzieć szwajcar domowy – wspaniała w swojej liberii, okazały pan siedzący przy drzwiach wejściowych. Ale to już była sprawa państwa Brykin. W każdym razie mała chodziła jakiś czas, biegała i śmiała się, nawet trochę zaczęła mówić po polsku.

Młode oczy są strasznie spostrzegawcze i bystre, nic się przed nimi nie ukryje, żaden rumieniec nauczycielki przy wejściu profesora albo wpadanie do klasy, niby omyłkowo, kiedy wykladał nam piękny profesor Dukielski, albo gdzieś na oknie zostawiona niby niechcący książka, kiedy profesor Klinger miał godzinę łaciny, albo jak się uśmiechał i przyglądał czuprynę profesora Gudij, gdy wchodziła do klasy panna Wanda Peretiatkowiczówna. Wszystko widziałyśmy i wszystko wie-

działaliśmy. Ale było to dyskretne, raczej sentymentalne, przyćmione jak dymek z papierosa... Zauważyliśmy również, że do panny Janki Peretiatkowicz często przychodzą studenci i studentki, ale nie ci wymuskani i wystrojeni, których zwykliśmy widzieć w „Ogniwie” albo u nas na wieczorkach. Widać, że mieli jakieś inne sprawy, często zasepieni albo rozgorączkowani – nie zwracali na nas najmniejszej uwagi. Dużo było tam też młodziutkich kobiet, niektóre były u nas nauczycielkami w młodszych klasach. Wkrótce wiedzieliśmy dokładnie, że to są socjaliści, że to jest konspiracja. A właściwie każda z nas, nawet te maluchy wiedziały, że trzeba umieć milczeć i być ostrożną.

Cała szkoła była w pewnej mierze w konspiracji. Podręczniki do historii Polski i literatury były nie te, które zatwierdziło Kuratorium, zakres wykładów był też całkowicie inny. Niektóre z nauczycielek i niektórzy profesorowie byli nie zatwierdzeni przez władze szkolne. Wykładano nam patriotycznie, gorąco, z zapalem – wchłaniałyśmy w siebie tę polskość i te nowe prądy. Raczej wszystko było zapisywane na kartkach papieru, aby było łatwo je schować lub zniszczyć. Zawsze ktoś przy drzwiach kancelarii czuwał i w razie przybycia kogoś z Kuratorium następowała momentalnie dyskretna sygnalizacja – organizacja była wprost wspaniała. Za chwilę do klasy wchodziła inna nauczycielka albo profesor i nasze kartki chowałyśmy do pulpitu, a nielegalny prelegent lub prelegentka znikali gdzieś w jakimś pokoju i siedzieli przy filiżance herbaty, jak gdyby nigdy nic. Dawało to nam pewien dreszczyk emocji i nawet bardzo lubiłyśmy, gdy przychodził kurator. Bardzo często wywoływano wtedy mnie, bo się nic nie peszyłam i przeważnie znałam przedmiot. Wszystkie uważałyśmy taki stan rzeczy za normalny i jeszcze pilniej uczyłyśmy się zakazanych przedmiotów.

Ale ostatnie lata przed wojną były coraz gorsze, coraz więcej było aresztowań i prześladowań. Ciężka atmosfera aż przytłaczała. I właśnie wtedy któregoś dnia jedna z moich koleżanek – zawsze cicha, spokojna, więcej kująca niż zdolna – zaczęła się oburzać na te wszystkie „mystyfikacje”.

– *Wy sobie skończycie szkołę albo nie skończycie, możecie nie dostać matury. Za mąż i tak wyjdziecie. Ale ja muszę mieć maturę, ja muszę pracować. Nie można tak narażać szkoły. To musi się skończyć. Mój ojciec przyjdzie wkrótce do przełożonej.*

Formalnie zamarłyśmy, nie wiedziałyśmy co powiedzieć, aż nareszcie jedna z nas odparowała:

– *To dlaczego nie jesteś w rosyjskim rządowym gimnazjum? Byłabyś tam bezpieczna!*

Uprzedziłyśmy przełożoną, ale ojciec rzeczywiście przyszedł. Była bardzo burzliwa i gwałtowna rozmowa. Właściwie krzyczał ten pan:

– *Ja mogę to w «tri miga» skończyć – to zupełnie «nie-błagonadiożno».*

Słów przełożonej nie słyszałyśmy, wyszła z gabinetu z mocnymi wypiekami, aż ręce przykładła do twarzy.

– *Nic* – powiedziała nam cicho – *nie bójcie się, na razie załatwiłam, może będzie milczał.*

Problemy, problemy, coraz więcej problemów i trudności, przecież trzeba wychować dziewczynki na prawdziwe Polki, a niebezpieczeństw coraz więcej, coraz się zagęszczają. Coraz więcej słychać o rewizjach i aresztowaniach. A tu w samym domu odbywają się tajne zebrania i narady. Córka przełożonej i jej koledzy są zapaleni i już w Kuratorium zwraca się uwagę, że na pensji wykładają najbardziej postępowi i liberalni ludzie, nie ma ani jednego z *blagonadiożnych*, spokojnych profesorów.

Ale właśnie to jest duch naszej pensji – przecież ci wszyscy Rosjanie, co nam wykładają, muszą być wtajemniczeni we wszystkie sekrety: i w tajną sygnalizację, i w nielegalne wykłady, i w teatralną zamianę profesorów w razie niebezpieczeństwa. Co prawda pamiętam jednego profesora, którzy absolutnie nie był zorientowany w naszej patriotycznej polskości. Był to mgr Ris-sarden Risset. Myśmy go nazywały zwyczajnie: Rysak Wysoki, imponujący, ze szpakowatą brodą i zimnym spojrzeniem. Zdaje się, że w jakiś sposób imponowała mu carska Rosja i nas Polaków nie zauważał w tym ogromie. Otwierałyśmy szeroko oczy słuchając jego wywodów i myślałyśmy w duchu: *„Jak mógł się taki uchować w tej demokratycznej, przyjaznej nam Francji?”*

Woźni też musieli być w pewnym sensie wtajemniczeni. Po burkliwym Piotrze, który nie nadawał się już ze swoim leksykonem i starością do nowego gmachu i cięższej pracy, następowali inni na dłuższy lub krótszy okres czasu. Oni też mieli swoją rolę w naszym pensjonarskim życiu. Mogli wcześniej zadzwonić na znak końca lekcji, niekoniecznie zanieść od razu do kancelarii list doręczony dla którejś z nas, pobiec w sekrecie po ciastka do François albo po pomarańcze.

Pamiętam jednego z nich, niewielkiego, łysiego, o bardzo chytrej twarzy; nie wiem dlaczego nazywałyśmy go „Gelespont Termopiłowicz”. Mawiał zawsze o sobie: *„Ja nie takoj durak, kak wygladaju”*. Otóż pewnego dnia przyszedł do przełożonej w środku miesiąca z prośbą o

natychmiastowe zwolnienie, gdyż musi nagle wyjechać na wieś do ciężko chorej matki – na zastępstwo ma już bardzo zacnego i pracowitego człowieka. Na schodach już czekał ten drugi: wysoki, blady, o nalanej twarzy. Rzeczywiście był bardzo grzeczny i usłużny, zdawało się, że zgaduje myśli. Ale już po paru dniach zaczął nam się wydawać jakiś podejrzany. Zachodził do klas, w których przygotowywałyśmy po południu lekcje, udawał, że sprząta w pulpitach, przez ten czas zerkał na nasze książki, podsłuchiwał rozmowy, a kiedyś wręcz zapytał: „Czy te zakazane książki są naprawdę tak bardzo ciekawe, chciałbym je zobaczyć!”. Udałyśmy, że jesteśmy zaskoczone, oburzone, a właściwie byłyśmy bardzo przestraszone.

Kiedyś mademoiselle nam powiedziała: „Bądźcie ostrożne – on wszędzie jest i wszystko widzi. A czy zauważyliście jego ręce?”. Ręce miał rzeczywiście wypielęgnowane, białe, typowe ręce inteligenta, a nie pracownika fizycznego. Chodził miękko i cicho, jak kot. Kiedyś któraś z koleżanek narobiła krzyku, bo wychodząc wieczorem z dortuaru wpadła na niego podsłuchującego pod drzwiami. Zaczęłyśmy się go panicznie bać – wprost jakaś pensjonarska psychoza!

I właśnie wtedy przełożona powiedziała nam, że lada dzień może ją spotkać coś najboleśniejszego: aresztowanie jedynej córki. „Stała się mianowicie rzecz niska i brzydka, i pewnie pociągnie za sobą okropne aresztowania i konsekwencje. Jeden ze studentów udający, że sympatyzuje z nami podał wszystkie dane do ochrony. A więc może i nas... Ale żeby nie tracić głowy, nie bać się – przecież Polki były zawsze dzielne. Zresztą w internacie może wcale nie będzie rewizji. Trzeba tylko zebrać wszystkie nielegalne książki, notatki, wiersze, odezwy, orzelki i oddać pani Wandzie. To musi być zrobione już koniecznie dziś, ale cicho, dyskretnie, bez grobowych min, żeby nie zwrócić uwagi tego szpiega. A więc śmiejcie się, żartujcie i śpiewajcie. Niech Isia opowiada swoje komiczne historie, a Wanda Wermińska może zaśpiewać swoją „Łastoczkę”.

Trudno było mówić i śmiać się, kiedy nogi nam się trzęsły ze strachu, ale po chwili już coś trzepałam i kogoś imitowałam, i już na wszystkie pokoje rozległo się niezmiennie „Poj, łastoczka, poj, sierdce uspokoj”. A potem drugi jej przebój: „Dietoczki dołżny byt’ pająki i lożył’sia rano spat”...



Kijów. Plac Europejski. Widokówka z przełomu XIX i XX w.

Ale połów książek był wprost niezwykły. Te najcichsze maluchy, najgłupsze i najpotulniejsze zaczęły wydobywać ze swoich szafek i walizek istne skarby literatury zakazanej. Oprócz różnych pamiątek i wydawnictw z Krakowa, srogo zakazanych w Rosji, wyłowiliśmy 3 egzemplarze „*Królobójców*”. Pomimo udawanego spokoju nastrój był podminowany i przytłaczający.

Następnego dnia wieczorem siedziałam z Zosią Horodecką w klasie tuż przy kancelarii. Była chyba 10-ta wieczór. Inne pensjonarki poszły już do internatu z mademoiselle, myśmy zostały na górze, żeby jeszcze napisać jakieś wypracowanie. Ale prędko skończyłyśmy, zgasiliśmy światło i siadłyśmy na oknie, żeby patrzeć na ulicę. I wtedy usłyszałyśmy, jak nasz woźny wszedł do kancelarii, był pewny, że nikogo nie ma na górze. Podszedł do telefonu, powiedział telefonistce numer, nie dosłyszała pewnie, bo powtórzył go parę razy, a potem zaczął mówić: „*Tutaj zupełny spokój, dziewczynki poszły spać, o tej godzinie zawsze są już na dole. Jej jeszcze nie ma, a matka siedzi u siebie i czeka*”. Potem położył słuchawkę i cicho jak kot poszedł do siebie. A nam z emocji i strachu aż zaschło w gardle. Wciąż powtarzałyśmy numer telefonu, żeby nie zapomnieć, żeby się dowiedzieć dokąd dzwonił. Potem cichutko weszłyśmy do kancelarii, wzięłyśmy książkę telefoniczną z kolejnymi numerami i z zapartym oddechem przeczytałyśmy: „Ochrań”.

Poczułam wtedy taką samą niemoc w nogach, jak kiedyś podczas bytności cesarza Mikołaja w Kijowie, gdyśmy któregoś dnia maszerowały w swoich pensyjnych szeregach po Bibikowskim Bulwarze i jakiś staruszek z długą siwą brodą podszedł do nas, cały czas towarzyszył nam milcząc. Szedł bardzo blisko nas, pewno przysłuchiwał się naszym rozmowom. Nagle zawiął silny wiatr, staruszek zakaszlał i piękna siwa broda odpadła z jednej strony – pewnie się odkleiła. Z przerażenia oślepiałam i jakąś chwilę nie mogłam zrobić kroku.

Po tym rewelacyjnym telefonie dnie wlekły się nam niesamowicie, a noce wydawały się nieskończenie długie i straszne.

Aż kiedyś posłyszałyśmy długi dzwonek u portiera na dole, a potem głośny tupot nóg. Serce waliło i dawało w gardle ze strachu. Ale nie! Do nas nie weszli! Przeszli przez główne wejście na dole i poszli dalej do mieszkania przełożonej. Któraś z odważniejszych wyjrzała zza story na ulicę – cały dom był otoczony. Potem nastąpiła długa, ponura cisza. Dygotałyśmy ze strachu,

co tam się dzieje, dlaczego tak długo nie wracają?... I potem znowu głośny tupot wielu nóg... Przeszli koło nas, nie wchodząc do internatu.

Nazajutrz rano dowiedziałyśmy się, że robili u przełożonej bardzo szczegółową rewizję. Zabrali ze sobą pannę Jankę. Oprócz tego w mieście było moc rewizji i aresztowań. Pierwszy raz w życiu odczułyśmy ciężką rękę przemocy.

Rano o 8-ej nikt nie zadzwonił na znak rozpoczęcia lekcji. Nasz domniemany służący znikł tej nocy bez śladu...

Z nauczycieli pamiętam najlepiej świetne polonistki panią Marię Matkowską i panią Marię Pereświat-Sołtan, prof. Klingera i Maślowa z łaciny, prof. Dubielskiego z fizyki i chemii, prof. Gudija z literatury rosyjskiej – on właśnie swoimi natchnionymi wprost wykładami nauczył nas rozumieć i kochać Tołstoja. Dla mnie dotychczas „*Wojna i pokój*” jest jednym z największych arcydzieł. Pamiętam maleńkiego i młodziutkiego prof. Bagrija, również z rosyjskiego. Na wykładach był daleko więcej stremowany od nas i nie umiał tego ukryć. Nazywał nas zawsze „dziećmi słońca” i ze smutkiem mówił, że duża część uczącej się młodzieży w Kijowie nie ma takiego beztroskiego i pogodnego dzieciństwa, że mają ciężkie przebijanie się przez życie, różne urazy i zahamowania. Przypominam sobie młodego uroczego profesora z psychologii (nazwiska nie pamiętam), prof. Smiznowa – historyka, który był rudy i nieśmiały. Pamiętam Fräulein Linde o oczach starego bazyliuszka – postrach całej szkoły, wymagającą i wiecznie nas strofującą, która specjalnie była zawzięta na Maniusię Przeździecką i dwie śliczne siostry Bukowińskie. Zresztą były to bardzo miłe dziewczynki i figle ich naprawdę nie wydawały się nikomu oprócz panny Linde groźne. Pamiętam panią Graftne od francuskiego – z czerwoną twarzą i małym kukielkiem siwych włosów na czubku głowy, podobną do zwiędłej rzodkiewki. Była w niższych klasach, potem zastąpił ją prof. Rissard – zimny i niewyrozumiały.

W pierwszym roku jedynym mężczyzną, oprócz księdza, który nas uczył, był prof. Wacław Knotthe – wykladał przyrodę – był delikatny, grzeczny i traktował nas jak dorosłe panny. Naturalnie połowa klasy kochała się w nim, bo druga połowa była zakochana w młodym, przystojnym księdzu Kalinowskim, który niestety nie wykladał u nas. W księżach Żmigrodzkim i Blechmanie (nazywałyśmy go „Brechman”) nikt się nie kochał, ale bardzo ich lubiłyśmy i szanowały. Gimnastykę prowadził małomówny i czerwony, z czarnym

sterczącym jeżem na głowie pan Radomski. Był on chyba jakąś ważną osobą w „Sokole”. Do gimnastyki miałyśmy specjalne granatowe sukienki z malinowymi pasami na dole i występowałyśmy w nich na popisach „Sokoła”.

Pamiętam jeszcze profesorów Ogniowa, Nosowa i Inosowa – wszyscy oni mieli jakieś podpatrzone przez nas śmieszności i jakieś mniej lub bardziej udane przezwiska. Pani Helena Gratt – niestety, nie nauczała w mojej klasie – była bardzo zdolną malarką, świetnym pedagogiem, wielką estetką i humanistką, w ogóle uroczym i ciekawym człowiekiem. Angielskiego uczyły dwie siostry Ellen i Margareth Thomas – wesołe i życzliwe. Wreszcie – młody obiecujący prof. Eugeniusz Popoff, ale też mi już nie wykładał.

Na lekcje tańca przychodził sam mistrz pan Leniczewski – Polak, ale bardzo już zrusyfikowany, zresztą tak sądziłyśmy z jego wymowy. Starszy pan, średniego wzrostu, włosy aż sino-czarne, zaczesane, ale twarz zupełnie koloru pergaminu i ciężkie powieki nad oczami. Zawsze w nieskazitelnym fraku, białej kamizelce i białej muszce. Nigdy się prawie nie uśmiechał. Traktował swoje lekcje jak najważniejszy przedmiot. Wciąż rozbrzmiewało: „*Na kabłuk, na nosok, raz dwa trzy, teraz mała ostanóweczka*” i znowu: „*Na kabłuk, na nosok, raz dwa trzy...*” Chyba był pewny, że mówi świetnie po polsku. Mawiał do nas niezmiennie: „*Tancy – to ważna rzecz dla mademoiselles. Matematyką i kosmografią nie błysniesz w salonie, a zatancujesz z gracją i kariera zrobiona*.” Jakże śmiałyśmy się zawsze z archaicznych pojęć naszego mistrza i jak prowokowałyśmy jego powiedzenia.

Przez całe 6 lat pobytu mego w internacie zmieniały się tylko 2 Francuzki. Najpierw była panna Olga Piaszkowska – przybyła z Paryża córka emigranta polskiego, zgrabna, ładna, inteligentna, żyła nadzwyczajnie z naszą nieliczną gromadką. Uczyła nas nie tylko pięknej wymowy, ale rozwijała umysłowo i wpływała na kształtowanie charakteru. Kochałyśmy ją bardzo. Było dla mnie wielkim przeżyciem, kiedy po trzech chyba latach dowiedziałam się, że nas opuszcza. I nigdy potem nie wyjaśniło się dlaczego odeszła, została przecież w Kijowie, udzielała prywatnych lekcji, ale u nas już nie była. Jej następczyni panna Gabi Person – energiczna, wesoła, wiecznie śpiewająca, opiekowała się nami już do samego końca. Ale zaistniały już inne warunki, było nas więcej, musiał być większy rygor i nastrój mniej rodzinny. Zresztą nami też coraz trudniej było dyrygować: panny dorastały, na każdym kroku

adoratorzy i „wzdychacze” otaczający pensję, kwiaty przysyłane anonimowo, wiersze układane przez tę i tamtą stronę, nagle rumieńce i błyski oczu dziewczynek przy niektórych spotkaniach i ta atmosfera budzącej się kobiecości. Przecież tego nie można powstrzymać ani zahamować – trzeba tylko mądrze i umiejętnie kierować i prowadzić. Mademoiselle Gabi miała swoje specjalne zasady dobrego wychowania, które nam chciała koniecznie wpoić. A więc między innymi: „*Żadna dobrze wychowana panienka nie może zatrzymać się przy najmniejszym nawet zbiegowisku na ulicy, bo mogłaby usłyszeć i zobaczyć rzeczy tak nieodpowiednie dla niewinnych oczu i uszu, że od razu przybędzie jej 10 lat! Musi odwrócić głowę i momentalnie przejść na drugą stronę ulicy. Nie może też nigdy stanąć przy witrynie z kwiatami, albo cukierkami, bo może się narazić, że jakiś mężczyzna stojący obok proponuje jej przyjęcie od niego w prezencie cukierków lub kwiatów*”. „*A jeżeli zatrzymamy się przy perfumach albo rękawiczkach?*” – pytałyśmy z przekorą. „*A non, a non – wołała mademoiselle – tego by się nikt nie ośmielił!*”

Ale najgorszą, najbardziej perwersyjną rzeczą dla mademoiselle była przejażdżka z młodym człowiekiem rysakiem. Oprócz zwykłych dorożkarzy, skromnych i potulnych, byli też w Kijowie wspaniali, wielcy, z ogromnymi brodami izwozczyki (*jamszczyki*) prowadzący parę koni albo jeszcze lepiej rysaka. Siedzieli nieruchomo na koźle w swoich olbrzymich futrzanych czapach, ubrani w ciemnogramatowe, watowane i marszczone w pasie *poddiewki*, niczym jakieś wschodnie, ponure bóstwa.

Kiedyś w zimowy wieczór wracałyśmy z Irką Z. od jej ciotki. Miała nas, jak zwykle, odprowadzić, ale silny ból głowy uniemożliwił jej to. Wzięła więc od nas słowo, że nie będziemy szły piechotą, a pojedziemy dorożką. I nagle zobaczyłyśmy, że o parę kroków od nas stanęły saneczki z *rysakiem*. Jakaś para wysiadła z nich. *Rysak* był cały pokryty białą siatką-baranicą podbitą białym futrem, a dzwoneczki grały melodyjnie i zachęcająco na parę tonów. Spojrzałyśmy na siebie i już stałyśmy przy sankach. Przezornie zapytałyśmy, ile będzie kosztował kurs na Włodzimierską. Izwozczyk burkliwie wymienił jakąś wielką sumę.

– *Ale, ale gotąbeczki* – zwrócił się do nas, kiedy pełne emocji gramoliłyśmy się do sanek – *proszę mi w tej chwili zapłacić, inaczej nie jadę!*

Bardzo zażenowane i urażone w swojej dorosłości wysupłałyśmy z portmonetek żadaną sumę. Dorożkarz wstał i donośnie krzyknął: „*Eeeep!*” i pomknęliśmy.

Koń nie biegł a raczej płynął, jakby nie podnosił nóg, ale w tak szalonym tempie, że pomimo iż siedziałymy za ogromną postacią stojącego furmana, gwizdało nam w uszach i mroźne powietrze zatykało oddech. Trzymałyśmy się kurczowo jedna drugiej, ale na zakrętach omal parę razy nie wyleciałyśmy. Co jakiś czas olbrzym odwracał się do nas z rubasznym śmiechem. „*No co? Jeszcze was nie pogubiłem?*”

Właściwie, pomimo cudnej jazdy i melodyjnych dzwoneczków, byłam szczęśliwa, kiedy już stanęłyśmy przed pensją. Tylko że wysiadając w pośpiechu zgubiłam kalosz. Wiele było najpierw strachu, a potem śmiechu i żartów, kiedy na drugi dzień brodaty olbrzym ze śmiechem oddał portierowi zgubiony kalosz. Naturalnie trzeba było opowiedzieć dokładnie całą prawdę.

Ale do najbardziej charakterystycznych postaci ówczesnego Kijowa należeli Tatarzy handlujący starzyzną. Nazywano ich po prostu „*stare weszczy*”. Byli wśród nich młodzi i starzy, ale wszyscy ubrani w czarny surdut (a raczej chałat) sięgający kolan i w czarną obcisłą myckę na głowie. Opaleni na brąz, ze skośnymi wesołymi oczkami, pokazujący w uśmiechu zdrowe, białe zęby, krzyczeli na cały głos po ulicach i podwórkach: „*Weszczy, weszczy, staryje weszczy pokupaju*”. A my dzieci, wychylając się z okien, skandowaliśmy: „*Staryje*

weszczy pokupaju, nowyje kradu, za granicu ujeżdżaju, tam ich prodaju!”. Nie złościli się, tylko śmiejąc się wygrażali nam pięścią.

Pewnego razu byłam z moimi braćmi u naszej ciotki z wizytą, kiedy posłyszeliśmy w podwórzu donośny głos Tatara. Było ich właściwie dwóch czy trzech. Mój brat Bemka (przyszły chirurg) wywołał mnie na balkon, a potem gwałtownie wskoczył do pokoju, zamykając za sobą drzwi balkonu na klamkę. Zaraz też wychylił się z sąsiedniego okna i wskazując na mnie wołał:

– *Sprzedaję barysnię. Ile dacie? Sprzedam tanio.*

Tatarzy aż się ślanieli ze śmiechu...

– *Ne хочzu, twój barysnia chudoj kak cyplonok! Ne kuplu!*

Ale brat wykrzykiwał dalej:

– *Dopłacę jeszcze 3 kopiejki, weźcie ją. Zresztą dopłacę jeszcze 10 kopiejek.*

Płacząc ze śmiechu i złości dobijałam się do drzwi, starając się je otworzyć, ale na próżno. Ze wszystkich okien wychylali się żądni sensacji i śmiechu dorośli i dzieci. Wszyscy dorzucali jakieś dowcipy i uwagi. A Tatar wciąż wrzeszczał:

– *Ne kuplu! Barysnia chorosz, no chudoj kak łomaka (patyk)!*



Kijów. Kreszczatik. Widokówka z przełomu XIX i XX w.

Nareszcie ktoś z dorosłych, zwabiony hałasem, wyzwolił mnie z tej opresji. Teraz ile razy myślę o kijowskich „starych wieszczach”, przypomina mi się ta niemądra scenka.

Nasze opiekunki, ku naszemu oburzeniu, nie pozwoliły nam nigdy zawołać na górę „starego wieszczego”, aby przehandlować niepotrzebne już łaszki.

Pamiętam Fräulein Agnes – pulchną blondynkę, która kiedyś wyszła w sobotę wieczorem i powróciła dopiero we wtorek rano – mocno przybladła i pachnąca wódeczką. Naturalnie tegoż dnia spakowała swoje walizki i powiedziaławszy nam ze smętnym uśmiechem, że różne są chwile w życiu kobiety, nawet takie, dla których warto stracić dobre stanowisko – ucałowała nas serdecznie i odjechała. I potem już aż do końca była Fräulein Mary, tak zwana „mała Fräuleincia” – bardzo ładna, miła, dobra, miała chyba 20 lat i ogromnie nas się bała, szczególnie jednej koleżanki ogromnego wzrostu, która po skończeniu pensji w Warszawie była u nas 2 ostatnie lata, aby uzyskać rządową maturę. I właśnie ona formalnie terroryzowała Fräuleincię ku naszej ucieście i zabawie. Mary piszczała tylko jak myszka, ale nie ryzykowała iść na skargę. Kiedyś w czasie rannych spacerów zauważyliśmy jakiegoś przystojnego młodzieńca, który od pewnego czasu eskortował naszą pensję. Poznałyśmy od razu po czapce, że to Rosjanin, bo Polacy studenci i uczniowie nosili małe spłaszczone czapki w rodzaju maciejówki. Żadna z nas go nie знаła, ale każda przypisywała sobie w duchu ten sukces. Jakież było nasze zdumienie i oburzenie, gdy kiedyś przez okno zobaczyliśmy naszą Fräuleincię pod rękę z tym młodzieńcem, który był jej kuzynem.

Kiedyś Fräuleincia miała z nami wielki kłopot: mia-nowicie na naszym spacerze zauważyła, że ludzie oglądają się za nami i bardzo śmieją. Podbiegła do pierwszych par i ze zgrozą zobaczyła, że na lewej nodze mamy założone zegarki (podobno była to najświeższa moda paryska). I te właśnie zegarki wzbudzały takie za-interesowanie przechodniów. Co robić? Zdjęcie ich na ulicy byłoby bardzo kłopotliwe, więc pomimo że byliśmy już daleko od pensji, biedna Fräulein kazała nam pędem, nieomal biegiem wracać do domu, żeby tylko nie spotkać kogo znajomego, żeby nie mieć jakichś nieprzyjemności. Ale już na drugi dzień przyszedł wierszyk ze szkoły Naumenki.

*Zegar na nóżce i piękne buziaki,
Ogródek za pensją, co czarem tchnie...
Wierne do grobu Naumenczaki –
Być Peretiatką, wszak nie jest źle...*

Wierszyki jak motyle rodziły się i latały z jednej strony na drugą. Jeszcze ten się nie znudził, a już się śpiewało:

*Hajda trojka Peretiatek,
Co to w pierwszą parę mknie...
Od tych kratek, od tych kratek
Wieleż wdzięku, czaru tchnie...*

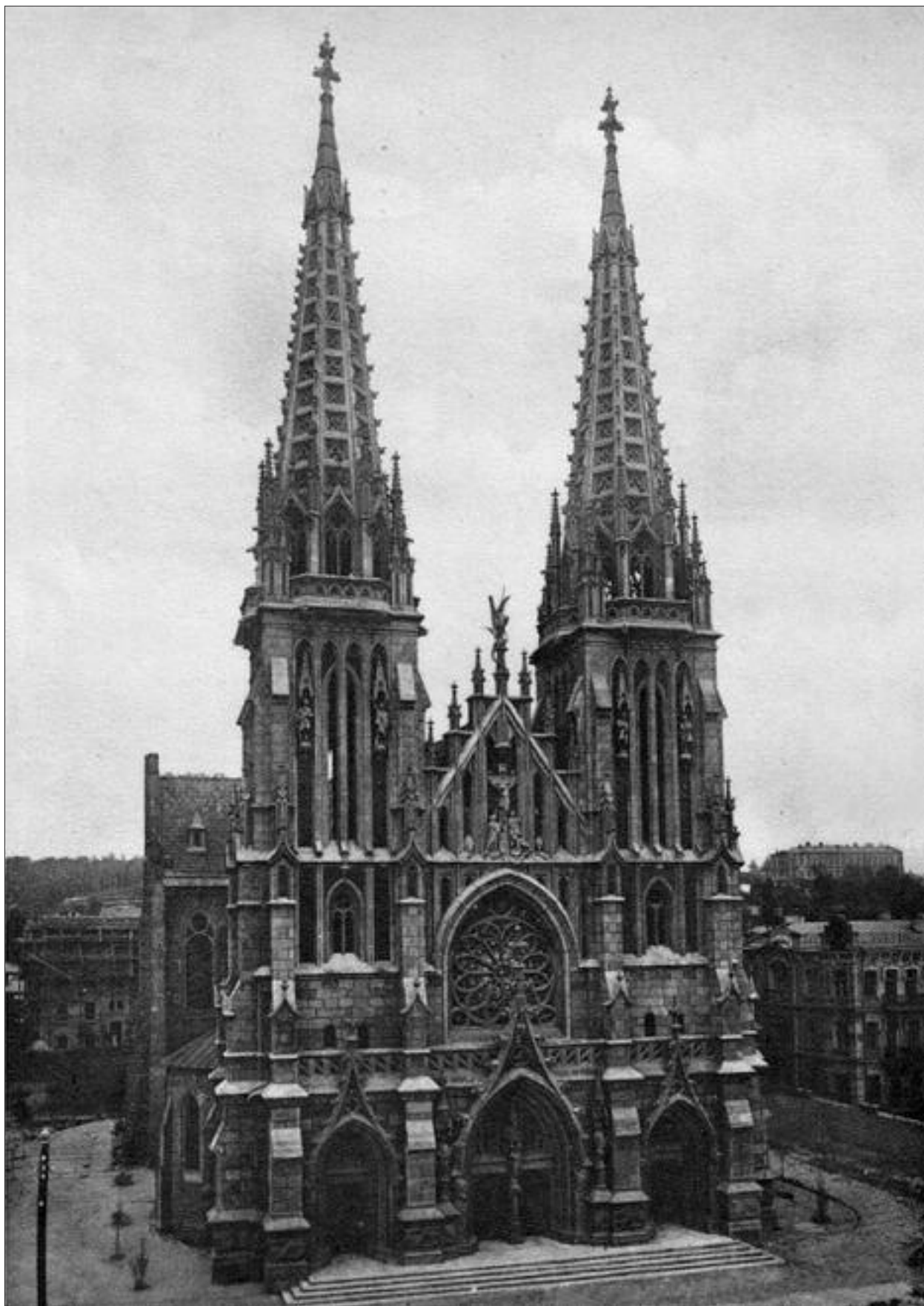
W pierwszych latach pozwalano nam urządzać małe wieczorki, nawet zapraszać znajomych chłopców. Ska-kałyśmy więc do upadłego w swoich kratkowanych mundurkach, bez miary piłyśmy wodę sodową z so-kiem i to nam wystarczało! Ale już w ostatnich dwóch klasach było zupełnie inaczej. Miałyśmy wieczorowe sukienki, przylegające klasy były zamienione na sa-loniki, sala ślicznie przez nas udekorowana, w bufecie dużo smacznych rzeczy, no i najważniejsze – pozwa-lano nam poprosić także i studentów. A tańce prowa-dził wytworny, elegancki, już zupełnie dorosły pan we fraku – Julek Maszyński. Ten frak był jakby przypie-czutowaniem szyku i dorosłości całego balu!

Ale te wszystkie nasze szczenięce figle i od czasu do czasu zabawy nic nie przeszkadzały poważnej nauce, najlepszym stopniom i egzaminom.

Trzeba stwierdzić, że i sama pani Peretiatkowicz, i panna Wanda, i cały personel nauczycielski – nieby-wale mądry i postępowy – wszyscy umieli nam stwo-rzyć świat prawdziwej młodości z jej idealnymi porywami, ambicjami naukowymi i kształceniem cha-rakterów. Świat wesołości bez rozwydrzenia i zepsucia, ale i bez zbytniej pruderii i fałszu. Zdaje mi się, że umieli osiągnąć ten przysłowiowy „złoty środek” i wkładali w naukę i wychowanie nie tylko swoje wia-domości i pracę, ale i rozumiejące młodzież serce. Możliwe, że były i wśród nich jakieś zgrzyty i niepo-rozumienia, jakieś chwile rozczarowań i wahań; moż-liwe, że część polskiego kijowskiego społeczeństwa kry-tykowała i nie rozumiała nowych prądów i metod wychowania, ale do nas to nie dochodziło – czułyśmy pewną rękę i zgodny rytm wprowadzający nas w życie.

Kiedyś, jeszcze w 3-iej klasie, napisałam taki wier-szyk:

*Wszystkie miłe, wszystkie w kratki...
Kto to taki? Peretiatki.
Przełożona aż podраста,
Kiedy patrzy na swe panny,
Bo ta cała jej halastra,
Wszystkie niby kwiatki ranne.*



Kijów. Kościół św. Mikołaja. Widokówka z początku XX w.

I już po paru miesiącach prawie cały Kijów powtarzał pierwsze 2 wiersze.

Rzeczywiście, w odróżnieniu od rządowych szkół noszących brązowe mundurki, nasze były w kratę czerwoną z granatowym, krótkie, zgrabne, z białymi kołnierzykami lub kryzami u szyi. Duże granatowe kapelusiki lub białe panamy w lecie dodawały szyku i elegancji. Na spacerze spotykaliśmy często sunący nam naprzeciw pensjonat Instytutu Błagorodnych Diewic i wtedy z zainteresowaniem i współczuciem patrzyliśmy na „te biedactwa”. Były one ubrane w długie, wiśniowe, szerokie suknie, czarne zwykłe buciki lub kalosze, na watowanych czarnych paltach miały na krzyż związane baszłyki koloru wielbłądziej wełny, a na głowie jakieś staromodne czapeczki. „Te biedactwa” przyglądały się nam również z ciekawością i uwagą, lustrując każdy szczegół naszego stroju. Staraliśmy się iść wtedy wyprostowane, zgrabnie, lekko stawiając nogi w modnych pantofelkach. Jednak musieliśmy przyznać, że „te biedactwa” miały czasami śliczne buzie, których nawet karykaturalny strój nie mógł zeszpecić. I kiedyś (o zgrozo) dowiedzieliśmy się, że jedna z „tych biedactw” odbiła adoratora naszej koleżance.

Uczyliśmy się bardzo dużo, pochłanialiśmy moc książek. Żeromski przeczytany pierwszy raz był wprost rewelacją, odkrywał całkiem nowe światy i poglądy. Czytaliśmy książki, które nam radzono i które odradzano: „Kobiety” i „Książę” Nałkowskiej, „Kult ciała” Srokowskiego – może nie zachwycaly, ale robiły mocne wrażenie.

Do teatru chodziliśmy bardzo często. Najczęściej do „Ogniwa” na polskie przedstawienia i do Opery, rzadziej do teatru dramatycznego Sołowcowa. Same grałyśmy 2 razy dla publiczności. Największy sukces miały sceny złożone z „Lilli Wenedy” i „Balladyny” Słowackiego. Świetną Lillą Wenedą była Wanda Rudzińska – późniejsza Wypychowa. Ja byłam Aliną z „Balladyny”. Poza tym wewnątrz na pensji często urządzano mniejsze przedstawienia, żywe obrazy, odczyty i recytacje. Marzyłam zawsze o jakichś demonicznych rolach, chociażby w żywych obrazach, ale musiałam zawsze być *Wiosną* albo *Polską* lub też jakąś świętą. Raz byłam Joanną d’Arc (pomimo jasnych włosów) i rzeczywiście na stosie czułam się nie bardzo pewnie, gdyż lampki elektryczne przykryte czerwonym papierem, włożone pod ażurowy trzcinowy taborecik, na którym stałam, piekły mnie niemożliwie w stopy, więc tylko wierciłam się na swoim stosie i z bolesną miną przestępowałam z nogi na nogę, oczekując końca dekla-

macji. Jakże świetnie rozumiałam wtedy biedną Joannę d’Arc!

Poza tym robiłyśmy moc wycieczek w okolice Kijowa. Często nawet, korzystając z pięknej wiosennej lub jesiennej pogody, miałyśmy niektóre lekcje w cieniu, zapuszczonym, ale jakże pięknym Ogrodzie Botanicznym.

A wycieczki statkiem po Dnieprze! Zawsze z podziwem patrzyłam na widoczne ze statku dziwne, stojące na wysokich belkach w wodzie, domki Słobodki. A wspinanie po urwiskach, po krętych ścieżkach Włodzimierskiej Górki albo Carskiego Ogrodu! Takich zachodów słońca, takiej orgii kolorów nie zapomina się nigdy.

Jedną z większych atrakcji była wycieczka do Pieczerskiej Ławry. Aż skóra cierpła z emocji i wzruszenia, kiedy się sunęło powoli, krok za krokiem, gęsiego, wszyscy z zapaloną świeczką w rękę, wąskimi, chłodnymi podziemnymi korytarzami Ławry. Szliśmy w skupieniu i milczeniu, i tylko słychać było na przedzie donośny głos oprowadzającego nas mnicha. Pomimo strachu tak się chciało dotknąć ręką tych świętych *moszczy* leżących w wąskich trumienkach we wnękach korytarzy. Ale fosforyzujący ostry błysk oczu z jakiegoś wgłębienia w murach momentalnie paraliżował każdą swawolną myśl. Byli to tak zwani *otszelniki* – fanatycy, którzy ślub brali: nigdy już nie wyjść na światło dzienne i tam w modłach zakończyć żywot. Naturalnie dostarczano im tam jakąś minimalną ilość jedzenia potrzebną do przeżycia.

Z jakąż rozkoszą wyskakiwało się później na słońce, powietrze, na zieloną trawę. Lipy pachniały, pszczoły jak oszalałe kręciły się wokół głowy. Na dziedzińcu klasztornym, pod lipami, podstawiane były długie, wąskie stoły, poprzykrywane samodzielnymi obrusami, wokół stały ławy, starzy mnisi o bladych ascetycznych twarzach, w czarnych *riasach* i wysokich czapach, przesuwali się cicho, jak widma. Za to młode *monachy*, usługujące przy stołach, żwawo i wesoło pędziły tam i z powrotem, niosąc ogromne samowary i całe półmichy pachnących i świeżych pierogów z mięsem albo kapustą. Spod czarnych *rias* wyglądały wysokie, ciężkie buty z cholewami. Prawie wszystkie twarze były czerwone, roześmiane, aż błyszczące z dobrobytu i zadowolenia. Przeważnie wszyscy (ku naszej szalonej ucieście) mieli z tyłu włosy zaplecione mocno w warkoczyk związany zwykłym sznurkiem, a były tak mocno splecione i takie zazwyczaj cienkie, że sterczały do góry jak ogonki u prosiaków. Trzeba było bardzo

się spieszyć, żeby zająć miejsce przy stole, bo pątników była moc i każdy był głodny i spragniony. Wypijano więc całe beczułki kwasu *chlebnego* albo *klukowego* (żurawinowego), które były znakomite. Płacono za wszystko sownie i zdaje mi się, ale nie jestem w tej chwili pewna, że trzeba było rzucić pieniążki do stojącej obok studni.

Kontrakty to była specjalność Kijowa. Urządzano je zawsze w zimie, zdaje się w czasie karnawału. Był to niebываły zjazd nieomal z całej Ukrainy, lewo- i prawobrzeżnej. Przyjeżdżali ziemianie (mówiono: obywatela), cukrownicy, kupcy i wszyscy, którzy chcieli załatwić jakieś transakcje handlowe i przemysłowe, zmienić posadę, zrobić jakieś większe zakupy, albo wreszcie zabawić się. Czas *Kontraktów* był oczekiwany przez nas zawsze z niecierpliwością i wydawał się nam prawie bajką.

Zazwyczaj przyjeżdżali rodzice, ciotki i wujowie, zabierano nas do restauracji, teatrów, prowadzono ze sobą z wizytami, przynoszono nam cukierki, ciastka, pomarańcze. W mieście było wszędzie pełno ludzi, panował gwar, ruch i wesołość.

Kiedyś, jeszcze na ulicy Nestorowskiej, w czasie takich *Kontraktów* do mojej koleżanki z Charkowa przybiegł Piotr z wiadomością, że wujaszek jej przyjechał i czeka na nią na dole. Uszczęśliwiona zbiegła po schodach, ale po chwili usłyszałam jej głośne okrzyki śmiechu i wołanie. Gdy zbiegłam ze schodów, oniemiałam kompletnie. Cała kancelaria, biurko, krzesła, podłoga były zastawione pudłami, pudełeczkami, bombonierkami, pakunkami, zawiniątkami... Miejsca już nie było, a dwóch panów, roześmianych, głośnych, zносиło z dorożki nowe paczki. To już nie było śmieszne, ale to było straszne! „*Boże, tyle ciastek, cukierków, czekolady, smażonych owoców, bałabuchów! Co my z tym zrobimy, przecież tego nie zjemy!*” Ale młodzi panowie, uradowani z piorunującego wrażenia, które na nas wywarli, śmiali się. „*Och, nie przesadzajcie! Za tydzień tego nie będzie. Znamy się coś nie coś na apetytach pensjonarek. Udało nam się z kolegą zrobić dziś dobrą transakcję i postanowiliśmy rozweselić wam życie!*” Pojechali, a myśmy jeszcze stały osłupiałe.

„*Panienki się na tym nie znają, ale te panowie są trochę podpite i sami nie wiedzą co wyrabiają*” – powiedział sentencjonalnie Piotr i zaczął nam pomagać przenosić te skarby na górę.

W parę lat później miałam smutniejsze wspomnienie z *Kontraktów*.

Nas jeszcze bardziej od towarzyskiego zjazdu ciekawiła i pociągała sama hala kontraktowa na Padole. Rokrocznie w czasie *Kontraktów* jeździliśmy tam całym swoim internatem, naturalnie w niedzielę albo w jakieś święta. Oczekiwałyśmy tego dnia z biciem serca. Już sama podróż była fascynująca. Zjeżdżało się na Padół zębatym tramwajem, który powolutku spuszczał się ze stromej góry. Samo patrzenie przez okno było już przeżyciem, a coś dopiero myśl, że lina może pęknąć, może się oberwać i tramwaj jak szalony polecą na dół. Było i strasznie, i jakoś bohatersko, i przyjemnie zarazem! A na dole... Tam dostawało się już kompletnego zawrotu głowy! Rwetes, gwałt, tłok, różnorodny tłum, nawoływania, śmiechy, chwalenie towarów, moc przeróżnych stoisk. Hala *Kontraktów* pełna różnych cudów. Oczu nie można oderwać! Wszystko się chce kupić, wszystko mieć, ale trzeba uważać, żeby wystarczyło pieniędzy. A jeszcze bardziej trzeba uważać, żeby się nie zgubić w tym tłumie. Trzymać się mocno jedna drugiej i patrzeć wciąż na mademoiselle albo Fräulein. A spotyka się wielu znajomych. Naturalnie nasi adoratorzy też już są, bo czy może być inaczej?

W niedzielę przed pójściem do kościoła postanowiono, że ponieważ w środę wypada galówka, po naszym śniadaniu wybierzemy się wszystkie na *Kontrakty*. Nastrój był wesoły i pełen oczekiwania. W kościele było tłoczno jak zwykle i jak zwykle stanęłyśmy po prawej stronie. Z początku modliłyśmy się nabożnie i w skupieniu, ale potem zrobiło się zimno w nogi, a ksiądz miał jakieś specjalnie długie kazanie. Wydawało mi się, że się nigdy nie skończy. Było nas pewnie ze 20 dziewczyn. Wszystkie stałyśmy w skupieniu pod ścianą. Mademoiselle z natchnioną miną wpatrywała się w ambonę, ale niektóre koleżanki już niespokojnie spoglądały na siebie. Wszystkim nam było zimno w nogi. Tuż przy ścianie na postumentach stały 2 figury naturalnej wielkości. Jedna była świętego Antoniego, druga – nie pamiętam kogo przedstawiała. Cichutko przesunęłam się za figurę, wskoczyłam na postument, objęłam oburącz świętego Antoniego, żeby nie spaść i od czasu do czasu wyglądałam zza figury, co się dzieje w kościele. A zaczęło dziać się coś strasznego. Koleżanki zobaczywszy mnie zaczęły chichotać, szeptać, pokazywać mnie jedna drugiej. Wiedziały, że śmiać się nie wolno, więc się powstrzymywały, dusiły się i parskały. A ja zachwycona sukcesem, wyglądałam to z jednej, to z drugiej strony.

Wreszcie mademoiselle ściągnięta z niebios zauważyła, że coś się dzieje niedobrego, ale przyczyny

nie znała. Wściekłym zduszonym szeptem kazała im się wynosić z kościoła i czekać tam na nią. Wychodziły dławiąc się i krztusząc ze śmiechu. Mademoiselle dalej niewzruszenie słuchała kazania. Ja chciałam cichutko zsunąć się z postumentu i opuścić świętego Antoniego, gdy ktoś obcy z publiczności pokazał mnie mademoiselle. Zielona ze złości wyszarpnęła mnie z za figury i przerażoną, nawet ociągającą się pchała ku drzwiom.

Przed kościołem o parę kroków od schodów było już dużo osób. Stali tam studenci przeważnie i uczniowie. Byli też i starsi panowie, którzy wcześniej wychodzili i lustrowali wszystkie osoby wychodzące z kościoła i zstępujące z wysokich schodów na chodnik. Nazywało to się „przegląd katolicki” i nie było żadnej niedzieli bez tego zdarzenia. Tak się cała publiczność kijowska do tego przyzwyczaiła, że nikogo to nie raziło, ani nie gorszyło. Koleżanki moje wcześniej przez mademoiselle wyproszone z kościoła stały już tam w otoczeniu znajomych, którym zdążyły opowiedzieć całą historię. Wszyscy ze śmiechem i ciekawością oczeki-

wali dalszego ciągu. Kiedy wreszcie zobaczyli bladą z irytacji mademoiselle, ciągnącą mnie za rękę, i moją bezdennie głupią minę, wybuchli takim śmiechem, że aż cała stojąca publiczność zaczęła się interesować. Ale to przyprawiło mademoiselle o jeszcze większe wzburzenie. Po jej kilku mocnych i groźnych słowach, ustawione wszystkie w szeregu, duszące w sobie śmiech, pomaszerowałyśmy. Ale mnie nie pozwolono już iść w pierwszej parze. Musiałam iść sama koło mademoiselle, która szła przy mnie groźna i ponura, jak gradowa chmura. Najgroźniejsze, że nic nie mówiła.

Po przyjeździe na pensję mademoiselle zaraz poszła do przełożonej i przyniosła od niej rozkaz zabraniający wszystkim winnym dziewczynkom odwiedzania dziś swych krewnych i znajomych. Więc przeróżne ciocie i wujkowie odchodzili od drzwi z kwitkiem. Z niecierpliwością oczekiwałam, jaka kara jest przeznaczona dla mnie. I nareszcie po obiedzie padło to najgorsze...

– Prosiłam przełożoną, żeby cię surowo ukarała, żeby ci nie pozwoliła iść na Kontrakty. I nie myśl, że będziesz



Kijów. Bank Państwowy. Widokówka z przełomu XIX i XX w.

mogła iść z ciotką, czy też kimś innym. W ogóle w tym roku jest to zabronione. Zresztą zostaniesz jeszcze wezwana przez przełożoną.

Jakże to! Więc będę pozbawiona tej największej przyjemności? Więc nie będzie ani cudownego zjeżdżania zębatym tramwajem, ani przepychania się w rozśmianym tłumie, ani kupowania piszczących nadymanych diabełków, ani chałwy w drewnianych pudełkach? Nie będzie można wybrać sobie cudnych drewnianych miseczek i pudełeczek, zupełnie jak z chińskiej laki, leciutkich i błyszczących, przywiezionych gdzieś z głębokiej Rosji? Nawet mniejsza o sprawunki, ale nie będzie tych wszystkich przygód, tego śmiechu, hałasu, tych okropnie śmiesznych starych, rozgadanych babulek i jowialnych zabawnych dziadulków! Przecież o tym się potem mówi i wspomina przez całe tygodnie.

– *O nie!* – mówiłam do mademoiselle – *to nie pedagogicznie! Rozumiem – nie dać mi przez tydzień deseru, albo zabronić raz teatru, ale Kontrakty! Przecież Kontrakty będą dopiero w przyszłym roku. Mogę tego nie doczekać!*

– *No to nie doczekasz* – odpowiedziała sucho mademoiselle.

Zaczynałam z innej strony:

– *A więc dziś rano byłam jeszcze «mon petit choux» (moja mała brukselka – przyp. red.), a teraz jestem ta najgorsza, znenawidzona, wyklęta i to wszystko przez to, że tak strasznie zmarzłam w nogi i chciałam tylko się trochę rozgrzać! Już nic nie znaczy, że od szeregu lat mam same piątki, same piątki!*

– *Tant pis pour toi. Tym gorzej dla ciebie* – odpowiedziała mademoiselle zimna i tajemnicza jak grób Tutenchamona.

Ale co było najtragiczniejsze – przełożona nie wzywała mnie wcale! Nawet raz przeszła przez pokój i jak gdyby mnie nie widziała. To męczyło mnie najbardziej. Wreszcie po dwóch dniach niepokoju i oczekiwania sama skruszona i smętna zastukałam do drzwi Canossy. Po godzinie mądrej i dobrej rozmowy wyszłam z gabinetu przełożonej wesoła i lekka – przecież zostawiłam w jej rękach olbrzymi ciężki kamień przygniatający mi serce. O pójście na *Kontrakty* już mi tak bardzo nie chodziło!

Na architekturze nie znałam się wtedy absolutnie, nie wyczuwałam wcale epok ani stylów (w Kijowie znałam tylko jeden zabytek – Złotą Bramę), ale urzekały mnie zawsze piękność położenia miasta, jego niezwykły koloryt – niby jaskrawy, a zawsze zharmonizowany,

barwność i romantyczność spadzistych uliczek i bujność roślinności.

Czasem wchodziło się do jakiegoś zwykłego niepozornego domu, przechodziło się na jego drugą stronę, a tu naraz – bajeczny dziki ogród ze wzgórzami, głębokimi urwiskami, małymi, poplątanymi ścieżkami wśród krzaków i wspaniały widok na niedaleki Dniepr, zawsze piękny, ale jakże kapryśny i zmienny. Takie niespodzianki, takie nagłe ujście z tarasu domu albo okna zupełnie odmiennego widoku jakiegoś innego, jakby zaczarowanego świata – spotykałam jeszcze tylko po wielu latach w Marsylii i Montrealu. Długo wtedy stałam, nie widząc co mi to przypomina – naraz błyskawiczna myśl: Kijów – miasto mojej młodości.

Nie pozwolono nam, niestety, wychodzić wieczorami, ale przez szeroko otwarte okna sypialni wlewała się ciepła, bujna i tętniąca wiosna kijowska. Powietrze było tak nasycone zapachem czeremchy i akacji, że wydawało się słodkie i lepkie. Zabłąkane w czarnej nocy warczące trzmiele i ogromne ćmy ukraińskie rozpaczliwie uderzały o ściany, straszyły i nie dawały spać. W jedną z takich nocy prawie przez sen wymyśliłam wierszyk:

*Młode dziewczęta nie drżycie...
Wejdźcie do mego ogrodu,
Zerwijcie kwiatek i wróżcie,
Może wam szczęście przepowie...
Może wam miłość wywróży
Słodsza od ambry i miodu
Albo baśń fantastyczną
Dalekich, cudnych podróży...
Młode dziewczęta, nie drżycie...*

Dalszych strofek dziś już nie pamiętam, ale wszystkim dziewczynkom bardzo się podobało, że ładne i że „z wyrazem”. Najwięcej wierszy pisałyśmy ja i Ala Tomicka, na wszystkie okoliczności, i śmieszne, i smutne, i miłosne.

Właściwie to nie były jeszcze żadne poważniejsze uczucia, nie miłość, a jakieś sentymentalne pensjonarskie zadurzenia, „cielące” zachwyty albo też odwrotnie – niemądre kaprysy lub zgoła dziecinne fochy i dąsy. Nic się też nie robiło w sekrecie – żaden list, żadne powiedzonko, wszystko było ogólnie omówione, aprobowane albo wyśmiane. Nawet panna Wanda i niektóre nauczycielki dopuszczane były do tajemnic. Kiedyś w jakiejś serdecznej pogawędce przełożona zapytała, śmiejąc się: *„Isiuniu, powiedz mi szczerze, czy*

podoba ci się właściwie sam chłopak, czy więcej jego powóz i konie?” Naprawdę nie byłam dokładnie pewna...

Ale były też i rewelacyjne wiadomości: „*Jadzia Hanicka zaręczyła się z Witkiem*”. „*Zosi Graff w czasie wakacji w domu oświadczył się stary trzydziestoparoletni pan!*” „*Jak to, oświadczył się?*” „*No tak zwyczajnie, na małżeństwo, mówił nawet z rodzicami!*” „*Nika mówiła, że asystuje jej bardzo jakiś rozwodnik*”. „*Rozwodnik? Boże, co on jej mówi, o czym to się rozmawia z takim rozwodnikiem?*” Imponowało to nam i przerażało zarazem. Ale przychodnie koleżanki – to zupełnie co innego, nie takie gąski jak my.

Życie już nie chciało, żebyśmy patrzyły na nie ciekawie zza firanki. Już się zbliżało ze swymi zazdrościami, bólami, okropnościami wojny i namiętnościami, żądało, żeby patrzeć w oczy i patrzeć na nie realnie i odważnie. Zaraz po Bożym Narodzeniu (byłam wtedy już w 8-jej klasie) dostałam z domu list od siostry, w którym pisała, że wciąż są o mnie niespokojni, bo rzadko piszę, a czasy są takie niespokojne i że bardzo za mną tęsknią. Wobec tego postanowiono w domu, żeby mnie zabrać z Kijowa. Właśnie parę dni temu rodzice i siostra byli w pobliskim od nas miasteczku Piriattynie (chyba 30 wiorst), co prawda to bardzo małe miasteczko, ale jest tam niezłe żeńskie gimnazjum, więc mogłabym tam skończyć ten rok. A że poziom naszej szkoły jest wybitnie wysoki, a ja uczę się świetnie, więc też z łatwością zdam maturę w tamtejszym męskim gimnazjum. Wynajmą mi tam pokój, a żebym się nie czuła bardzo samotna, pojedzie ze mną ukochany pies Łapa. Opiekować się mną będzie nasza służąca Hańdzia, która już się na to cieszy bardzo. Ponieważ na wiosnę i jesienią błoto tam bywa po kolana, tatuś pozwoli mi wziąć mały powozik i jednego konia. Uczą się tam nasze sąsiadeczki Abrosimówny i są zachwycone, „*A więc szykuj się – kończyła list siostra – pakuj wszystkie swoje książki i skarby, bo lada dzień ktoś po ciebie przyjedzie. Nie masz pojęcia jak się cieszę, że na każdą niedzielę będziesz mogła przyjeżdżać do domu*”.

A we mnie jakby piorun strzelił! Przecierałam oczy i znowu czytałam – może źle zrozumiałam, może się mylę! Ale nie, wszystko było bardzo wyraźne. Rozpacz ścisnęła mnie za gardło! Więc po sześciu latach pobytu w naszej świetnej szkole, najpierwszej, najlepszej jaką znam – mam się teraz przenieść do tego ohydneho miasteczka, żeby tam kończyć i zdawać maturę. Mam pożegnać cały tutejszy świat – koleżanki, profesorów, a

najważniejsze – zrobić zawód przełożonej, bo przecież chodziło jej o to, żeby najlepsze uczennice zdawały męską maturę. Byłam wprost chora ze smutku i zdenerwowana. Napisałam do rodziców rozpaczliwy list, że wolę odebrać sobie życie, a nie pojechać do Piriattyna.

Trzy dni chodziłam zielona, smutna, nie jadłam, nie mogłam spać, ale nikomu nie zdradziłam swej tajemnicy. Wreszcie na czwarty dzień wieczorem przełożona wezwwała mnie do siebie.

– *Mam depezę od twojego ojca, ale nic nie rozumiem. Postuchaj: «Proszę koniecznie zaraz uspokoić Isię, to był niemądry żart Janki. List wysyłamy»*”.

Ach, Boże, jaka ulga! Więc ten koszmar już nie istnieje! Zostaję w Kijowie! – płakałam i śmiałam się na przemian, opowiadając wszystko przełożonej.

– *A więc tak nas naprawdę kochasz*, – szeptała gładząc mnie po roztrzęsionej łepetynie – *tak nas naprawdę mocno kochasz...*

W pół roku później my dwie (Mynia Cywińska i ja) pierwsze z naszej pensji zdałyśmy jako eksternistki maturę w czwartym kijowskim męskim gimnazjum.

Pamiętam, że kiedy po przeczytaniu oficjalnych wyników, zupełnie nieprzytomna z przemęczenia, niewyspania, pocucia własnej wielkości i szalonego szczęścia, wsiałam do tramwaju – obwieściłam wszystkim obecnym głośno i z dumą: „*Zdałam maturę w męskim gimnazjum, za parę dni otrzymam świadectwo dojrzałości!*”. Wydaje mi się, że po przyjeździe pani Peretiatkowiczowej w roku 1920 lub 1921 do Warszawy nie oceniono należycie Jej wielkich zasług położonych dla polskiego społeczeństwa w Kijowie. Nie znaleziono dla Niej odpowiedniego miejsca w nowopowstającym szkolnictwie polskim. A my same – jej uczennice? Przemawiałam ze wzruszeniem do przełożonej na naszym szkolnym zjeździe w 1934 roku. Płakałam serdecznie na Jej pogrzebie w parę lat później, ale mam wciąż wyrzuty sumienia, że my, Jej wychowanki, zbyt rzadko bywałyśmy u Niej w Warszawie i jeszcze za mało okazywałyśmy Jej uczucia i ciepła, tego ciepła, którym nas tak hojnie i serdecznie obdarzała w latach naszego dzieciństwa.

Marian Jurkowski

WIECZORY KIJOWSKIE

Wstęp

Zaproponowane niżej wiersze Mariana Jurkowskiego w konkursie Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej w 1962 r. uzyskały wyróżnienie. W strofach, napisanych zgodnie z tradycyjnymi zasadami wersyfikacji, zwraca uwagę malowniczość obrazu, uczuciowość, życzliwość wobec braterskiego narodu; brzmi nuta melancholii i zadumy nad losem człowieczym.

Rysunki specjalnie do zbioru prac konkursowych wykonała Olga Nikodem.

Janusz FUKSA

KRESZCZATIK W NOCY

Tarasy, skwery i bulwary –
Biel domów aż po niebo wzlata,
Spadają stromych ulic jary
W rozśłonecznione światło latarni.

Śnieg skrzy się, opadł na kasztany,
Niebieską czapą okrył drzewa,
A po ulicy rozśpiewanej
Aut jasnych potok się przelewa.

Od Besarabki aż po wzgórze –
Wysokie Dniepru horodyszcz –
Wzrok w wstęgę światła się zanurza,
Jak iskra błędzi elektryczna.

Na prawo domów biały kamień
Wtapia się w nieba czerń nad miastem,
Na lewo ponad budynkami
Migocą – grają pierwsze gwiazdy.

A na ulicy gwarów potok
I uśmiechniętych tysiąc twarzy.
Wesoło dźwięczy odgłos kroków
Po tej ulicy snów i marzeń,

Po tej ulicy, która pracą
Rąk ludzkich miastu darowana,
Której latarnie i pałace
W sercu na wieki pozostaną.

Kijów, zima 1959 r.





Kijów. Gmach Poczty Głównej przy ulicy Kreszcztik

WIECZÓR NA GÓRZE WŁODZIMIERZA

Gaś dzień, zmęczoną chylił głowę
Na wyłożone Dniepru wody,
Znad stepów mgły płynęły płowe,
W drzew cienie pierwsze pęzły chłody.

I pastelowych zmierzchów cisza
Zawisła niemo nad wybrzeżem –
Tylko ramiona czarne krzyża
Modlą się ponad Włodzimierzem.

Modlitwa ich po wzgórzu spływa
I budzi śpiącą w nim drużynę –
Może Igora róg ich wzywa?..
Nie – to głos mnichów w stepy płynie...

I nagle blask! Sto słońc na wodzie!
Czy to Sambata złote zbroje,
Czy połowiecka łuna wschodzi? –
To płoną światła nad Podołem!

Bezkresne morze gwiazd i latarni,
Jakby świetlików siadła chmara.
Ich pieśń radosna w niebo wzlata
I milknie w brzożach i czaharach.

I w stepach znowu mgły i mroki,
Milczy Dniepr senny i kasztany,
Tylko na niebie gdzieś wysokim
Chmur tabun płynie zadumanych.

I noc do ziemi czoło zniża,
I cisza siada na wybrzeże –
Tylko ramiona czarne krzyża
Modlą się ponad Włodzimierzem.

Kijów, jesień 1959 r.





Kijów. Askoldowa mogiła

PRZED POMNIKIEM TARASA SZEWCZENKI W KIJOWIE

Stoisz wysoki, dumny i śmiały,
Niezapomniany bat'ku Tarasie –
Ty nie dla wieńca i nie dla chwały
Na marmurowym siadłeś Parnasie.

Twój śpiew nie w pańskie płynął pałace,
Nie bił pokłonów wysokim progom –
Lecz Ty go w serca wlałeś kozacze,
Nim wykarmiłeś duszę narodu.

Bo w lirę Twoją wichrem – strumieniem
Spłynęły krwawe łzy Ukrainy –
Bo pieśni Twojej pierwszym natchnieniem
Były ból matki i płacz dziewczyny.

Bo słowo Twoje w ziemi zrodzone,
Z potu i pracy, z łez i niewoli,
Bo serce Twoje nienasycone
Nabrzmiało gniewem mężnych pokoleń.

Tyś to, Tarasie, poprzez pożary,
Poprzez nienawiść, krew i złe lata,
Pierwszy – przyjaźni pełen i wiary –
Wyciągnął rękę do Lacha-brata.

Dziś stoisz wielki i zadumany
I myśl głęboka w Twych oczach świeci,
Z liści Ci wieniec plotą kasztany
I polne kwiaty przynoszą dzieci.

Już mrok, już pierwsze gwiazdy na niebie
I cienie długie od drzew się ścielą –
I ja wyciągam swą dłoń do Ciebie:
Żegnaj, Tarasie, mój przyjacielu!

Kijów, jesień 1959 r.





Kijów. Pomnik Tarasa Szewczenki

PIEŚŃ O MOWIE UKRAIŃSKIEJ

Śpiewającym kijowiankom

Ile lat już minęło, gdy spotkałem cię, mowo –
Dumką tęskną i smutną wypełniłaś mi serce.
Dziś cię w piosnkach dziewczęcych odczytują na nowo
Moje oczy i usta, moje pieśni i wiersze.

W tobie szumi czern stepów nieobjętych jak morze,
Tętent koni tatarskich, lotne kłusy Kozaków,
Których wicher nie wstrzyma, nie prześcignie i orzeł –
Szybujący w przestworzach stróż kurhanów i szlaków.

W tobie lira Tarasa czerwonymi strunami
Drga, o bólu śpiewając, o „muzyckiej” pańszczyźnie,
O Katrusi – żołnierce, która idzie polami,
O kobzarzu, co wnukom śpiewa dumki na przyzbie.

W tobie krew jest Humania, krew przelana daremnie
Polskich braci i ruskich – dla magnackiej swawoli –
Ranią noce pożary, dni od dymów są ciemne...
Nie mów więcej mi o tym, nie mów więcej – to boli.

Ja chcę słyszeć szum stepów, które kąpią się w słońcu,
Chcę ,jak Adam, w gąszczu twoich burzanów,
Chcę swą dłoń Kozakowi podać z wiarą gorącą,
Chcę, by pieśń twoja była w bicie serc zasłuchana.

W tobie tyle jest kwiatów, tyle sadów wiśniowych
I kosiarzy dzwoniących w złote ziarna pszenicy,
Tyle wiosny, wesela, tyle słów kolorowych
Przez dziewczyny utkanych u niebieskiej krynicy,

Że wystarczy swą rękę w twoim śpiewie zanurzyć,
Żeby poczuć smak chleba zrodzonego z twej ziemi –
Tak skowronki śpiewają w jasnym niebie po burzy,
Kiedy wszystko się wokół bieli – złoci – zieleni.

Kijów, jesień 1959 r.





Kijów. Politechnika Kijowska

DAWNO, DAWNO TEMU...

Wspomnienia Czesławy Kacik

Wspomnienia zapisały: Dorota Pilich i Joanna Kozłowska – uczennice klasy VI b Szkoły Podstawowej nr 4 w Ząbkowicach Śląskim pod kierownictwem nauczycielki Marii Kurzyp (córkę zmarłej Czesławy Kacik)

Dawno, dawno temu... Tak rozpoczyna się wiele szczęśliwych historii. Jednak ta opowieść, którą chcemy przedstawić, do takich nie należy, ponieważ dotyczy okresu drugiej wojny światowej, a dokładnie deportacji na Sybir.

Wspomnienia pani Czesławy Kacik obrazują, w jak okrutny sposób wojna może zniszczyć dzieciństwo, marzenia, więzi międzyludzkie, zdrowie. Wspomnienia te układają się w przejrzysty ciąg obrazów z jej życia i jej najbliższych, którzy już odeszli, a o których ciągle pamięta.

Dzieciństwo

Urodziłam się 14 lipca 1928 roku w Polsce, a dokładnie w kolonii Józefówka, powiat Brzeżany, woj. Tarnopol (obecnie są to tereny Ukrainy). W latach trzydziestych było to miejsce mojego dzieciństwa.

Moi rodzice, Piotr i Agata Kanarscy, byli rolnikami, dziadkowie też. Z opowiadań mamy wiem, że dziadkowie, Maciej i Maria Głowaccy, wrócili ze Stanów Zjednoczonych do Polski około 1910 roku (mama miała wtedy 6 lat). Najprawdopodobniej przyczyną powrotu była troska o zdrowie babci oraz tęsknota za ojczyzną.

Po długiej i uciążliwej podróży dziadek z rodziną wyruszył na Wschód, aby tam zakupić ziemię. W niedługim czasie wybudował dom.

Lata mijały. Maciej i Maria Głowaccy, z dziećmi: Józefem, Agatą, Bronisławą, Tadeuszem i Teklą, na stałe zapuścili korzenie w nowym miejscu, które stało się dla nich prawdziwym domem. Józef, Agata (moja mama) i Bronisława założyli swoje rodziny. W 1924 roku zmarła babcia Maria Głowacka. Dziadek mieszkał z synem Tadeuszem i córką Teklą. Moi rodzice, Piotr i Agata Kanarscy, mieszkali w oddzielnym gospodarstwie.

Pamiętam sad wokół, łąki pokryte wiosną i latem barwnymi polnymi kwiatami. Żyliśmy w bardzo skromnych warunkach, ale nie odczuwałam dotkliwego głodu, którego uczucie już niedługo miało mi to-

warzyszyć co dzień. Razem z rodzeństwem: Mieczysławem, Stanisławą i Kamilą bawiłam się, pasłam krowy, pomagałam w gospodarstwie, uczyłam się w miejscowej polskiej szkole.

Niemile były wyprawy do sklepu, który znajdował się we wsi Józefówka zamieszkałej przez Ukraińców. Rdzenni mieszkańcy nie lubili Polaków. Przeżywali nas Mazurami. Często wędrowka po zakupy do sklepu kończyła się płaczem, bo obrzucono nas kamieniami, innym razem poszczuto psami.

Mijały dni. Początkowo nic nie zapowiadało tragedii...

Wojna

Na dzień 1 września 1939 roku czekałam z utęsknieniem, ponieważ lubiłam chodzić do szkoły. Mimo przestróg mamy wyszłam z domu. Był piękny, słoneczny ranek, myśli tłoczyły się w mojej głowie: „Jaka wojna? Co ma wojna wspólnego ze szkołą? Ja chcę do szkoły!”. I z uporem jedenastoletniego dziecka dążyłam przed siebie.

Jednak po chwili przekonałam się, że mama miała rację. Niestety, owego dnia nie spotkałam się z nauczycielką i rówieśnikami. Z płaczem wróciłam do domu. Nikt nie potrafił mnie pocieszyć.

Rozpoczął się czas pełen strachu, niepewności o jutro. Ukraińcy zaczęli mordować Polaków. Każdej nocy widzieliśmy łuny pożarów – to płonęły domostwa tych, których dosięgnęła zemsta wroga. My byliśmy następni w kolejce. Baliśmy się. Strach potęgowały niesamowite opowieści o tym, w jak okrutny sposób Ukraińcy obchodzą się ze swoimi ofiarami.

Utkwiła mi w pamięci przerażająca historia o tym, jak żywcem zakopano pewnego Polaka w Koropcu (Koropiec to rzeka, która płynęła przez Józefówkę), wcześniej oprawcy obcięli ofierze język i wydłubali oczy.

Żyliśmy w ciągłym napięciu. Mimo że była jesień, prawie każdą noc spędzaliśmy w szczerym polu. Prze-

straszeni, zziębnięci okrywaliśmy się pierzyną, ale i tak trudno było się zagrzać i zasnąć.

Pewnego dnia otrzymaliśmy informację, że najbliższej nocy Ukraińcy napadną na naszą miejscowość. Starsi postanowili, że kobiety, starcy i dzieci ukryją się w piwnicach największego murowanego domu, natomiast mężczyźni będą stać na straży uzbrojeni w widły, kosy, siekiery.

Piwnice były obszerne. Zgromadziło się w nich wielu mieszkańców Józefówki. Mnie, szczupłej, małej jedenastoletniej dziewczynce wydawało się, że najbezpieczniej będzie w becze. Na sygnał „Idą”, kiedy inni zaczęli głośno płakać, lamentować, modlić się, bardzo szybko ukryłam się w środku. Zamknęłam oczy, skuliłam się i myślałam, że w ten sposób nikt mnie z napastników nie znajdzie. Kilka minut oczekiwania było wiecznością.

Nagle usłyszałam męski głos, który wszystkich uspokajał: „To fałszywy alarm. Ukraińcy nie nadchodzą”.

Wszyscy z ulgą odetchnęli. Pamiętam jeszcze, że nad ranem (było jeszcze ciemno) kazano nam porozchodzić się do domów. Później dowiedziałam się od rodziców, że ukrycie się w tym jednym miejscu nie było bezpieczne. W razie ataku nieprzyjacieli bardzo szybko wymordowałby wszystkich.

Zima tego roku była sroga. Dokuczały nam mrozy, ale mieliśmy jeszcze miejsce, w którym mogliśmy się zagrzać – dom. Prawdopodobnie nikt z nas nie przeżywał, że wkrótce stracimy i to.

Tragiczna noc

10 lutego 1940 roku – to data-symbol Apokalipsy dla wielu Polaków. Późnym wieczorem do naszych zabudowań dotarli rosyjscy żołnierze. Jeden z nich kazał mamie spakować najważniejsze rzeczy. Na pytanie: „Dokąd nas zabieracie?” padła odpowiedź: „Tam, gdzie będzie wam lepiej”. Inny, gdy zobaczył, że mama chce zapakować zapasy żywności, ubranie, zabronił i stwierdził, że właśnie „tam” niczego nam nie zabraknie.

Tajemnicze określenie „tam” już niedługo okazało się kłamstwem. Saniami zawieziono nas na stację. Była noc, wokół dużo ludzi. Szybko kazano nam wchodzić do bydłowych wagonów, w których było ciemno i zimno. Każdy znalazł sobie miejsce i rozpakował swój niewielki bagaż. Słyszałam krzyki dorosłych, płacz dzieci. Po niedługim czasie ruszyliśmy pociągiem w nieznaną.

Tułaczka

Nie pamiętam jak długo jechaliśmy. Przypominam sobie krótkie postoje, w czasie których dawano jedzenie w postaci kleistego chleba i zupy przypominającej pożywienie dla zwierząt. Nikt nie chciał tego jeść. Niestety, niewielkie domowe zapasy już się kończyły, a żołądek domagał się nowej porcji. Wielu pochorowało się na biegunkę. Warunki sanitarno-higieniczne były przerażające. Na środku wagonu znajdowała się dziura w podłodze, do której załatwiała się potrzeby fizjologiczne. Przez całą podróż nie myśliśmy się, nie przebieraliśmy się. Każdy włożył na siebie wszystkie rzeczy, jakie miał, ale i tak nie można było się zagrzać. Przerażające zimno i głód były towarzyszami naszej niedoli.

Pewnego ranka pociąg zatrzymał się na większej stacji. Przez okienko zobaczyłam okazały kościół z piękną wieżą uwieńczoną – zamiast krzyżem – czerwoną gwiazdą. Mama wyjaśniła mi, że to cerkiew i że jesteśmy na Wschodzie w Związku Radzieckim.

Po wymianie wagonu ruszyliśmy w dalszą drogę. Warunki, w których podróżowaliśmy, nie zmieniły się. Następnie kazano nam przenieść się na samochody ciężarowe. Plandeki były na nich potargane. Jechaliśmy drogami pełnymi wybojów. Wokół zima, silny mróz i porywisty wiatr. Podróż była udręką. Jeszcze gorzej jechało się na „ślepach”, na których pokonaliśmy ostatni etap podróży do krainy, gdzie nie miało nam niczego brakować. Tych kilka desek na płozach nie nadawało się na kulig, ciągle coś lub ktoś z nich spadał w głęboki śnieg. Nie było to wcale śmieszne, biorąc pod uwagę to, że byliśmy głodni, przemoczeni i zmarznięci.

W takim stanie dojechaliśmy do małej wsi Janczar.

Na Syberii

Zakwaterowano nas w drewnianych barakach. Spaliśmy na pryzkach. Trudów tułaczki nie zniósła moja młodsza siostra Stanisława. Za późno było na pomoc lekarską. Rodzice ze łzami w oczach i z rozdartym sercem oddali obcej ziemi jedno z dzieci (Stasia pochowana została na cmentarzu w Kaczowie).

Pełni bólu po stracie bliskiej osoby zostaliśmy przeniesieni do domu państwa Zieniewiczów (stałych mieszkańców tej miejscowości). Zajęliśmy jedną izbę. Rodzice rozpoczęli pracę w lesie przy wyrębie lasu. Mnie zatrudniono w kołchozie. Jako dwunastoletnia dziewczynka ciężko pracowałam. W stajni przy bydle wykonywałam wszystkie czynności tak, jak dorośli i nikt mnie z nich nie zwalniał. Jeździłam w szczere pole po paszę dla zwierząt wozem lub saniami zaprzężonymi

w jednego konia. Aby założyć na niego uprząż, musiałam wychodzić na złób.

Mocno we znaki dały mi się poranne pobudki. Pracownicy kolchozu, do których przecież i ja należałam, wstawali bardzo wcześnie (3-4 godzina) na odgłos uderzeń w lemiesz. Najgorzej było zimą, dlatego często płakałam. Za tę pracę otrzymywałam na kartki chleba, który najczęściej kleił się i był bardzo niesmaczny. Tylko w snach jadłam smaczne bułeczki z masłem.

Rodzina Zieniewiczów była dla nas życzliwa. Gospodarz (po operacji krtani) sprzedawał w sklepie, gospodyni zajmowała się domem, wychowywaniem dzieci: Marusi, Szury i Józika. Często po powrocie z kolchozu pilnowałam najmłodszego Józika i za to gospodyni częstowała jedzeniem, czasami dała więcej mleka. Chłopczyk szybko przywiązał się do mnie i kiedy jechałam po paszę, wyskakiwał z domu i z progu krzyczał: „Teśka, Teśka, kak twój koń nazywajetsia?!”.

Studnia z pitną wodą znajdowała się z dala od domu i moim obowiązkiem było przynoszenie wody w wiadrach na koromysłach. Wykonywałam te czynności i inne, ponieważ ojciec i brat poszli na wojnę razem z 1. Dywizją im. Tadeusza Kościuszki. Wcześniej do wojska na ochotnika zgłosiła się ciocia, Tekla Głowacka, i razem z armią gen. Andersa, jako pielęgniarka, wyruszyła do Iranu i dalej na front.

W czasie pobytu w Janczarze naszą rodzinę spotkało kolejne nieszczęście. Z chorób i wycieńczenia zmarł dziadek Maciej Głowacki i wujek Tadeusz Głowacki. Obaj zostali pochowani na cmentarzu w Janczarze. Latem bardzo lubiłam odwiedzać ich groby. Po drodze zbierałam polne kwiaty: liliowe dzwonki, chabry, maki, stokrotki i inne. Wiązałam z nich bukiety i dekorowałam mogiły. Jedna z wypraw zakończyła się pechowo. Po zachodzie słońca nagle przestałam widzieć na oczy. Po omacku z wielkim trudem wróciłam do domu. Okazało się, że to tzw. „kurza ślepotą”, choroba spowodowana brakiem witamin. Od tej pory nigdzie nie wychodziłam przed zachodem słońca.

Często śmierci towarzyszyły narodziny. I tak 21 kwietnia 1944 roku na dalekiej Syberii urodziła się moja najmłodsza siostra Kazimiera. Mama dzielnie radziła sobie z pielęgowaniem małego w tych ekstremalnych warunkach.

Latem tego roku przewieziono naszą rodzinę (razem z innymi Polakami) do obwodu saratowskiego, do sowchozu Mieczetinskij. Płynęliśmy prawie miesiąc statkiem po Kamie i Woldze. W czasie podróży naj-

młodsza siostrzyczka zachorowała. Mama świeciła gromnicę, modliłyśmy się do Boga i błagałyśmy o zdrowie. Prośby zostały wysłuchane. Całe i zdrowe dotarłyśmy na miejsce.

W sowchozie obie z mamą pracowałyśmy w oborze. Młodsza siostra Kamila pilnowała Kazi. Mama doiła krowy, poila cielęta. Ja dowoziłam paszę z pól dwoma czarnymi wołami – Griszką i Miską. Dzięki mleku, którego w tych okolicznościach miałyśmy pod dostatkiem, powoli nabierałyśmy sił (mnie minęła choroba oczu). Niestety, znowu czekała nas ciężka próba. Mama zachorowała na malarię. Sama odwoziłam ją do Saratowa wozem zaprzężonym w woły (odległość około 35 km). Mama została w szpitalu. Słońce już zachodziło, zwierzęta były głodne, więc musiałam wracać. Tej drogi powrotnej nie zapomnę do końca życia. Noc, step, dokoła żywej duszy, tylko ja, dwa woły i stado wygłodniałych wilków. Czułam jak włosy ze strachu dosłownie „stawały dęba”. Płakałam, krzyczałam, poganiałam woły. To było ponad moje siły. Nie wiem w jaki sposób pokonałam tę długą drogę. Kiedy w oddali zobaczyłam zarysy zabudowań, odczułam ogromną ulgę.

W domu czekały na mnie siostry i stryjenka Rozalia Kanarska. Do powrotu mamy to ona pomagała mi i siostrze w opiekowaniu się najmłodszą siostrzyczką, a nie było to wcale łatwe.

Po szpitalnym leczeniu mama wróciła do pracy i powoli wracała do zdrowia. Wstyd się przyznać, ale dzięki kradzieży mleka i ziarna przestał dokuczać nam głód. Mleko mama wlewała do butelki ukrytej pod ubraniem i przynosiła do domu. Natomiast z ziarnem było trudniej. Kiedy jechałam od kombajnu na tok (plac), ostrożnie wsypywałam pszenicę do wcześniej przygotowanych woreczków i przejeżdżając koło domu wrzucałam je w krzaki. W drodze powrotnej młodsza siostra Kamila oddawała mi puste woreczki. W czasie żniw zawsze zbierałyśmy zapasy, dzięki którym miałyśmy co jeść.

Wkrótce przeniesiono nas do pracy przy owcach. I tu też radziłyśmy sobie. Oprócz mleka miałyśmy wełnę. Oczywiście nie mogłyśmy owiec strzyc, ale wystarczyło je skubać i później prząść na wrzecionie. Dzięki pończochom, skarpetom, rękawicom, chustkom, które robiłyśmy na drutach, nie odmroziłyśmy sobie nóg, rąk ani uszu.

Mijały dni, tygodnie, miesiące, lata, aż nadszedł rok 1945, rok zakończenia II wojny światowej.

Powrót

Był maj 1945 roku. Razem z kuzynką Julią pomagaliśmy przy orce. Nagle w oddali zobaczyliśmy człowieka wymachującego rękami, który coś krzyczał. Był to Mardwinow, przewodniczący sowchozu, który przekazał nam tę informację, na którą tak długo czekałyśmy: „Koniec wojny!”.

Z radości zaczęłyśmy podskakiwać, tańczyć, przewracać się po ziemi. Od razu zrodziło się pytanie: „Co dalej?”. Chciałyśmy z najbliższymi jechać do Polski.

Dopiero w czasie żniw wrócił z wojny ojciec. O bracie Mieczysławie nie miałyśmy żadnych wieści.

W roku 1946 (dokładnie nie pamiętam kiedy) zorganizowano zebranie, na którym powiedziano nam o wyjeździe do ojczyzny. Wkrótce spakowaliśmy niewielkie bagaże i pojechaliśmy do Saratowa. Stamtąd bydlęcymi wagonami w podobnych warunkach, ale w innej atmosferze, do ukochanego kraju. W naszych sercach gościła radość.

Wysiedliśmy na ziemi polskiej w Dusznikach-Zdroju na Wielkanoc 1946 roku. Świeciło słońce, biły dzwony w kościołach. Po raz pierwszy od wielu lat uczestniczyliśmy w nabożeństwie w polskim kościele. Płakaliśmy ze wzruszenia.

Przez pewien czas mieszkaliśmy w Rożnowie (wioska za Dusznikami) u pewnego gospodarza i w tej miejscowości odnalazł nas brat Mieczysław. Następnie przeprowadziliśmy się do Jaworka (koło Ząbkowic Śląskich), a stamtąd do Kaliny (obecnie Bobolice).

Tak zakończył się tułaczy los mój i mojej rodziny. Lata spędzone na zesłaniu wiele mnie nauczyły, przede wszystkim pracy i szacunku dla chleba.

Deportowano mnie w wieku dwunastu lat, powróciłam mając osiemnaście. Nie mogłam nadrobić zaległości w nauce. Wojna zniszczyła moje dzieciństwo, zdrowie. Mam jednak nadzieję, że moje doświadczenia i moich najbliższych nie poszły na marne. Może dzięki naszym cierpieniom lepiej się żyje dzieciom i wnukom...



Zesłańcy – polskie kobiety i ich dzieci na Syberii

WSPOMNIENIE O WYBITNYM AKTORZE ZBIGNIEWIE CYBULSKIM Z PAROWCEM „WISŁA” W TLE

Opuściłem Berdyczów jesienią 2007 roku po zakończonym 3-dniowym międzynarodowym sympozjum, które miejscowe władze poświęciły Josephowi Conradowi dla uczczenia jego 150. rocznicy urodzin. Przy drodze wylotowej zatrzymałem się w myjni samochodowej. Po „toaletce” mego passata młodzieniec o ujmującej aparycji odezwał się literacką polszczyzną:

– *Po tablicy rejestracyjnej domyślam się, że jest pan z Polski, ja również wywodzę się z polskiej rodziny, studiuję na Uniwersytecie Kijowskim. W czasie wakacji zajmuję się myciem samochodów, dorabiam do stypendium. Nazywam się Zbyszek Cybulski. Proszę pozdrowić aktora Zbigniewa Cybulskiego...*

– *On już nie żyje...* – odpowiedziałem.

– *O Boże! Nie wiedziałem...*

– *Aktora znałem osobiście* – rzekłem. – *Spotkałem go na parowcu „Wisła”; on realizował film „Cała naprzód” a ja dowodziłem tym statkiem...*

Dzień 8 stycznia 1967 roku okazał się ostatnim w życiu aktora. Z dworca we Wrocławiu rusza pociąg, on usiłuje wskoczyć do wagonu, dostaje się pod koła, umiera w szpitalu... Tego samego dnia nad moją głowę zawisł również miecz Damoklesa. Na oblodzonym odcinku szosy poślizg, czołowe zderzenie z traktorem Ursus. Oba pojazdy do kasacji. Dlaczego żyję? Bo moja „bryka” to „SYRENA-104”, karoseria osadzona niczym czołg na stalowej ramie. Doznałem kontuzji obu nóg i głowy...

Zbigniew Cybulski urodził się 3.11.1927 roku w Książach na Podolu. Ukończył PWST w Krakowie. Aktorski talent najwyższej rangi zaprezentował w filmach: „Pokolenie”, „Kariera”, „Rękopis znaleziony w Saragossie”. Z Bogumiłą Kobielą założył słynny w kraj satyryczny teatrzyk studencki „Bim-Bom”. Ostatnią rolę w dorobku Zbyszka była kreacja w filmie „Morderca zostawia ślad”. Ale telewizyjna wersja „Tramwaju zwanego pożądaniem” – miał wystąpić w duecie z Marleną Dietrich – nie została zrealizowana.

8 stycznia 1967 roku Marlena Dietrich odprowadziła Zbyszka na dworzec wrocławski, była świadkiem

tragedii. Wskakiwanie do pociągu w ruchu była jego, niepojęta dla innych, pasją. Film „Salto” rozpoczyna się wyskokiem z pociągu a kończy wskokiem.

W roku 1968 Andrzej Wajda wyreżyserował film fabularny „Wszystko na sprzedaż”, będący hołdem, pożegnaniem i akceptacją mitu.

Od 1959 roku zespół jurorów przyznaje specjalną Nagrodę im. „Zbyszka Cybulskiego” młodym, utalentowanym aktorom, wyróżniającym się wybitną indywidualnością artystyczną.

50. rocznica jego śmierci zainspirowała środowiska artystyczne do ogłoszenia roku 2017 „Rokiem Zbyszka Cybulskiego”.

Pasażer pociągu osobowego opowiada współpodróżnym o swoich niezwykłych wояażach po świecie. W pewnym momencie jeden ze słuchaczy zapytuje: „*Panie, a geografię zna pan choć trochę?*”

„Podróżnik” nie tracąc animuszu, odpowiada: „*Niestety, tam jeszcze m byłem, ale oprócz Geografii zwiedziłem cały świat...*”.

Między fabułą filmu „Cała naprzód” a powyższą anegdotką zachodzą pewne analogie. Główny bohater – Zbyszek Cybulski spotkawszy w szczecińskiej restauracji kolegę, z którym nie widział się prawie dziesięć lat, opowiada mu – podobnie, jak ów pasażer – swoje romantyczno-awanturnicze przygody przeżyte podczas swego kilkuletniego zatrudnienia na różnych statkach. W miarę opowiadania fantazja tak go ponosi, że kolega orientuje się w końcu, że to wszystko błąga.

Z tych właśnie opowiadań – nowelek składa się całość filmu reżyserowanego przez Stanisława Lenartowicza. W większości nowelki były kręcone na statkach PŻM*, w morzu, w Szczecinie i Afryce, niektóre fragmenty przygotowano w studio, natomiast realizacja końcowej fazy filmu wymagała rekwizytu w postaci starego typu statku. W porcie szczecińskim reżyser Lenartowicz widział kilka nadających się do tego celu jednostek – lecz, niestety, należały do armatorów spod panamskiej bandery. Zaczarterowanie zaś takiego stat-

ku choćby nawet na kilka dni było rzeczą absolutnie niemożliwą ze względów eksploatacyjnych.

Różne osoby związane z żeglugą i portem zapytywane przez reżysera o jakąś starą krypę, należącą oczywiście do krajowego armatora, rozkładały bezradnie ręce. Dopiero kiedy reżyser wypuścił się do portu na własną rękę, ujrzał przy nabrzeżu Starówka starą wysłużoną „Wisłą”. Ten dawny PŻM-owski parowiec, pełniący funkcję lichtugi**, doskonale nadawał się do zagrania w filmie roli statku-widma.

Dyrekcja zarządu portu posłała filmowcom na rękę i zgodziła się udostępnić im swoją lichtugę.

W poniedziałek 22 sierpnia 1966 roku parowiec „Wisła” został przeholowany ze Szczecina na Zalew i zakotwiczony w pobliżu wyspy Chełminek. Gorączka

kręcenia na lichtudze opanowała filmowców jeszcze przed holowaniem. Ha trasie wydarzył się dość zabawny incydent. Filmowcy zaangażowali na statystów kilku członków załogi, których przebrali i odpowiednio ucharakteryzowali. W pewnym momencie dowódca lichtugi potrzebował pilnie bosmana Edwarda Kwiatkowskiego. Nikt nie mógł go znaleźć. Na wezwanie przez tubę przybiegł na mostek facet opalony na brązowo, z opaską na lewym oku, przebrany za pirata i zziąjany zawołał: „Już jestem!”.

– *To pan, panie bosmanie?* – zapytali koledzy z załogi. – *Toż rodzona żona by pana nie poznała!..*

Podczas postoju na kotwicy filmowcy nadali statkowi nową nazwę „Rosita”, którą wymalowali na wszystkich kołach ratunkowych. Zmienili także banderę, zawiesza-



Zbigniew Cybulski. Kadr z filmu „Cała naprzód”

jąc na maszcie bajecznie kolorową flagę z dziwnym godłem. Flagą tą były później przykryte zwłoki zaszytowanego w bójce marynarza. Pogrzeb odbył się zgodnie z ceremoniałem morskim; jego ciało zaszyte w żaglowe płótno zostało spuszczone za burtę tuż przed wschodem słońca. Zaznaczyć się godzi, iż filmowcy przygotowując tę scenę konsultowali się z oficerami PMŻ, żeby uniknąć ewentualnych uchybień. „Marynarski pogrzeb” w filmie był oryginalną ciekawostką.

Dźwiękowcy pod wodzą operatora inż. St. Piotrowskiego, przygotowując oprawę akustyczną filmu, nagrali na taśmę szereg efektów dźwiękowych, charakterystycznych dla statku. Wiadomo, że efektownym dźwię-

kiem jest buczenie syreny, często słyszy się ją w filmach w postaci bezładnych ryków. W „Cała naprzód” odgłos syreny to konkretne sygnały, autentyczne też były wszelkie komendy wydawane z mostku kapitańskiego do stanowisk manewrowych i holowników.

Czas powiedzieć słów kilka o statku, który zagrał rolę „Rosity”.

Jak już wspomniałem – była nią staruszka „Wisła”, najszcześniejszy statek w naszej flocie.

Warto choć w skrócie przypomnieć jego biografię. Parowiec został wybudowany w 1928 roku w Anglii. Największą chwałą jednak okryła go ostatnia wojna. W roku 1940, po kapitulacji Francji załoga „Wisły”

Zbigniew Hubert CYBULSKI (ur. 3 listopada 1927 w Książach, zm. 8 stycznia 1967 we Wrocławiu) – polski aktor teatralny i filmowy, uważany za jednego z najwybitniejszych i najpopularniejszych aktorów powojennej Polski. Jego największym osiągnięciem filmowym jest rola Maćka Chełmickiego w filmie „Popiół i diament” z 1958 roku, w reżyserii Andrzeja Wajdy. 8 stycznia 1967 wpadł pod koła pociągu na terenie wrocławskiego dworca kolejowego i doznał ciężkich obrażeń ciała. Zmarł w szpitalu tego samego dnia.

Był absolwentem gimnazjum im. Jędrzeja Śniadeckiego (obecnie I Liceum Ogólnokształcące im. Jędrzeja Śniadeckiego) w Dzierżoniowie (1947) oraz PWST w Krakowie (1953). W tym samym roku zadebiutował w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku w sztuce „Intryga i miłość” Friedricha Schillera. Rok później zaprezentował się w swoich dwóch pierwszych rolach filmowych w produkcjach „Pokolenie” i „Kariera”. Wówczas też, razem z Bogumiłem Kobielą, założył artystyczny teatrzyk studencki „Bim-Bom” w Gdańsku, którego był dyrektorem. Zagrał również w filmach „Ósmy dzień tygodnia” A. Forda i „Krzyż walecznych” K. Kutza (ten pierwszy został wstrzymany przez cenzurę w Polsce przez ponad 20 lat).

Największą popularność przyniósł Cybulskiemu film „Popiół i diament” z 1958 roku, wyreżyserowany przez Andrzeja Wajdę, oceniany jako jedna z najlepszych produkcji w historii polskiej kinematografii. Film nominowany został do nagrody Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych. Na początku lat 60. aktor przeprowadził się do Warszawy, gdzie występował w Kabarecie Wągabunda, Teatrze Ateneum. Grał tam w takich sztukach jak „Kapelusz pełen

deszczu”, „Dwoje na huśtawce” czy „Pierwszy dzień wolności”. Występował w spektaklach Teatru Telewizji, m.in. w produkcjach „Murowane alibi” Janusza Morgensterna, „Podwórko” Andrzeja Jarockiego, „Romans prowincjonalny Kornela Filipowicza” czy „Zatrzaśnij ostatnie drzwi” na podstawie tekstu Trumana Capote’a. W 1960 roku wystąpił w kolejnym filmie Wajdy „Niewinni czarodzieje”. Dzięki zdobytemu uznaniu za „Popiół i diament” otrzymywał role w produkcjach zagranicznych: francuskich filmach „Herbata i mięta” (1961), „Lalka” (1962), a także w międzynarodowym przedsięwzięciu „Miłość dwudziestolatków”. W 1964 zagrał w szwedzkim filmie „Kochać” i „Rękopis znaleziony w Saragossie” nakręconym na podstawie powieści Jana Potockiego. Ta druga rola uważana jest za jedną z najlepszych w jego karierze.

Zagrał w wysoko ocenianych filmach „Salto”, „Mistrz” i „Jowita”. Miał wystąpić w telewizyjnej wersji sztuki „Tramwaj zwany pożądaniem” w Stanach Zjednoczonych, a także nakręcić film z Marleną Dietrich. Oba projekty nie zostały jednak zrealizowane z powodu śmierci aktora. Ostatnią rolą w dorobku aktorskim Cybulskiego była kreacja w filmie „Morderca zostawia ślad” (1967).

Wyrazistość kreowanych przez siebie postaci, charakterystyczny ubiór i gra aktorska, a także śmierć przyczyniły się do powstania wokół osoby Cybulskiego pewnej legendy, mitu, nadając mu rangę postaci kultowej w polskim kinie powojennym. Aktor nosił zwykle amerykańską wojskową kurtkę, dzinsy, chlebak oraz charakterystyczne przyciemniane okulary. Jego sposób ubierania się był obiektem podziwu ówczesnej młodzieży. Wiele osób naśladowało jego styl.

odznaczyła się brawurową ucieczką z Senegalu. Z francuskich kolonii wydostały się wówczas wszystkie polskie statki z wyjątkiem „Oksywia”, które wraz z 60. statkami brytyjskimi było internowane w portach francuskiej Afryki. Następny etap wojennej służby – to ewakuacja Dunkierki i trudny rejs po wodach północnego Atlantyku z rodzinami i dziećmi polskich marynarzy z Anglii do Nowego Jorku. Włączany był niezliczoną ilość razy do konwojów, które przewoziły przez Atlantyk w tamtych latach kanadyjską pomoc wojenną dla Wielkiej Brytanii. Naprzeciw konwojom wychodziły wilcze stada niemieckich okrętów podwodnych i zniemacka atakowały torpedami. „Wisła”

ze swoją szybkością 6-8 węzłów wlokła się zwykle w ogonie konwoju. Kiedy doganiała kolumnę statków zajętych jeszcze walką z hitlerowskimi okrętami, zbierała po drodze rozbitków z zatopionych jednostek. W ten sposób uratowała życie marynarzom kanadyjskiej kanonierki „Otter”, fregaty „Ichten” i innym. Podczas jednego z konwojów stanął w płomieniach tankowiec brytyjski „Bulysses”. „Wisła” podeszła do niego jak najbliżej i wyłowiła z wody szalupę z 20. członkami załogi. Wśród rozbitków, w większości byłych kieszonkowców z Szanghaju, nie zauważono ani jednego oficera. Na polecenia kapitana Stanisława Szworca spuszczone z „Wisły” szalupy, które popłynęły do płonącego

Prowadził nonkonformistyczne życie na krawędzi, na jakie tylko pozwalały polskie realia tamtych lat. Sprawiał wrażenie osoby łamiącej wszelkie konwencje. Wydawał się ciągle gdzieś spieszyć i nie zwracał uwagi na to, co go nie interesowało. Taka postawa budziła porównania do amerykańskiego aktora Jamesa Deana, uważanego za kreatora wizerunku „buntownika bez powodu”, „żyjącego na krawędzi”.

30 sierpnia 1960 roku zawarł związek małżeński w Sopocie z Elżbietą Chwalibóg. Wesele odbyło się w kaszubskiej wsi Chmielno. Wzięło w nim udział wielu artystów z całej Polski. Z małżeństwa z Elżbietą Chwalibóg pochodził jego syn, Maciej Cybulski (ur. 30 stycznia 1961 r., zm. 19 lutego 2016 r.).

Zbigniew Cybulski był kuzynem nauczyciela Wojciecha Jaruzelskiego. Matka aktora, Ewa (1903–1987), nosiła nazwisko rodowe Jaruzelska i była córką Izabeli z Krzysztofowiczów (rodzina polskich Ormian) i Józefa Jaruzelskiego. Niektórzy spośród biografów Cybulskiego z powodu zbieżności imion i nazwisk mylnie utożsamiają pedagoga Wojciecha Jaruzelskiego z Dzierżoniowa z generałem Wojciechem Jaruzelskim (choć był on także daleko spokrewniony z Cybulskim). Ojcem aktora był Aleksander Cybulski (1896–1965), przed wojną urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Cybulski miał jednego młodszego brata Antoniego (1931–2009), który z zawodu był prawnikiem.

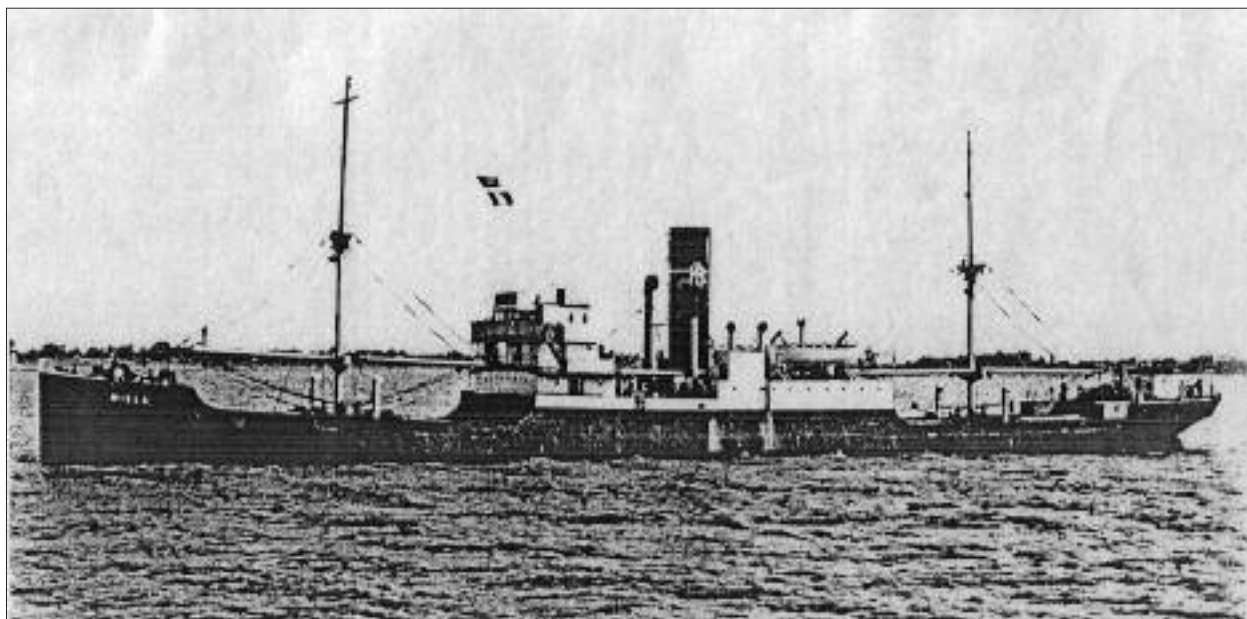
Był człowiekiem religijnym, o czym świadczył ksiądz Stanisław Sierla.

Zbigniew Cybulski prowadził bardzo intensywny tryb życia. Przemieszczał się po całym kraju jeżdżąc pociągami, do których zazwyczaj wskakiwał w ostatnim momencie. Podobne sceny pojawiają się

w wielu filmach, w których zagrał (np. w filmie „Pociąg” konduktor parokrotnie zwraca mu uwagę, kończąc kwestią w 77. minucie filmu *„Wsiadaj pan, no wsiadaj pan! Koniecznie chce pan trafić do szpitala”*; film „Salto” rozpoczyna się sceną, w której Cybulski wyskakuje z pociągu, a kończy sceną, w której wskakuje do pociągu; w filmie „Pokolenie” Cybulski w jednej z pierwszych scen wskakuje z kolegami na pociąg towarowy wiozący węgiel w celu jego kradzieży).

8 stycznia 1967 Cybulski był w towarzystwie Alfreda Andrysa na dworcu Wrocław Główny, wracając z kręconych dzień wcześniej zdjęć do filmu „Morderca zostawia ślad”. Próbuąc wskoczyć do pociągu ekspresowego „Odra” odjeżdżającego z 3. peronu o godz. 4.20 do Warszawy, Cybulski wpadł pod jego koła i doznał ciężkich obrażeń ciała. Zmarł we wrocławskim Szpitalu Specjalistycznym im. Ludwika Rydygiera, po trwającej godzinę walce o życie, około godz. 5.25 przy ratującym go dr Zygmuncie Sicińskim. Został pochowany na cmentarzu katolickim przy ul. Henryka Sienkiewicza w Katowicach w grobowcu rodzinnym. Między władzami (które nie chciały zezwolić na katolicki pogrzeb) i rodziną miał miejsce spór o sposób pochówku. W 2007 na grobowcu tym postawiono głaz z krzyżem i płaskorzeźbą przedstawiającą aktora. W grobowcu tym pochowano również jego rodziców oraz brata.

W miejscu tragicznego wypadku, na posadzce peronu 3 dworca Wrocław Główny, została wmurowana tablica pamiątkowa, którą odsłonił Andrzej Wajda w 30. rocznicę śmierci aktora (1997).



Parowiec „Wisła” – bohater filmu „Cała naprzód”

statku. Na rozpalonym jak patelnia pokładzie stali wszyscy oficerowie. Mimo wielkiego niebezpieczeństwa uratowano ich i przywieziono na „Wisłę”. Okazało się, że skoro tylko „Bulysse” stanął w ogniu, „kieszonkowcy” i gangsterzy, łamiąc dyscyplinę statkową – czym prędzej spuścili szalupę pozostawiając na statku swoich przełożonych na pastwę płomieni.

Na „Wisłę” cała banda przebywała na pokładzie szalupowym w pobliżu łodzi. Dowództwo przewidując ich nieczne zamiary na wypadek nieszczęścia, postawiło przy szalupach uzbrojonych strażników.

W sumie „Wisła” uratowała życie podczas wojny około 1000 rozbitkom. Dokładnego bilansu nikt nie jest w stanie sporządzić. Przez całą wojnę ani razu nie była zaatakowana torpedami. Szczęście swoje zawdzięczała wyłącznie małej szybkości, dzięki której nie nadążała za konwojami. Niemcom nie opłacało się atakować samotnego statku, aby nie zwrócić uwagi eskortujących okrętów.

Dziś „Wisły” już nie ma w naszej flocie. Po 33 latach dzielnej służby, wyłącznie pod polską banderą, została przejęta w styczniu 1961 roku przez Zarząd Portu Szczecin i zaadaptowana na lichtugę. Ex „Wisła” często kursowała po porcie szczecińskim z pomocą holowników; ładownie wypełniał przeważnie cement. Starzy marynarze ilekroć spotykali ją w porcie – salutowali. W ich pamięci parowiec „Wisła” pozostał na zawsze symbolem dobrze wypełnionego marynarskiego obowiązku....

Wydawać by się mogło, że w życiu tego statku nic się już nie zmieni, że do ostatnich swoich dni skazany będzie wyłącznie na magazynowanie cementu. Tymczasem pod koniec sierpnia 1966 roku odbył swój najświetniejszy w czasie pokoju rejs. Jeśli oglądając film „Cała naprzód” zauważymy na ekranie charakterystyczną sylwetkę trójżółtowego parowca – przypomnijmy sobie, że to właśnie „Wisła” – najbardziej zasłużony statek polskiej Marynarki Handlowej.

Sesja zdjęciowa dobiegła końca. Z burt, rufy oraz kół ratunkowych usunięto nazwę „Rosita: i „Wisła” powróciła do nabrzeża Starówka w porcie szczecińskim. A ekipa filmowców z reżyserem Stanisławem Lenartowiczem, Zbyszkim Cybulskim, Kuźniarem, Litwinem i pozostałymi aktorami spotkała się z miłośnikami kina w Bramie Królewskiej. Przybyła załoga „Wisły” występującą na s/s „Rosita” w roli statystów i marynarze, autentyczni uczestnicy konwojów. Chętnie dzielili się wspomnieniami wojennymi, które bardzo zainteresowały aktorów, reżysera i przybyłą publiczność. Starszy mechanik, inżynier Jerzy Gawlikowski, przypomniał zdarzenie, które rozślawiło „Wisłę”, kapitana Pawła Traczewskiego i załogę w całej Kanadzie...

Patrolowiec „Otter” nieopodal Nowej Funlandii został storpedowany przez niemiecki okręt podwodny. 36 marynarzy z dowódcą porucznikiem marynarki znalazło się za burtą. 23 uratowała załoga „Wisły”. 9 żywych wyłowili z morza brytyjski okręt podwodny. Podczas akcji

„CAŁA NAPRZÓD” (1966 r.) – czarno-biała awanturniczo-przygodowa komedia o morzu i marynarzach ze Zbigniewem Cybulskim w roli głównej, nakręcona m.in. w egzotycznych portach Afryki Zachodniej. Janek (Zbigniew Cybulski) jest młodym, pełnym temperamentu marynarzem floty handlowej. Pewnego dnia natyka się w porcie szczecińskim na kolegę z wojska, Leona (Zdzisław Maklakiewicz). Przypadkowe spotkanie przedłuża nagła ulewa, która zmusza mężczyzn do schronienia się pod jednym dachem. Korzystając z okazji Leon chętnie się swymi życiowymi sukcesami – domem, rodziną, dobrymi zarobkami. Janek nie pozostaje mu dłużny. Sprowokowany przechwałkami kolegi opowiada, koloryzując coraz bardziej, o urokach życia na morzu, których nigdy nie zaznają „szczury lądowe”. W jego relacji życie marynarza to niekończące się pasmo wspaniałych, ekscytujących przygód, jak dramatyczny romans z tajemniczą baronową Glorią, potyczka z bandą narkotykowych handlarzy na statku, czy bardzo ryzykowna pomoc w ucieczce z haremu udzielona pięknej Polce, która lekkomyślnie związała się małżeństwem z egzotycznym partnerem. Gdy przestaje padać, panowie rozstają się w poczuciu cichego żalu do losu – Janek za brak życia rodzinnego, a Leon za życie monotonne, pozbawione fantazji. Reżyseria: Stanisław Lenartowicz.

Sekwencje morskie częściowo realizowano podczas rejsu na pokładzie statku. Pozostałe ujęcia, które rozgrywały się na mostku kapitańskim czy pod pokładem statku (kajuty, kubryk, ładownie), nakręcono w dekoracjach wybudowanych we wrocławskim atelier. Dekoracje te umieszczono na specjalnych sprężynach, dzięki którym osiągnięto efekt kołysania statku. Egzotyczne sceny filmu kręcono w autentycznych plenerach zachodnich wybrzeży afrykańskich, m.in. w Casablance, na Wyspach Kanaryjskich i w Dakarze. We wrocławskiej wytwórni wybudowano także wnętrza marokańskiego haremu, portowe tawerny oraz komnaty skandynawskiego zamku. Sekwencje spinające klamrą film nakręcono w Szczecinie – na Łasztowni i w porcie, oraz na Zalewie Szczecińskim.

Premiera filmu odbyła się 14 kwietnia 1967 roku w Klubie „13 Muz” w Szczecinie, już po tragicznej śmierci odtwórcy głównej roli, Zbigniewa Cybulskiego.

ratowniczej bosman i jeden z marynarzy uwięzieni na linie wyłowili 8 Kanadyjczyków, z których tylko 3-ch przywrócono do życia. Ofiarna akcja ratownicza wywołała żywy oddźwięk w Kanadzie. Wysoki Komisarz Kanady złożył podziękowanie Rządowi RP w Londynie za ofiarną akcję ratowniczą załogi parowca „Wisła”.

Inż. Gawlikowski zapytał reżysera Lenartowicza, czy słyszał o Stanisławie, synu Aleksandra Zelwerowicza***?

– *Raczej mało* – odrzekł. – *Wiem, że nie wrócił z Zachodu do kraju po zakończeniu wojny...*

– *Państwową Szkołę Morską w Tczewie* – mówił inż. Gawlikowski – *ukończył w 1929 roku, był znakomitym marynarzem, podobnie jak jego ojciec wybitnym artystą.*

Kapitan żeglugi wielkiej Stanisław Zelwerowicz ustanowił niesamowity rekord: przez 4 lata nieprzerwanie dowodził frachtowcem „Morska Wola” w konwojach na szlaku transatlantyckim. 4 lata stresu i podwyższonej adrenaliny, nieustanne zagrożenie nawodne, podwodne i z powietrza...

Wracamy na pokład „Wisły”, z którą związany byłem przez 7 lat. Wraz z s/s „Niemen” zbudowana została w angielskiej stoczni Graig Taylor & Co Ltd Stokton upon/Tees na pierwsze tego typu zamówienie

rządu RP. Dotąd i później kupowano statki okazjnie i nie nowe. Parowiec „Niemen” zatonał 1.09.1932 roku po kolizji z żaglowcem „Lawhill”. Wcześniej, bo w kwietniu 1931 roku, „Wisła” zderzyła się we mgle z m/s „Rose” bandery niemieckiej. Wobec groźby zatonięcia kapitan osadził ją na mieliźnie. Po dwutygodniowej akcji ratowniczej i remoncie w stoczni weszła do eksploatacji. Po przygodzie z mielizną „Wisła” stała się szczęśliwym statkiem po wsze czasy. Nie wszystkim frachtowcom w atlantyckich konwojach dopisywało powodzenie w równej mierze co „Wiśle”.

W roku 1975 „Wisła” odbyła swą ostatnią podróż do Gandawy, gdzie została pocięta na złom...

Kpt. ż.w. Piotr Dymitr WISZNIEWSKI

* PŻM – Polska Żegluga Morska.

** Lichtuga – ogólnie niewielki statek przeważnie bez napędu, o płaskim dnie i małym zanurzeniu zdolny do dowozu towaru w płytsze miejsca np. ujście rzeki. Od typowej barki rzecznej różni się przystosowaniem do żeglugi po otwartym morzu.

*** Aleksander Zelwerowicz (1877–1955) – wybitny polski aktor, reżyser, dyrektor teatru, pedagog.

ŚWIAT BEZ WOJEN, A DZIECI BEZ STRESÓW

Wywiad z Walentyną Bondarowską

Wchodzę do 9-piętrowego domu, który, niby wieża, góruje na wzgórzu nad Kreszczatikiem. Budynek powstał tuż po wojnie, a budowali go w części Niemcy jeńcy. Wjeżdżam nowoczesną windą na siódme piętro. Duże trzypokojowe mieszkanie. Przez okno rozciąga się rozległy widok na Besarabkę i całe centrum Kijowa, z wieloma powstałymi ostatnio wysokimi domami. We wszystkich pokojach pełno książek. Na ścianach portrety członków rodziny...

Rozmawiam z wybitną ukraińską uczoną, doktorem nauk psychologicznych i działaczką społeczną Walentyną Matwiejewną Bondarowską. Znana mi jest od czasu studiów w Politechnice Kijowskiej. Pamiętam, że widywaliśmy się na zajęciach kółka matematycznego. Imponowała mi jej znajomość najtrudniejszych rozdziałów matematyki. Wyjaśniam cel mojej dzisiejszej wizyty: przybliżyć polskiemu czytelnikowi jej postać.

– *Walu, na początek opowiedz coś o sobie i rodzinie.*

– Urodziłam się w 1937 roku w Kijowie. W czasie wojny straciłam ojca i matkę. Zajął się mną siostra matki, którą do dziś uważam za mamę i z którą mieszkam. Właśnie w tym roku ukończyła 102 lata. (Starsza pani przysłuchiwała się rozmowie. Zmarła w 2013 r. w wieku 106 lat – *przyp. JF*). Mąż, Władlen Burianow, geofizyk, polskiego pochodzenia, zmarł w 2001 r. Córka Julia, nazwana tak po polskiej babce, ukończyła Kijowski Instytut Sztuk Pięknych, magisterium zrobiła w Montrealu i pozostała w Kanadzie. Tam wyszła za mąż za Ukraińca i tam podjęła pracę. Corocznie mnie odwiedza, a czasami spotykamy się w USA lub Kanadzie, gdy jestem tam na konferencjach. A ja, jak wiesz, ukończyłam Politechnikę Kijowską z wyróżnieniem w 1960 r. jako inżynier elektrotechnik.

– *Pamiętam Ciebie jako zdolnego matematyka z zajęć kółka matematycznego. A dziś jesteś wybitnym psychologiem. Skąd u Ciebie, człowieka o ścisłym inżynierskim umyśle, wzięło się to ogromne zafascynowanie psychologią, a więc humanistyczną nauką o zjawiskach i procesach ludzkiego umysłu i uczucia?*

– Być może wynika to stąd, że po stracie rodziców podczas wojny już od najmłodszych lat zastanawiałam

się, co zrobić, by ludzie nie wojowali, przecież zawsze można się dogadać. Już od szkoły działałam wśród ludzi, organizowałam ich do wspólnych spraw, byłam społeczniką. W szkole uważano mnie za humanistkę, choć ze zdolnościami do nauk ścisłych. Gdy wybierałam kierunek studiów, w naszym radzieckim społeczeństwie trwała walka z kosmopolityzmem, mendelizmem, wajsmanizmem. Znałam psychologów, którzy pracowali jako radiotechnicy. Zawód inżyniera wydawał się pewniejszy. Dlatego znalazłam się w Politechnice. Ale po jej ukończeniu kontynuowałam studia na aspiranturze w Instytucie Psychologii w Kijowie. W 1967 r. obroniłam pracę doktorską na wydziale psychologii Uniwersytetu Moskiewskiego im. M. Łomonosowa. Po studiach pracowałam w Instytucie Cybernetyki, Instytucie Psychologii, Instytucie Urządzeń Perryferyjnych „Elektronmasz”, następnie kierowałam oddziałem psychologii i ergonomiki Zjednoczenia Naukowo-Produkcyjnego „Misksystemotechnika” (dziś jest to Instytut Informatyki Stosowanej). Później dwa lata uzupełniałam wykształcenie w uniwersytecie w stanie Colorado (USA). Angażowałam się jako ekspert lub konsultant z dziedziny komputeryzacji i ergonomii w prace wykonywane dla organizacji rządowych. Jestem prezydentem Ukraińskiej Asocjacji Ekologii Komputerowej, wiceprezydentem Asocjacji Psychologów Zawodowych, członkiem Rady Ogólnoukraińskiej Asocjacji Ergonomiki, członkiem Światowej Asocjacji Psychologii Stosowanej. W 1994 r. zostałam dyrektorem Międzynarodowego Centrum Humanitarnego ROZRADA i kieruję nim do dziś, choć już dawno jestem emerytką.

– *Właśnie, ROZRADA (po polsku: pocieszenie) – to, jak słyszałam, niezwykle interesująca i pożyteczna instytucja. Czym się zajmuje?*

– Jest to niepaństwowy ośrodek praktycznej psychologii, finansowany z różnych źródeł międzynarodowych. Centrum ROZRADA, za środki z funduszu UNICEF Organizacji Narodów Zjednoczonych, realizowało wiele programów, np. „Psychologiczna rehabilitacja i pomoc rodzinie” (otrzymaliśmy wówczas dyplom Sekretariatu ONZ), „Zapobieganie przemocy wobec kobiet” i inne. Łącznie koordynowaliśmy ponad

30 międzynarodowych projektów z dziedziny zapobiegania następstwom przemocy w rodzinie i okrutnego postępowania z dziećmi. Wydaliśmy mnóstwo broszur, publikowaliśmy artykuły w prasie, było wiele audycji telewizyjnych i radiowych, w których występowałam ja lub moi współpracownicy. Oto, na pamięć, ostatnia nasza książeczka.

Walentyna kładzie przede mną książkę po ukraińsku pod tytułem „Rozpoznać, obronić, dopomóc – metodyczne materiały dla specjalistów, którzy bezpośrednio pracują z ludźmi, jacy ucierpieli z powodu domowej przemocy”. Wydała ją Centrum ROZRADA ze środków UNIFEM ONZ, a Ministerstwo Ukrainy do spraw Rodziny, Młodzieży i Sportu zaleca ją do stosowania. Przeglądam książkę. Sześciu autorów na stu stronach rozpatruje różne sytuacje życiowe w rodzinie, klasyfikuje je, ocenia pod względem stresowego wpływu na dzieci, proponuje metody psychoterapii dla dzieci.

– *Widzę, że jest to naukowo opracowana książka, która może mieć wpływ na poprawę sytuacji w społeczeń-*

stwie. W ubiegłym roku zapoznałem się z poprzednimi Twoimi broszurami z tej serii. Gratuluję ciekawych badań i podziwiam ogromne zaangażowanie. Czy wykonasz badania w pracy naukowej?

– Oczywiście. Jestem autorką ponad 250 prac naukowych i artykułów, opublikowanych po ukraińsku, rosyjsku lub angielsku w wydawnictwach różnych krajów. Mam wielu znajomych i przyjaciół wśród znanych naukowców świata. Wraz z nimi uczestniczę lub współorganizuję międzynarodowe kongresy i konferencje naukowe. Właśnie niedawno wróciłam z takiej konferencji w Stanach Zjednoczonych. Byli tam wybitni uczeni psychologowie z całego świata. Swoim doświadczeniem dzielę się z młodzieżą. 26 lat prowadziłam wykłady z praktycznej psychologii w Uniwersytecie Kijowskim, Instytucie Kultury, Instytucie Reklamy. Kierowałam pracami dyplomowymi młodych psychologów. Mam nadzieję, że wniosę swój wkład do nauki psychologii na Ukrainie.



Walentyna Bondarowska w swoim kijowskim mieszkaniu

– *Przejrzałem książkę, którą mi dałaś. W czwartym rozdziale omawia się w niej metody pracy z dziećmi, które ucierpiały z powodu przemocy. To temat aktualny wszędzie, także w Polsce. Co mogłabyś zarekomendować czytelnikowi, którego interesuje ten problem?*

– Przede wszystkim, jeżeli już dziecko doznało urazu psychicznego, psycholog musi nawiązać z nim kontakt, co wcale nie jest proste. Psycholog rozpoznaje symptomy stresowych zaburzeń posttraumatycznych, którymi mogą być: nieprzyjemne wspomnienia, sny, iluzje, halucynacje, specyficzne zachowania, unikanie bodźców przypominających uraz (miejsce, ludzie, rzeczy), psychogenna amnezja, blokowanie reakcji emocjonalnych, obcość w stosunku do ludzi, zawężenie spektrum emocji, zawężenie widoku perspektywy życiowej; ale mogą też być: stałe przejawy podniecenia, wybuchy gniewu, słaba koncentracja uwagi, strach, trudność zasypiania, budzenie się w nocy, fizjologiczne reakcje na sytuacje podobne do znanej z urazu, dezadaptacja socjalna. W zależności od wieku dziecka symptomy te występują w różnym natężeniu: u młodszych dzieci – zwykle strach, naruszenie snu, brak apetytu, u starszych – niedowierzanie ludziom, ambiwalentność, agresja. Rolą psychologa jest zorientowanie się w sytuacji na podstawie symptomów, co wymaga niekiedy przeprowadzenia z dzieckiem wielu spotkań, zwanych przez nas konsultacjami. Psycholog podczas spotkań musi przede wszystkim aktywnie słuchać, by ustalić, na czym polega problem, co odczuwa dziecko i czego oczekuje od niego. Może zastosować terapię zabawą. Dziecko, bawiąc się lalkami, plasteliną, malując, może ukierunkować psychologa na zrozumienie situa-

cji, poznanie rodzajów i przyczyn urazu (np. dziecko identyfikuje się z pokrzywdzoną lalką). Z kolei psycholog może podpowiedzieć dziecku rozwiązanie problemu (np. rysując na papierze naczynia, które dziecko ma zapełnić różnymi rozwiązaniami). Jeżeli psycholog sam nie jest w stanie pomóc w zastosowaniu rozwiązania (np. ukarać sprawcę urazu), powinien to omówić z dzieckiem i jego rodzicami. Rozwiązania, jakie dziecko ustali, także za podpowiedzią psychologa, powinny być realistyczne, to jest możliwe do wykonania przez dziecko i jego rodzinę. Przy następnej konsultacji psycholog prosi dziecko, by poinformowało, co udało się dotychczas osiągnąć, by wykonać zamierzenia. Takie podejście przyucza dziecko do systematyczności, a psychologa informuje o efektywności jego starań. Nawet ostatnia wizyta u psychologa nie powinna zamykać dziecku możliwości ponownego spotkania się i porozmawiania o swoich kłopotach lub ich przezwyciężaniu. Taką drogę pracy z dziećmi zalecamy psychologom w naszym nowym poradniku Międzynarodowego Centrum Humanitarnego ROZRADA.

– *Bardzo dziękuję i życzę dalszych starań na rzecz realizacji idei: świat bez wojen, a dzieci bez stresów.*

Rozmawiał
Janusz FUKSA

(Rozmowa miała miejsce w 2009 r. Wywiad ukazał się we wrocławskiej GAZECIE POŁUDNIOWEJ nr 9/2010 z 15.09.2010 r.).

Dom przy ul. Kreszczlik,
w którym mieszka
Walentyna Bondarowska



ISZCHAN NAZARIAN – ARTYSTA TROJGA NARODÓW

Pochodzi z pierwszego w dziejach ludzkości narodu i państwa chrześcijańskiego. Z narodu też najbardziej wykształconego i srodze doświadczonego przez historię. Jest genetycznym Ormianinem.

Przypomnijmy, że pierwszym państwem chrześcijańskim w 301 roku stało się właśnie Imperium Armenii, którego król Tiridat Wielki ogłosił naukę Chrystusa za oficjalne wyznanie swego narodu. Wówczas to państwo liczyło już sobie ponad 2,5 tysięcy lat historii, było „zastarzałe”, a językiem kultury była tu greka oraz język syryjski i w mniejszym zakresie perski. W 405 roku kapłan kościoła ormiańskiego Mesrop Masztoc (361–440) stworzył oryginalny alfabet ormiański, złożony z 36 liter, które jednocześnie są liczbami. Teksty w tym języku pisze się i czyta z góry do dołu. „Biblia” (*Septuaginta*) została w całości przetłumaczona w 441 roku. Nowa religia dała nowy impuls rozwojowi państwa. W tym okresie założono w całym kraju sieć szkół, a na język ormiański przełożono dzieła Arystotelesa, Platona, Seneki, Jana Złotoustego, Hermesa Trysmegystesa i innych mędrców starożytności. Niektóre z tych tekstów zresztą przetrwały do dnia dzisiejszego wyłącznie w ormiańskim tłumaczeniu, przechowywane pieczołowicie w niedostępnych klasztorach górskich. Oryginalnym myślicielem, autorem dzieł naukowych „*Definicja filozofii*”, „*Rozważanie «Analityków» Arystotelesa*” i innych był wybitny uczony Dawid Anacht. W tym czasie na Kaukazie domino wało przekonanie, iż Jezus Chrystus był z pochodzenia Alanem (Osetyjczykiem, jak później Józef Dżugaszwili-Stalin!), członkiem jednego z „małych” aryjskich narodów tej górskiej prowincji.

W XIV wieku cywilizacja Armenii legła w gruzach, a naród został po części wymordowany, po części zaś rozproszony przez najeźdźców muzułmańskich; nawet święta góra Ararat, symbol Armenii, znalazła się w obrębie Turcji. W 1364 roku uciekinierzy z podbitej ojczyzny wzniesli we Lwowie pierwszy kościół ormiański; do dziś ogromna większość tego narodu żyje w diasporze poza granicami swego państwa, wszędzie jednak pielęgnuje wiarę i tradycje chrześcijańskie.

Gdy bolszewicy w 1920 roku przechwycili władzę w Armenii, przede wszystkim zamknęli i po części zrujnowali ponad 1400 górskich klasztorów, z których każdy był jednocześnie ośrodkiem myśli filozoficznej, teologicznej, naukowej, a także i zakładem dydaktycz-

nym, po to, aby pozbawiając ten starożytny i genialny naród tradycji duchowej, uczynić z niego, podobnie jak z innych narodów, przysłowiowe „stado baranów”, posłusznie wykonujące polecenia komisarzy. Wielu Ormian musiało wtedy uchodzić do sąsiedniego Iranu, Indii, Libanu, Europy. A druga połowa kraju, razem z historycznym symbolem Armenii, górą Ararat, padła ofiarą agresji tureckiej. Sytuacja tragiczna. A jednak nawet pod kółkami okupacji sowieckiej i tureckiej naród ormiański potrafił zachować dużą część swego wielkiego dziedzictwa kulturowego i przywiązanie do tradycji ojczystej. Dotyczy to także licznej diaspory ormiańskiej, rozsianej po całym globie ziemskim: ogromna większość Ormian mieszka obecnie poza granicami Republiki Armenii, która, nawiasem mówiąc, stanowi pod względem terytorialnym zaledwie drobny ułamek dawnego potężnego imperium chrześcijańskiego.

Iszchan Nazarian to znakomity artysta plastyk, mieszkający obecnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki, lecz przez ukochaną żonę i urok kultury polskiej „wynarodowiony” do takiego stopnia, że uważa się nie tylko za Ormianina, ale też za Polaka, i dwie swoje córki wychował w kulturze polskiej. W jego rodzinie, mieszkającej na amerykańskiej Florydzie, na co dzień mówi się po polsku.

Ten wybitny artysta plastyk urodził się 6 stycznia 1946 roku w irańskim mieście Sultanabad. Nieco później rodzice postanowili przenieść się, co prawda do radzieckiej, ale bądź co bądź Armenii, i młody człowiek studia teatralne oraz w zakresie sztuk plastycznych kończył już w Erewaniu (1971). Następnie przez kilka lat doskonalił swe mistrzostwo w tymże kierunku w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych u profesora Wincentego Śliwińskiego. „*Moja droga do malarstwa – wyznaje artysta – była bardzo skomplikowana. Szkołę średnią ukończyłem zaocznie. Ze względów materialnych zmuszony byłem pracować w różnych zawodach, takich jak: brukarz, robotnik budowlany, spawacz, fryzjer. Jednak miłość do sztuki zwyciężyła i udało mi się zostać malarzem*”.

W 1971 roku Iszchan poślubił Polkę, Elżbietę Rutkowską, rodowitą szlachciankę herbu „Pobóg”, pochodzącą z kulturalnej, dobrze w dziejach Polski i Litwy zapisanej rodziny. Znalazłszy się pod niezwykle urokiem swej ukochanej, wkrótce i sam młody mężczyzna



Elżbieta Rutkowska-Nazarian i jej mąż Iszchan Nazarian
przed „Oknem Życia” w Domu Samotnej Matki w Koszalinie

w pewnym sensie się „spolszczył”, choć wcale nie widzi jakiegokolwiek przeciwieństwa między genetyczną ormiańskością a kulturową polskością, bowiem jeden i drugi naród tak długo przebywają w obrębie cywilizacji chrześcijańskiej, że właściwie rozumieją się, można rzec, bez słów – jak jednojajowe bliźniaki. Wielu polskich artystów mogłoby za Iszchanem Nazarianem powtórzyć: *„To Bóg jest sprawcą nieskończonego arcydzieła, jakim jest Wszechświat, początkiem i twórczym trwaniem doskonałości, a wszyscy prawdziwi artyści tam, gdzie się znaleźli, zostali obdarzeni promieniem Jego twórczości”*.

Ten malarz trojga narodów, jak możemy nazwać Nazariana, miał dziesiątki wystaw indywidualnych nie tylko w Armenii i Polsce, ale też w USA, Francji, Watykanie, Rosji, Monako, Niemczech, Włoszech. Zaś jego obrazy znajdują się w zbiorach muzealnych także na terenie Szwecji, Kanady, Grecji, Szwajcarii. Niektóre z dzieł artysty znalazły się w Muzeum Watykańskim, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w stolicy Armenii, w Muzeum Narodowym w Warszawie, w salach wystawowych szeregu innych krajów.

Prócz obrazów malarskich Iszchan Nazarian tworzy także gustowne gobeliny. To niewątpliwie wielka osobowość twórcza, rozpoznawalna i ceniona w skali powszechnej. Swą filozofię twórczości artysta definiuje lapidarnie i wyraziście: *„Każdy artysta tworząc uczestniczy w życiu kulturalnym i społecznym kraju swego zamieszkania. Swoją twórczością stara się podnieść i uszlachetnić spojrzenie człowieka na świat i stosunki międzyludzkie. Usiłuje pobudzić wrażliwość ludzi na wszystkie zjawiska świata, w którym żyje”*... W wywiadzie udzielonym przed 20 laty chicagowskiemu

„Dziennikowi Związkowemu”, przy okazji otwarcia w tym mieście wystawy swych dzieł, artysta wyznawał: *„Malarstwo jest moim światem, a słońce cudem. Moim natchnieniem zawsze była surowa przyroda Armenii, słońce, góry i kamienisty krajobraz. Pomimo, że przez kilkanaście lat mieszkam w Polsce i tam zresztą odbyła się moja pierwsza wystawa, trochę wojażowałem po świecie, a od kilku lat tworzę w Chicago, to Armenia ma nadal dla mnie wielkie znaczenie. Kto nie zna Armenii, temu moje obrazy mogą wydawać się zbyt kolorowe, ale taka jest moja ojczyzna. Taką ją widzę w moich snach, wspomnieniach i przeżyciach”*...

A jednak *„tempora mutantur et nos mutamur in illis”* (łac. „czasy się zmieniają, a my zmieniamy się wraz z nimi”). Gdy się obecnie ogląda najnowsze utwory pana Iszchana, nie sposób nie odnieść wrażenia, iż życie w kilku krajach o dość różnym klimacie kulturowym wpłynęło jednak na metamorfozę tej sztuki w kierunku uniwersalizmu, tak, iż twórca mógłby – idąc w ślady Demokryta – na pytanie, gdzie jest jego ojczyzna, odeprzeć, iż *„ojczyzną szlachetnej duszy jest cały świat”*... Tego rodzaju sztuka jest zresztą dość trudna do jednoznacznego zinterpretowania, wielu wszelako uważa, że apeluje ona do twórczej wyobraźni odbiorcy, zachęca go do zastanowienia się nad tym, jakie mianowicie przesłanie ideowe czy emocjonalne chciał autor zawrzeć w swym dziele. Nie brak jednak i sceptyków, którzy odmawiają jej jakiegokolwiek wartości. Taka polarność zdań od dawna cechuje świat ocen estetycznych i należy ją odbierać jako rzecz naturalną i zrozumiałą samą przez się. Już zresztą Andrzej Baraniak, pisząc reportaż z jednej z wystaw malarza, trafnie zaznaczał, że *„Nazarian skutecznie łączy akcenty ormiańskiego krajobrazu z geometrią chicagowskiej metropolii. Ukazuje zagubienie człowieka, jego dążenie do przetrwania w otaczającej rzeczywistości, porażki i sukcesy. Malarstwo jego jest swobodne, szerokie, sporo szczegółów, które wnoszą dodatkowy urok w odczytywanie przesłania danego płótna”*...

Utwory Iszchana Nazariana cieszą się wzięciem na rynku dzieł sztuki, a zdobyte w ten sposób środki idą w dużej części na pomoc sierotom w Polsce, pani Elżbieta Nazarian bowiem od 1992 roku pełni funkcję prezesa dobroczynnej fundacji „Direct Help to Eastern Europe, Inc.” W wywiadzie dla jednego z pism amerykańskich zacna pani powiada: *„Nie zabierzesz pieniędzy do Nieba. Jedyne pomoc, jakiej udzielisz innym ludziom”*...

W ten sposób talent artystyczny połączył się w harmonijną całość z wielkością serca i przyczynił się do niesienia konkretnej pomocy dzieciom, których los doświadczył sieroctwem. Nie wiadomo, czy Pan Bóg poradziłby sobie z czynieniem świata coraz lepszym i

piękniejszym, gdyby nie pomagali Mu w tym tacy ludzie, jak państwo Elżbieta i Iszchan Nazarian...

Dr Jan CIECHANOWICZ



Iszchan Nazarian „Macierzyństwo”

BOŻE NARODZENIE W LITURGII

Do IV w. Boże Narodzenie obchodzono 6 stycznia jako święto Teofanii. Pod tą nazwą rozumiano zarówno Narodzenie Chrystusa, Chrzest Pański, związany z objawieniem się ludowi oraz początkiem publicznej działalności oraz pierwszy cud w Kanie Galilejskiej – dowód Boskości Chrystusa. Poczynając od 377 r., dzięki m.in. św. Janowi Złotoustemu, święto zaczęto celebrować 25 grudnia. Przeniesienie to było związane z obchodzonym tego dnia przez starożytnych Rzymian „dnem słońca”, któremu postanowiono przeciwstawić święto ku czci prawdziwego „Słońca Prawdy” – Jezusa Chrystusa.

Uroczystość Bożego Narodzenia wywodzi swój początek z Jerozolimy. Ustalił się zwyczaj, że patriarcha udawał się z Jerozolimy w procesji do Betlejem, odległego ok. 8 km. W Grocie Narodzenia odprawiał w nocy Mszę świętą. W Rzymie święto Bożego Narodzenia dnia 25 grudnia obchodzono od wieku IV. Kronikarz bowiem rzymski, Filokales, w kalendarzu swoim pod rokiem 354 zaznacza: *Natus Christus in Betleem Judeae* (Narodził się Chrystus w Betlejem Judzkim). Z tego także czasu pochodzi fragment homilii Papieża św. Liberiusza († 366) na Boże Narodzenie.

Najdawniejsza wzmianka o tym święcie w Kościele Syryjskim pochodzi od św. Jana Chryzostoma. W swoim kazaniu z dnia 25 grudnia 380 roku tenże święty, jako młody wówczas kapłan, oznajmia wiernym z radością, że po raz pierwszy będzie w antiocheńskiej katedrze obchodzone to święto. Z tej właśnie uroczystości zachowało się jego kazanie. W tymże wieku IV uroczystość Bożego Narodzenia spotykamy: w Jerozolimie, w Antiochii, w Konstantynopolu, w Rzymie i w Hiszpanii.

Po Mszy świętej, odprawionej w Betlejem o północy, powracano do Jerozolimy i odprawiano drugą Mszę świętą w godzinach rannych w kościele Zmartwychwstania Pańskiego. Wreszcie, aby dać pełny upust radości, odprawiano w godzinach południowych trzecią Mszę świętą w kościele katedralnym. W Rzymie zwyczaj ten znany był już za czasów Papieża św. Grzegorza I Wielkiego († 604). Odprawiano tam nocą Pasterkę przy żłóbku Chrystusa w bazylice Matki Bożej Większej; drugą Mszę świętą w godzinach rannych w kościele Zmartwychwstania, gdzie miał rezydencję swoją przedstawiciel cesarza wschodniego; trzecią zaś koło południa w bazylice Św. Piotra.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nabożeństwa nocne należały do stałej praktyki Kościoła. Pamiętką jest dzisiejsza Pasterka. Już pierwsze słowa *inwatorium* wprowadzają nas w nastrój tajemnicy: „*Chrystus narodził się nam. Oddajmy Mu pokłon*”. Nie mniej radosnym akordem brzmią czytania i responso-ria. Kościół wyraża tak wielką radość z Narodzenia Pana Jezusa, że przez osiem dni (oktawa) obchodzi tę uroczystość. To jedna z dwóch istniejących w obecnym kalendarzu liturgicznym oktaf – drugą jest Oktawa Wielkanocy.

Chrystus narodził się w Betlejem Judzkim. Jest bowiem jeszcze Betlejem leżące w Galilei, w pobliżu Nazaretu (12 km na północ), dzisiaj Beit Lahm, wymieniane już w księgach: Jozuego (19,15) i Sędziów (12,8). Betlejem Judzkie natomiast leży ok. 8 km na południe od Jerozolimy. Wymieniane jest również w Starym Testamencie kilkanaście razy. Betlejem Judzkie wspomniane jest także w dokumentach pozabiblijnych. W Betlejem został namaszczony na króla Izraela Dawid. Dlatego miasto odtąd nosi nazwę „miasta Dawidowego”. Miasto liczy obecnie kilkanaście tysięcy ludzi, przeważnie Arabów. Za czasów Pana Jezusa osada liczyła ok. 1000 mieszkańców. Betlejem leży na wysokości 770 m na dwóch wzgórzach, otoczonych malowniczymi dolinami.

Według świadectwa bardzo wczesnego, bo z wieku II (św. Justyna), Pan Jezus narodził się w grocie skalnej. Dzisiaj jeszcze można je spotkać na zboczu gór, ogrodzone na zewnątrz murem z małą bramą i oknem, gdzie wewnątrz żyje cała uboga rodzina wraz z inwentarzem. Św. Hieronim (ok. 420) zamieszkał na stałe w Betlejem w pobliżu Groty Narodzenia, gdzie założył klasztor. Píše on, że cesarz Hadrian w wieku II na miejscu Narodzenia Pańskiego wprowadził kult bożka Adonisa. To trwało ok. 180 lat. Dopiero cesarzowa św. Helena w 326 roku nad Grotą Narodzenia Pana Jezusa zbudowała bazylikę. Biskup Euzebiusz z Cezarei (†340) pierwszy pisze o tym. W roku 333 opisał tę bazylikę pielgrzym z francuskiego miasta Bordeaux. Kiedy zaś świątynia uległa spaleni, cesarz Justynian I jeszcze piękniej ją odbudował (VI w.). Pewne zmiany wprowadzili do bazyliki krzyżowcy i taką pozostała po nasze czasy.

Grota narodzenia znajduje się pod prezbiterium. We wnętrzu groty są dwa ołtarze: jeden na miejscu na-



rodzenia. Pod nim można oglądać gwiazdę z napisem łacińskim: *Hic de Maria Virgine Christus natus est* (*Tu z Maryi Panny narodził się Chrystus*). Gwiazda i napis świadczą o tym, że miejsce to należało kiedyś do katolików. Jednak w roku 1634 sułtan Murat IV przyznał wszystkie miejsca święte w Palestynie prawosławnym Grekom. Wprawdzie dzięki interwencji państw katolickich odzyskali ponownie prawa do tychże miejsc, ale w wieku XIX, kiedy Rosja carska pokonała Turków, miejsca święte – także Grotę Narodzenia Chrystusa – oddała ponownie prawosławnym Grekom.

Drugi ołtarz stoi na miejscu żłóbka, który przeniesiony został według podania do Rzymu do bazyliki Matki Bożej Większej. Przy ołtarzu żłóbka katolicy odprawiają w dzień i w noc Msze święte o Bożym Narodzeniu.

Tajemnica Bożego Narodzenia polega na tym, że druga Osoba Boska stała się człowiekiem, aby w ciele ludzkim dokonać zbawienia rodzaju ludzkiego za grzech Adama i za grzechy jego potomków: „*A Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas.*” Nie przestając być Bogiem, Syn Boży stał się człowiekiem. Jako Bóg jest wieczny, nieskończony, wszechobecny i wszechmocny. Jako człowiek jest ograniczony czasem, prze-

strzenię i mocą. Jako Bóg jest Panem śmierci. Jako człowiek jest jej poddany.

Przez unię osobową (hipostatyczną) Syn Boży połączył w sobie dwie natury: Boską i ludzką tak, że zachowały one swoją odrębność w swojej Osobie Bożej. W swojej naturze Bożej Syn Boży, Słowo odwieczne, nie miał nigdy początku, jest wieczny. W naturze swojej ludzkiej, którą przyjął z dziewiczego ciała Maryi, rozpoczął istnienie w pierwszym roku naszej ery i otrzymał imię Jezusa Chrystusa.

Na soborze w Chalcedonie w 451 roku jeszcze dokładniej określono przeciwko Eutychesowi, na czym polega tajemnica wcielenia i narodzenia Syna Bożego: „*Zebrani święci Ojcowie... wyznajemy wszyscy jednozgodnie, że jeden i ten sam jest Jezus Chrystus, pełen i doskonały również w człowieczeństwie. Prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek – z ciałem i duszą rozumną. Współistotny z Ojcem według Bóstwa i współistotny z nami, ludźmi, według człowieczeństwa... Przed wiekami zrodzony z Ojca według natury Bożej, w ostatnich zaś czasach zrodzony jako człowiek dla naszego zbawienia przez Maryję Dziewicę, Bożą Rodzicielkę...*”.

Mariusz WOŹNIAK OP

„W moich rękach toczy się symfonia losu...”

WIERSE ANDRZEJA SZYPUŁY

słyszałem wczoraj
serenadę Schuberta

nie było melodii
tylko wspomnienie

tamtych chwil
marzeń rozwianych

o pieśni przyjdź
napełnij moje serce

nadzieją bez końca
która nigdy nie umiera

Wiśniowa styczeń 2016



nie każ mi iść na drugi brzeg
gdzie nie ma tulipanów białych jak śnieg
ani twoich oczu
otwartych na jasny horyzont nadziei

w moich rękach toczy się symfonia losu
którą smakuję każdą chwilą
otwartymi zmysłami
aż do szarego zmroku
który nie nadchodzi

to wszystko jest ponad naszymi głowami
słowami myślami marzeniami
więc niech trwa bez kresu
nie nazwanym snem

Wiśniowa październik 2015



kiedy już powrócisz
z dalekiej podróży
pełnej złudzeń
i niepotrzebnych nadziei

przyniosę ci kwiaty
zebrane ranną rosą
na wzgórzu wspomnień
skąpane w słońcu

znowu ta magia chwili
rozedrgane spojrzenia
pogubione metafory
niespokojnych snów

zatrzymaj się na chwilę
popatrz na drzewa
ile w nich pokoju
Bożego planu

jeszcze zakłęcia
że już na zawsze
tylko On

wokół nas

Wiśniowa grudzień 2015



chciałem się zaprzyjaźnić
z całym światem
nie wyszło

szukałem ciepłego pocieszenia
w ramionach ukochanej
odeszła

próbowałem wyśpiewać sens
swojego istnienia
ułuda

jeszcze układałem te słowa
ciągle niespełnioną
tęsknotą

dopiero na końcu
przychodzi opamiętanie
i żal

że tyle czasu
a przecież jesteś
tu i teraz

zawsze i wszędzie
na dziś i jutro
dobry Boże

Wiśniowa czerwiec 2016



Maryjo
czynisz cuda
w moim sercu

dzięki Tobie
dojrzałem
zieloność traw

ranną rosę
w słońcu
o poranku

i te mgły
w które zanurzam
mój los

opromieniony
blaskiem Twojej Miłości
trwam

śpiewam Two Imię
nutą radości
i pokoju

Wiśniowa lipiec 2016



rok wiary

rozszerzam go
na całe życie
moje i twoje

w moim sercu
przegląda się miłość
bez końca



Andrzej SZYPUŁA

Urodził się w Wiśniowej nad Wisłokiem. Absolwent Akademii Muzycznej w Poznaniu. Dyrygent, pedagog, publicysta, redaktor naczelny „Kamertonu”, pisma muzyczno-literackiego ukazującego dorobek twórczy kompozytora i pisarza Z. Mycielskiego.

Aktywny działacz Polskiego Związku Chórów i Orkiestr Oddział w Rzeszowie, prezes Towarzystwa im. Z. Mycielskiego w Wiśniowej, prezes Stowarzyszenia Rodzin Katolickich Diecezji Rzeszowskiej w latach 2000–2004, wiceprezes Rzeszowskiego Towarzystwa Muzycznego, kierownik muzyczny spektakli operowych i teatralnych, pedagog szkół muzycznych, współzałożyciel i wykładowca Diecezjalnego Studium Organistowskiego w Rzeszowie, autor ok. 600 publikacji z dziedziny kultury, szczególnie muzycznej, także monografii regionalnych, autor opracowań chóralnych, audycji radiowych i telewizyjnych, organizator konferencji i sesji naukowych. Laureat Nagrody „Mistrz Mowy Polskiej” w 2003 roku. Człowiek Roku 2005 Miasta Strzyżowa.

Pomysłodawca i kierownik artystyczny Koncertów Wielkanocnych „Alleluja” w Rzeszowie, przeglądów pieśni maryjnych, eucharystycznych, kolędowych, wielkanocnych w regionie podkarpackim. Od 1997 roku prowadzi Wieczory Muzyczne w Ratuszu w Rzeszowie, a także cotygodniowe felietony w Radio Rzeszów pt. „Opowieści muzyczne”.

Odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski „Polonia Restituta”, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem „Bene Merenti” za zasługi dla Kościoła, Medalem 70-lecia PZChO, Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”. Wyróżniony Nagrodami Ministra Kultury i Sztuki, Oświaty i Wychowania, Wojewody Rzeszowskiego, Nagrodą Miasta Rzeszowa w dziedzinie kultury i sztuki (za 1997 r.), Rzeszowskiego Towarzystwa Muzycznego.

jeszcze nadzieja
która nie umrze
ostatnia

bo każda chwila
z Tobą Panie
trwa przez pokolenia

i wieki całe
grają Twoją chwałę
hosanna

Wiśniowa marzec 2015



Ani Budzińskiej

Aniu
znowu przychodzisz do nas
z tak daleka

połączyło nas
nieśmiertelne piękno muzyki
które nigdy nie gaśnie

i ta Twoja cichość serca
co we łzach tonie
do dziś

poczekaj
jeszcze trochę
aż księżyc uśnie

nad Twoim Krosnem
razem z gwiazdami
muzyką ciszy

wtedy
zaśpiewamy razem
Najwyższemu Panu

na wysokościach
hymn wiecznej radości
hosanna

Wiśniowa czerwiec 2015



czasami dobre anioły
przybierają ludzką postać

wtedy nie możemy się nadziwić
że wokół tyle słońca

które rozświetla mroki zwątpienia
i gorzkiego sceptycyzmu

a cała nasza tak zwana
życiowa mądrość

odchodzi za krąg polarny
niczym szary pył

wydeptanych ulic
nadchodzi noc

a dzień wstaje
by wiecznie trwać

bez określenia
i bez istnienia

z Tobą Panie
na wieki

Wiśniowa sierpień 2015



znowu przynieśliśmy Ci tyle spraw
do zielonej Betanii
nasza Matko Troskliwa

ciągle chcemy Cię o coś prosić
jakby cierpliwość Twoja
była bez końca

spójrz na nas łaskawie
i prowadź do Twego Syna
prostymi ścieżkami

Huta Polańska lipiec 2015



lękam się
spełnionych marzeń
dobrych nadziei

zbieram
popłątane myśli
okruchy zdarzeń

dam je Tobie
zrób z nimi co chcesz
Chryste

daj mi tylko tę łaskę
rannego przebudzenia
że jesteś ze mną

nawet gdy moje serce
zimne jak lód
pęknie z rozpacz

a wszyscy ludzie
odwrócą się ode mnie
ze wstrętem

zejdź na ziemię
zabierz mnie z sobą
na zawsze

Wiśniowa listopad 2015



już nie czekam
na tę chwilę złudną
senną marę
która udaje nirwanę
w zakamarku istnienia

dotykam drzewa
suchych liści
mokrego piasku
na którym piszę
słowa pokoju

wierzę że przyjdiesz
kiedy już stracę nadzieję
i roztopisz lody
wiosennym tchnieniem
ciepłego wiatru

wtedy wejdziemy
do domu Pana
bez niepokoju
tamtego świata
niepokonani

Wiśniowa listopad 2015



dziękuję Ci Boże
że dałeś mi ten poranek

już nie lękam się nocy
promieniem wschodzącego słońca

otwieram oczy zmęczone
każdą chwilą narodzony

do nowej drogi
pełnej światła

którą ze zdumieniem ogarniam
niedoskonałymi zmysłami

błogosławiony
śpiewam hymn dziękczynienia

bądź pochwalon na wieki
nieśmiertelny Panie

Wiśniowa grudzień 2015



co zostało z tamtych lat
pomieszane światy
widzialny i niewidzialny

kolorowe witraże wielkiej katedry
tęsknota niepokonana
do Ciebie Panie

litościwe zdrowaś
tuła się po zakamarkach
czasoprzestrzeni

już nie muszę wędrować
w rozedrganiu myśli
znajduję uspokojenie

gdy wieczorem
zanurzam w modlitwie
różaniec pokoju

Wiśniowa grudzień 2015



gdy mną owładnie
tęsknota bez granic
ześlij mi Panie
ducha pokory

bym się nie lękał
tego niespełnienia
które jest wymysłem
chorej wyobraźni

jesteś przy mnie
więc dotknij moich oczu
bym wreszcie zobaczył
miłość bez granic

która w zasięgu ręki
tuła się po kątach
kamiennym sercem
nieodnaleziona

i stał się cud
na naszym stole
zakwitły tulipany
wiosennym tchnieniem

ciepłego wiatru

Wiśniowa grudzień 2015



Boże
jak Ci powiedzieć
o snach niespełnionych
przecież znasz je wszystkie

jeśli nie są Ci miłe
wyrzuć je z mego serca
albo zamień w słowa poezji
jako ofiarę przebłagłą

którą złożę w pokorze
u Twoich stóp
spóźniony pielgrzym
w drodze do nieba

Wiśniowa grudzień 2015



jak mogę ci pomóc
chyba tylko modlitwą
gorącą i szczerą
każdego ranka
odmawiam z tobą
różaniec pokoju
przecież jesteś
w każdej tęsknocie
ludzkiego serca
dobry Boże

Wiśniowa styczeń 2016



na koniec
tyle radości
że jesteś

w srebrnym śnie
zakochanym
wiosennie

razem pójdziemy
w nieznany świat
do jesieni

która pachnie
jaśminem
gorącego lata

a zimą
powrócimy
do krainy

białego zapomnienia

Wiśniowa luty 2016



już nie sięgam
do ogrodu
dobra i zła

moja wyobraźnia
tuła się po bezdrożach
uroku świata

który i tak
Bożym natchnieniem
wypełnia moją duszę

dziękuję Panie
żeś mnie stworzył
z kropli wody

od Twego źródła
płynę falą
aż do końca

a zanim dotrę
późną godziną
do Twego tronu

otul mnie płaszczem
bym nie zamarzł
w zamieci

Wiśniowa październik 2015



z ciemności
wyłania się
tęsknota

światło
jarzy się
nadzieją

oto
Pan
przychodzi

każdego
dnia
pokojem

nieodpartym
marzeniem
spełnienia

wstawaj
szary
świt

razem
czuwajmy
adwent

Wiśniowa grudzień 2015



już nie odejdę
choć tyle słów
dzieli nas nieustannie
każdą godziną



nie daję wiary
myślom natrętnym
usiłującym nadać wagę
naszemu istnieniu

dotykam tajemnicy
pełnego oderwania
od siebie samych
ku wiecznej miłości

zabłąkanej w przestworzach
położonej w żłobie
wyspiewanej radosną kolędą
z narodzenia Pana

Wiśniowa listopad 2015



Boże Narodzenie
tak proste
jak twoje spojrzenie
gdy cię zobaczyłem
pierwszy raz

odtąd
już nie ma żadnej myśli
która nie prowadziłaby
do Bożego Żłóbka
do którego idę odrodzony

tylko z tobą
tajemną nocą z gwiazdami
pasterzami
czułą kolędą
lulajże lulaj

Wiśniowa grudzień 2016





ZESZYT MYŚLI

Nienawiść umiera wraz z człowiekiem
Miłość zostaje w tych których kochaliśmy



Miłość nie jest miłością
Tak tylko mówi o sobie



Czas bez miłości jest zapisany po stronie zła



Im dłużej żyję
Tym częściej
Odpowiadam nie wiem
Na proste pytania



Coraz częściej
Myślę
W czasie przeszłym



Życie to wędrowanie gdzieś
Lub wracanie skądś
Najczęściej jednak
Czekanie na kogoś lub coś



Jeśli cię chwałą sprawdz czego chcą
Jeśli niczego sprawdz czy żyjesz



Idąc donikąd stoimy w miejscu
Nie wiadomo tylko w jakim



Nieuchronne pozostają
Gniew Boży i pamięć kobiety



Umieć żyć to oswoić strach



Samotny marzy o liczbie mnogiej



Prawdziwe schody zaczynają się tam
Gdzie ich nie ma



Każda strata to nowe zmartwienie
Ale i mniej powodów do zmartwień



Człowiek człowiekowi człowiekiem
Nic więcej nic mniej się nie zdarza



Od zwierząt uczymy się siebie w ich oczach



Szczęście jak gra w kości
Nigdy nie wiesz co wypadnie z kubka



Wolność drogą człowieka
Od małej do dużej litery C



Każdego dnia
Budzą się we mnie
Anioł i strach



Prawda i kłamstwo
Awers i rewers
Monety człowiek



Nieznany człowiek
Omijane po drodze
Lustro w kałuży



Odchodzą ludzie
Czas oswaja powoli
Miejsca bez cienia



Tylko głupota jest nieomylna



Najlepsze słowa przychodzą wtedy
Gdy umiera nadzieja że są



Najbliższa Bogu
Modlitwa
Bez słów



Między skończonością
A nieskończonością
Człowiek szuka Boga



Nawet największa wiara
Potrzebuje czasami
Dotknąć i zobaczyć



Niewiara jest trudna
Trzeba wymyślać boga
Którego nie ma



Grzech oswaja sumienie
Aż staną się jedno



Kłamstwo nigdy nie stanie się prawdą
Zawsze ktoś kiedyś zobaczy je nagie



Trudno być dobrym
Trudno być złym
Pośrodku brakuje miejsca



Kamień nie rzucony w sprawiedliwego
I tak parzy dłoń z której wypadł



Wolna wola przekleństwem słabego człowieka



Strach nie zawsze jest zły
Bywa dobry
Jak hamulec bezpieczeństwa



Jesteśmy gotowi na zło
Zaskakuje nas dobro



Mówimy to było silniejsze ode mnie
Zamiast byłem za słaby



Nieważne jacy jesteśmy ważni
Ważne jacy jesteśmy



Jesteśmy tacy jak nasze czyny
Jak one dobrzy lub źli



Dobro i zło ważą tyle samo na szalach strachu



Żeby lżej było biec
Żeby dobiec gdzie chcesz
Trzeba rozdać rozrzucić co masz



Szukając Słowa które było na początku
Znajdujemy słowa które są w nas



Od redaktora. *W czasach mojego dzieciństwa było bardzo mało książek dla najmłodszych. Dlatego wiele gazet drukowało na swoich łamach teksty bajek i opowiadań. Przy czym robiło to w taki sposób, aby można było ów tekst wyciąć i pozesywać. W ten sposób powstawały małe książeczki, które zasilaty domową bibliotekę.*

Z tamtych odległych czasów mojego dzieciństwa pochodzi taka właśnie, pozszywana rękami mojej mamy bajeczka, którą chcę Wam opowiedzieć. Niestety, uległa zniszczeniu tytułowa strona, dlatego nie wiem, kto jest jej autorem. Wiem natomiast na pewno, że nazywa się ona:

PORWANA KRÓLEWNA

Dawnymi, bardzo dawnymi czasy, kiedy to na świecie żyły czarownice i wróżki, był kraj bardzo bogaty i szczęśliwy, a panował w nim król wielkiej dobroci i potęgi. Królowa była precudnej piękności, a jedyna jej córeczka była dla rodziców pociechą i szczęściem.

Razu pewnego, gdy królowna miała dopiero dwa-nastie miesięcy, zaniósł ją piastunka na prześliczną łąkę, całą kwieciami pokrytą i tam, zdala od królewskiego pałacu, usiadła z nią, pojąc się czystym i wonnym powietrzem.

Królowa nie pozwalała nigdy oddalać się zbyt od domu, ale młodej dziewczynie zachciało się pospacerować; nie przeczuwała biedaczka, jakie ją spotka nie-szczęście.

Małeńka królowna ułożyła się na miękkiej trawie i kwiatach, niańka zaś z początku czuwała nad nią, potem jednak, odurzona zapachem kwiatów i rozpalona promieniami słońca, pochyliła głowę na piersi i usnęła.

Dziecko, nieświadome niebezpieczeństwa bawiło się, wtuliwszy złotowłosą główkę w puszyste zioła i trawę.

Naraz dłoń jakaś zgrubiała i ciężka zatkała różane usteczka dzieciny, podczas gdy druga ręka porwała brutalnie opierające się i wystraszone biedactwo. A piastunka spała najspokojniej i nie widziała tej sceny.

Człowiek, który porwał królowną, był znanym w okolicy hersztem zbójckim i nie napotkawszy nic godnego jego chciwości, postanowił sprzedać drogo niewinną królewską dziecinę.

Zakrywszy ją szmatą, żeby nikt nie zobaczył jego rabunku, popędził w głąb ciemnego lasu, kierując się ku znanej mu chacie.

Ale królowna miała od urodzenia wielkiego przyjaciela i opiekuna w małej, wychowanej przez jej rodziców, patzynie.

Zobaczywszy, że zbójca unosi w las królowną, mądry szpak zaczął lecieć za nim, wirować nad głową, gwizdać, i tak go tym drażnić, że rozłoszczony bandyta rzucał nań kamieniami, aby się od prześladowcy obronić.

Nie trafił ani razu w roztropnego ptaka i pozbyć się jego nie był w stanie.

Szpak przelatywał z jednego drzewa na drugi i wołał:

*„Daremnne twe starania,
Mnie kamień nie odgania,
Ja z lasu się nie ruszę,
Straż nad nią trzymać muszę.”*

Słyszac te słowa, rzekł do siebie bandyta:

– Złapać muszę tego szkaradnego ptaka i łeb mu ukręcić, bo jeśli tego nie zrobię, to mnie wyda.

Zaczął go ku sobie zwabiać miłymi słowami, ale szpak nie dał się niczym znęcić.

Wtedy zbój zastawał sidła w lesie, ale szpak i tym razem wyśmiewał jego zabiegi i zawołał:

*„Na sidła chwytaj zwierzę,
Mnie nic stąd nie zabierze,
Królowny strzec ja muszę,
Stąd nigdzie się nie ruszę.”*

Zrozumiał wtedy bandyta, że rady na szpaka nie znajdzie, szedł więc spokojnie i nie starał się go odpędzać.

Ptak usiadł na najbliższej gałęzi i zawołał:

*„Opowiem wszystkim w świecie,
Żeś porwał matce dziecię!”*

Przeraził się tymi słowami niegodziwiec i pędem rzucił się ku ucieczce.

Dotarłszy do chaty czarownicy zapukał trzykrotnie.

Stara, potworna kobieta wysunęła swą głowę przez okno i spytała:

– Coś mi takiego przyniósł?

Zbójca odpowiedział:

– Przyniosłem ci matko bardzo delikatny kąsek. Co mi dasz za niego?

– Pieniądz w jedną rękę, pieniądz w drugą! – odpowiedziała czarownica.

– Oho! – zakrzyczał bandyta – za tanio chcesz nabyć ode mnie żywą księżniczkę! Daj mi w jedną garść pieniędzy i w drugą, to ci oddam.

Czarownica dała mu garść złota i garść srebra, i w ten sposób kupiła małą królową.

Gdy wyszedł, szpak wleciał niewidocznie przez okno do chaty i skrył się za dzbanem.

Czarownica ucieszyła się bardzo z dobrego kąska, ostrzyła nóż i oblizywała się na myśl o uczcie.

Zaledwie jednak podniosła nóż, aby głowę uciąć księżniczce, zawołał szpak ze swojej kryjówki drżącym głosem:

*„Nie zabijaj dziecka tego.
Bo doczekasz końca swego!”*

Czarownica upuściła nóż ze strachu, ukryła się w kącie izby, potem wyszła i zaczęła przeszukiwać pokój, ale niczego nie znalazła. Zajęczała więc potwornie:

– To jest czarodziejska sztuka, której dojść nie jestem w stanie.

Wtedy szpak odezwał się do czarownicy:

*„Nie czarowna to, ach! siła,
Co twą rękę odwróciła...
Nie ma żadnych czarów w świecie,
Lecz jest prawda, jest Bóg przeciw.”*

Słyszając to czarownica zapytała ze strachem:

– Kim jesteś, ty, co tak do mnie przemawiasz?

*„Jestem twym panem, słuchaj mnie,
Bo śmierć niechybnie spotka cię!”*

Z przerażenia drżąc cała, wyszeptała:

– Cóż mi więc rozkazujeś? Co mam robić?

Szpak odpowiedział:

*„Królewskie to dziecię,
Zatrzymasz na świecie,
I czuwać wciąż będziesz,
A spokój posiędziesz.”*

Stara wzięła dziecko za rękę i obiecała opiekować się nim i być dobrą. A że była czarownicą, wiedziała o tym dobrze, co szkodzi dziecku, i dlatego omijała to, co było niezdrowe, karmiła potrawami odpowiednimi, a robiła to wszystko nie z serca, bo tego nie posiadała, lecz z obawy przed czarodziejem nieznanym, który groził jej zemstą.

Kiedy szpak przekonał się, że słowa jego nie były powiedziane na marne, wyfrunął przez okienko i zbudował sobie gniazdko naprzeciw chaty, aby widzieć jak obchodzi się czarownica z księżniczką.

Ile razy zła kobieta wychodziła z dzieckiem na spacer, towarzyszył im, czuwając nad swą królową, aby się jej coś złego nie przytrafiło.

Jak tylko dostrzegł, że czarownica przybierała groźny wyraz twarzy wobec dziecka, natychmiast wołał:

*„Uprzejmą bądź dla dziecka,
Bo czyha śmierć zdradziecka.”*

Natychmiast ukazywał się uśmiech na obrzydliwym licu kobiety i udawać poczyniała wielką uprzejmość dla królowej.

Czas szybko mijał. Dziecko wyrosło na precudnie piękną dziewczę.

Poza piękną odznaczała się jeszcze wielkimi cnotami i roztropnością. Prawdziwie wykwiła jak czysta, niewinna lilijka obok ciernia i złości, jaką była ohydna czarownica. Nie kochała swojej opiekunki, pomimo, że ta dawała jej wszystko i stroiła po królewsku, ale wdzięczność miała w sercu, bo szlachetność jej nie pozwalała na inne uczucie względem tej, która opiekowała się nią i karmiła.

Pewnego razu poszła księżniczka daleko, w głąb lasu, a że była bardzo zmęczona, ułożyła się na miękkim mchu i odpoczywała.

Nagle się rozległ w dali dźwięk myśliwskiego rogu.

Zerwała się, przestraszona, po raz pierwszy bowiem w życiu słyszała coś podobnego.

Tony zbliżały się ku niej i podczas gdy im się przysłuchiwała, padł uciekający jeleni i złożył się u stóp księżniczki.

Kochała ona bardzo wszystkie leśne zwierzęta, zobaczywszy więc, że jeleni drży cały i jęczy z bólu, uklękła obok niego, objęła ramionami i odezwała się do niego najpięszotliwymi słowami.

Tymczasem poruszyły się krzaki i na wspaniałym rumaku wjechał bardzo piękny młodzieniec.



Zobaczywszy, że księżniczka obejmuje rączkami szyję zwierzęcia, zeskoczył z rumaka, uklonił się i powiedział:

– Przebacz mi, pani, żem chciał zabić zwierzę przez ciebie ukochane. Gdybym wiedział, że ten śliczny jelen jest twoim ulubieńcem, nigdy bym na niego nie śmiał polować.

Księżniczka nie widziała nigdy tak pięknego rycerza, stanęła więc zdumiona i milcząca.

On, ze swej strony, stał w zachwycie nad jej pięknosciami.

Obrazka tego dopełniał szpak, który zaczął krążyć nad nimi, wreszcie i wyśpiewywał różne piosenki, których go na dworze królewskim wyuczono.

Słyszając to, młodzieniec zaczął sobie coś przypominać i powiedział sam do siebie:

– Znałem szpaka na dworze królewskim, który te same wyśpiewywał piosenki.

*„Jam ten sam,
Co i tam...”*

– zawołał szpak uszczęśliwiony, że go poznano.

– Skąd ptak ten tutaj się znalazł? – zapytał księżniczki.

– To jest szpak, który chodzi za mną, odkąd zapamiętałam, ale nie wiedziałam do tej pory, że potrafi także rozmawiać.

– A kim pani jest? Skąd się tu pani wzięła?

Księżniczka potrząsnęła swą złotą główką.

– Gdybym to ja wiedziała! Mieszkam u jakiejś kobiety w lesie, ale nie należy ona do mojej rodziny. Kto był mym ojcem i matką – nie wiem.

– Ale ja wiem teraz, kim pani jest – odpowiedział młodzieniec. – Ojciec mój był rycerzem na dworze króla i opowiadał mi, że królowej zginęła jedyna córeczka, nad którą zawsze czuwał szpak. Jestem najpewniejszy, że tą zaginioną i opłakiwaną królową jesteś pani!

Na to zaśpiewał szpak:

*„Ach tak! Cudne dziecię,
To królowa przecie!”*

Mówiąc to, wskazał dziobem na znak rodzinny na szyi królowej.

Było to wyobrażenie korony, znak posiadany przez wszystkich z rodziny królewskiej.

Rycerz nie miał najmniejszej wątpliwości – to była królowa.

Dosiadł konia, posadził przed sobą dziewczę i wyruszył do królewskiego pałacu. Jechali bardzo długo, przebyli wiele mil drogi i dopiero przed zachodem

słońca przyjechali do króla i królowej. Radość była ogromna, gdy zobaczono przecudną królową, tym bardziej, że nie mieli po zaginięciu córki już więcej dzieci.

Wszyscy dworzanie, rycerze, sąsiedzi zjeżdżali się na dwór królewski, aby ujrzeć księżniczkę.

Razu pewnego król postanowił wydać za mąż księżniczkę i ogłosił o tym, aby wiadano, że ubiegać się o nią mogą ci, których ona sama wybierze i którzy będą jej godni.

Zjechało się bardzo wielu książąt i synów królewskich, wybrał król siedmiu z przybyłych i, przedstawiając swojej córce, kazał obrać jednego z nich za męża.

Ale księżniczka była wciąż bardzo smutna i wybrała z nich nikogo nie chciała.

– Gdzie jest rycerz, który mnie znalazł w lesie? – spytała. – Jego chcę się poradzić.

Sprowadzono go zaraz. Rycerz pokłonił się rodzicom księżniczki, potem ukląkł przed nią i słuchał.

Smutno mu było słyszeć, że ma dla niej męża obierać; kochał ją bowiem od pierwszego wejrzenia.

– Którego mam obrać? – spytała królowa.

– Tego, którego królowa kocha – odrzekł młodzieniec.

– A więc żadnego, gdyż z tych siedmiu nie kocham żadnego!

Raptem wskoczył jej szpak na ramię i zakrzyknął:

*„Mężny i stały,
W uczuciu wytrwały,
Jest rycerz, co tutaj klęczy.
Wybierz go sobie,
Kocha się w tobie,
Miłością k 'tobie się dręczy!”*

Nie wahała się już księżniczka ani chwili. Ujęła rękę rycerza i zaprowadziła go przed tron.

– Jego albo żadnego mi nie dawajcie! – rzekła błagalnym głosem.

Odradzali jej rodzice, gdyż rycerz, choć miał wielkie dobra, nie pochodził z książęcej rodziny, ale to nic nie pomogło.

Wyprawiono więc wspaniałe wesele, bawiono się przez cały tydzień i radoowano się bardzo.

Szpak do końca życia był ukochanym i pieszczonym ptakiem, a gdy stary król umarł, księżniczka panowała w kraju wraz ze swym mężem.

KONIEC

Edward Guziakiewicz

LINIA OBRONY

Po błękitnym niebie płynęły zwiewne białe obłoki. Było upalnie. Żar lał się z góry, a rozgrzane wibrujące powietrze ostrzegało przed dłuższym przebywaniem na słońcu i pochopnym wystawianiem odkrytej głowy. Marcinowi nie chciało się nigdzie ruszać. Rozleniwiony, leżał w cieniu rozrostłych krzewów. Jego myśli krążyły wokół niewielkiego malowniczego jeziora, starej drewnianej przystani i nabierającej wody łódki, na dnie której schował zgrabną wędkę. Wyszukiwał ją sobie w ubiegłym roku i udawało mu się na nią czasem coś złowić. Nadchodziło gorące lato. Szkoła znajdowała się o rzut kamieniem, ale nie miał ochoty wracać na ostatnią lekcję.

Przeciągnął się z rozkoszą, a potem zerwał źdźbło trawy i wsunął je między zęby, przygryzając. Poczul kwaśny smak.

– Co za nuda? Jeszcze kilka dni – mruknął do siebie – i zaczną się wakacje. Szkoda ich, bo potem może padać!

Rozległ się donośny dzwonek na koniec dużej przerwy. Dźwięk brzmiał ponaglająco i niósł się nieomal jak ostrzeżenie. Chłopak więc ociężale się wyprostował i włożył koszulę. Strzepnął czerwoną biedronkę, która usiadła mu na rękawie. Nie było rady, musiał podporządkować się sztywnym szkolnym rygorom.

W klasie pojawił się ostatni, minutę po nauczycielu, który spojrzał na niego zza biurka z niejakim wyrzutem. Oceny z języka polskiego były wystawione, więc ten uznał spóźnienie za dowód ostentacyjnego lekceważenia szkolnych zajęć. Marcin niewyraźnie mruknął coś na przeprosiny, skłonił się i cicho usiadł w zielonej ławce, garbiąc się i kryjąc za plecami Marty.

Siedział i ziewał, śledząc wzrokiem bzyczące muchy, krążące po klasie. Po lewej ręce miał szeroko otwarte okno na wybetonowany plac, wokół którego rosły mieczyki, dalie i lilie. Nie słuchał tego, co mówił nauczyciel i powoli zapadał w słodkie odrętwienie. Bezgłośnie powtarzał nazwy gatunków ryb, wypisane z poradnika dla wędkarzy. Marzyła mu się walka z łowionym na żywca ogromnym sumem, który niemalże łamie wędkę i rwie żyłę, ale tak emocjonującej przygody przecież nie mógł przeżyć. W pobliskiej rzece nie było takich oka-

zów. Potem przeniósł się leniwymi myślami w nieodległą przeszłość.

Za namową wychowawczynie wczesną wiosną szósta „a” zobowiązała do troski o zielone otoczenie szkoły. Mieli zadbać o grządki z kwiatami. Kopali ziemię, wysiewali roślinki i je sadzili, potem pieląc je i podlewając. Jedni się objali, inni nie. Właśnie w czasie tych prac, które nauczyciel wychowania fizycznego kpiąco nazywał polowymi, Marcin poznał bliżej Martę.

– Poznał?!

Chłopak zmarszczył brwi. Właściwie nie było to trafne określenie. Jeżeli chodziło o ścisłość, znał ją od dobrych kilku lat. Chodzili razem do szkoły od pierwszej klasy. Gdy w wyniku nieostrożności kolegi, wymachującego żelaznymi grabiami, doszło do wypadku, poznał ją lepiej. Dostał w czerep i stracił przytomność. Kiedy się ocknął, leżał na rozłożonym na betonie kocu. Pochylało się nad nim kilka przerażonych twarzy. Marta była najbliżej. Podtrzymywała mu zakrwawioną głowę, delikatnie gładząc jego ramię. Uderzył go jej ogromny spokój, zaś w jej oczach wyczytał jakieś głębokie, niby to matczyne oddanie. Była wstrząśnięta tym, co się stało – a kiedy znalazł się na noszach, wyniesionych z karetki pogotowia ratunkowego, dostrzegł, że dziewczynie spływają łzy po policzkach.

Teraz siedziała tuż przed nim, wpisując coś pilnie do zeszytu. Co rusz zerkała na tablicę, na której nauczyciel kreślił kredą kolejne zdania. Doszedł do zadziwiającego wniosku, że pewnie nie wróciłby do klasy po dużej przerwie, gdyby jej tu nie było. Czuł, że ma w niej kogoś bliskiego.

Wypadek nie był ciężki, więc po założeniu opatrunku i rentgenie odwieziono go ze szpitala do domu. Przez kilka dni świecił zabandażowaną głowę, a lekarz kazał mu pozostawać w łóżku. Gdy wrócił do szkoły, zaczął się Marcie uważniej przyglądać. Była drobna i szczupła. Nosila długi warkocz, każdego dnia starannie zapleciony i z nową wstążką. Twarz miała delikatną, a kiedy rozmawiała z koleżankami, w charakterystyczny sposób przekrzywiała głowę. Trzymała się z dala od chłopców i nie pozwalała się zaczepiać. Nie wchodziła z nimi w komitywę. Uświadomił sobie, że gdyby nie doszło do zajścia przed szkołą, zapewne nie zauwa-

żyłby, że dziewczyna go skrycie wyróżnia, a nawet adoruje. Rzuciła czasem w jego stronę krótkie spojrzenia, ale nie umiał z nich wyczytać żadnego czytelnego zaproszenia. A na takie z cicha liczył.

Któregoś pogodnego dnia odprowadzał ją po lekcjach do domu. Był piątek. Skręcili z szosy i szli miedzą. Wiosna wybuchła soczystą zielenią, a na łąkach klekotały bociany. Prawie się nie odzywała, nieledwie tolerując jego towarzystwo, więc żeby wypełnić ciszę, musiał opowiadać jakieś banialuki. Gadał bez ładu i składu. Spojrzała mu błagalnie w oczy, gdy dotarli na miejsce i zatrzymali się przed furtką. Okna zasłaniały drzewka owocowe. Próbował ją pocałować. Poczłł smak jej warg, ale Marta zdecydowanie odepchnęła go piąstkami, szarpnęła furtkę i uciekła. Znikła w głębi domu, gubiąc po drodze worek z pantoflami szkolnymi.

Jego myśli się rozpierzchnęły i przypominały stado przerażonych wróbli, które nagle poderwały się do lotu. Stał tam jak osioł, nie rozumiejąc jej zachowania. Dlaczego tak stanowczo się broniła? Przecież nie chciał jej zrobić krzywdy. Inne dziewczyny były ponoć bardziej przystępne i nie czuły się takie skrępowane, kiedy chłopcy do nich się dobierali. Śmiały się i pozwalały na znacznie więcej – zwłaszcza jeżeli im choć trochę na

nich zależało. Odszedł stamtąd z wrażeniem, że ktoś mu znowu czymś tępym przywalił w czerep. Jak wtedy, gdy doszło do wypadku przed szkołą.

Przeniósł uwagę na lekcje religii, odbywające się raz w tygodniu w organistówce koło kościoła. Ksiądz opowiadał o wstydliwych kłopotach nastolatków, związanych z dojrzewaniem płciowym i rodzącymi się uczuciami. Marcin zapamiętał cytaty z Pisma świętego, brzmiące następująco: „*Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego?.. Chwalcie więc Boga w waszym ciele!*” Katecheta w sutannie podkreślał, że cechujące ich etap życia zmiany są wielkim darem Bożym, którego nie należy zaprzepaszczać. To go zmusiło do myślenia. Pojął, że Marta przypomina wrażliwą roślinkę, może orchideę, z którą należy obchodzić się delikatnie. Nie wszystkie jej rówieśnice były takie, a niektóre kojarzyły się raczej z rosnącą przy drodze niczyją jabłonią, z której każdy mógł rwać jabłko. Albo z rzepem, czepiającym się psiego ogona. Narzucały się chłopakom, pozwalając się obejmować. Nachalnie pchały się im na kolana. Na przerwach chwaliły się wypadami na potańcówki do remizy w sąsiedniej wsi, dumne z tego, co w ciemnościach nocy tamtejsze wyrostki z nimi wyprawiały. Fatalnie wypadały w porównaniu z Martą. Rozmyślał nad przyjaźnią, do której – jak mniemał – musiał powoli dorosnąć.

Na przełomie kwietnia i maja, tego roku wiosna nadeszła bardzo wcześnie, kilka razy przechodził przed jej krytym czerwoną dachówką domem. Kierował się w stronę lasu, a potem zawracał. Zauważyła go raz przez okno, bowiem wyszła przed furtkę, aby z nim porozmawiać. Podpytywała go o zadania z matematyki, których nie umiała rozwiązać. Pogawędka trwała jednak bardzo krótko. Gdy spostrzegła, że zbliża się jej ojciec, spłoszyła się, przeprosiła go i szybko odeszła.

Widywał ją w kościele. Zaczął przychodzić na tę samą Mszę świętą co ona. Wystawał za marmurowym filarem, obserwując modlącą się w skupieniu i przystępującą do Komunii dziewczynę. Wydawała mu się w takich chwilach istotą kryształowo czystą i niemalże anielską. W jej religijności było coś urzekającego, co sprawiało, że kojarzyła mu się ze świętymi z pobożnych obrazków.

Lekcja polskiego trwała, a on nadal bujał w obłokach. Pod wpływem Marty zaczął odmawiać codzienny pacierz, a w czasie nabożeństw majowych przystępować do stołu Pańskiego, choć z tym ostatnim miewał początkowo niejakie kłopoty. Pamiętał, jak to namówiony przez starszych kolegów brzdąc szlał się za nim i zadziornie wołał:



„Świątoszek! O, świątoszek!” Przy nadarżającej się okazji malec dostał w ucho i przestał go zaczepiać.

– Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe! – mruknął pod nosem. Po czym szeroko ziewnął, zasłaniając usta.

Przygarbił się, aby nauczyciel go nie widział. Domyslał się, że Marta ceni drogę, którą wybrał i że dzięki niej staje się jej bliższy. W praktykach religijnych brakowało mu jednak czegoś ważkiego, czego nie mógł nie brać pod uwagę, skoro się na nie decydował. Nie czuł bliskości Chrystusa. A poza tym pod ich wpływem wcale nie stawał się lepszy. Podczas ostatniej spowiedzi kapłan cierpliwie wyjaśniał mu, że już w samym szukaniu, w wytrwałej modlitwie i wierności prawu Bożemu, kryje się to, co się naprawdę liczy. Zapatrzył się na szczupłe plecy Marty i na jej lekko wystające łopatki, główkując nad tym, czy mógłby ją prześcignąć w pobożności. Podziwiał jej skupienie i duchową więź z Bogiem. Wyobraził sobie, że stopniowo osiąga nadzwyczajną doskonałość, stając się kimś absolutnie wyjąt-

kowym, zaś po śmierci go beatyfikują i wynoszą na ołtarze, przedstawiając z aureolą wokół głowy...

Usłyszał nagle swoje nazwisko, a po nim żywiołowy śmiech klasy. Histerycznie poderwał się z ławki. Surowy nauczyciel czegoś się od niego domagał. Oszołomionym wzrokiem obrzucił belfra i rechoczących uczniów, usiłując wrócić do rzeczywistości i połapać się, w czym rzecz. Dopiero wtedy dotarły do niego słowa, które tak wszystkich rozbawiły. „Hej, hej, Marcinie, przestań marzyć o niebieskich migdałach – bębnił pan od polskiego jak do głuchego. – *Nie śpij, jesteś na lekcji. No już, obudź się, bo ktoś cię porwie i nawet tego nie zauważysz!*..”

Zaczerwienił się jak burak, wydukał „Przepraszam!” i usiadł z powrotem w ławce. Marta też się śmiała. Duży śmiech w sobie, ale jej plecy dygotały. Wizja aureoli wokół głowy rozplynęła się w powietrzu jak dymek z papierosa. Przysunął sobie zeszyt w linie i wstydliwie zerknął za siebie, chcąc się zorientować, co powinien wpisać pod tematem lekcji.

SESJA POPRAWKOWA

Lekkie podmuchy wiatru poruszały kartkami skryptu. Od przeszło godziny, wyciągnięty jak długi, leżał na gęstej trawie w parku saskim, skryty przed oczami przechodniów. Osłaniały go porastające ten zakątek krzewy akacji i jesionu. Nieopodal dokazywały dzieciaki, rzucające krążącym po stawie łabędziom paluszki, frytki i suche ciastka. Dzieciaków było sporo i nie umiał się ich doliczyć. Wystający na wygiętym w łuk mostku malec usiłował podzielić się z dostojnie sunącym białym ptakiem napoczętym gofrem ze śmietaną. Czerwono-pomarańczowy dziób zdobiła czarna nasadowa narośl. Chłopczyk zachęcająco wystawił rączkę między pręty, głośno przyzywając uskrzydłonego gościa. Michał skrzywił się ze zniechęceniem, gdyż nie w głowie mu były takie popisy, a mimo że mocno przegrzewało wrześnie słońce, nie opuszczały go posępne myśli. Rok w rok złote brzozy jesieni dotkliwie unaoczniały mu, że nie można bez końca zachłystywać się wolnością. Finiszowało upalne lato z szaleńczymi wyprawami w zalesione góry i z maniackim wylegiwaniem się nad wodą. Miał jeszcze zamiar wybrać się z plecakiem w Bieszczady, ale fatalnie obłany egzamin wżynał się w jego wakacyjne plany szczerzącą kły sesją po-

prawkową. Musiał gnić w mieście, ponieważ się na przygodnej stacji i wkuwać.

Cóż biedakowi pozostało? Mozolnie kartkował skrypt, nadziany – jak mawiał profesor – tajemną wiedzą z rajskiego drzewa poznania dobra i zła, a w czasie powtórki chodziły mu po głowie jego niektóre dowcipy, którymi ubarwiał wykłady. Nie były śmieszne, ale zwykle hałaśliwie się śmiali, a każda krótka przerwa ich cieszyła, pozwalała bowiem odpocząć ściskającej długopis zmęczonej ręce. Oblał, bo licząc na łut szczęścia niefrasobliwie zwolnił się z obowiązku przeczytania lektur. Profesor był w czasie egzaminu na tyle pomysłowy, by z nieskrywaną powagą zapytać go o nieistniejącą książkę. Rzucił z głowy fikcyjnego autora i równie fikcyjny tytuł – a on, cymbał, dał się na ten perfidny chwyt nabrać. Zamiast uczciwie powiedzieć, że jej nigdy nie widział na oczy, począł ją nieudolnie streszczać, posługując się frazesami. Był to z gruntu fałszywy krok, zgubny w skutkach. Jak się potem okazało, tytuł był tematem rozprawy, na którą żaden z potencjalnych doktorantów jeszcze się nie połakomił. Wyleciał z egzaminu z wymalowaną czarnym atramentem dwójką w indeksie, a przy okazji usłyszał dowcip z długą brodą.

„Wie pan, co to jest egzamin? – pytał profesor. – *To rozmowa dwóch uczonych. A co się stanie – znów pytał – gdy jeden z nich okaże się mało inteligentny? To ten drugi bierze indeks i wychodzi!* – Pokręcił z zawodem głową. – *Niestety, tym razem to pan się nie popisał!*” Musiał więc przerwać obóz wędrowny i wrócić do niechcianego skryptu. Wybrał i przeczytał kilka spośród zadanych lektur, ale z reszty zrezygnował, wychodząc z założenia, że profesor nie powtórzy tego samego podłego chwytu.

Dzieciaki odbiegły znad stawu, porzucając sielskie łabędzie. Patrzył, jak pędzą w kierunku zielonego kiosku, w którym były frytki i napoje chłodzące. Nagle przyszła mu na myśl Sonia i oblała go fala nie tak odległych wspomnień. Znaleźli wspólny język i wydawało mu się, że wyniknie z tego coś poważniejszego. Sporo ze sobą przegadali, rankami pospołu pakowali plecaki, a wieczorami przy ognisku wysiadali obok siebie, omal się nie przytulając. Była miłą, wesołą i roześmianą blondyneczką. Kiedy jednakże opuszczał góry i żegnał się w Rabce z wędrującą z nim grupą, jego miejsce przy niej zajął rudy Irek z piegowatą twarzą, chłopak z drugiego planu. Jąkał się, ale dziewczyny go lubiły. Stali

tuż przy sobie i machali do niego, gdy zabierający go autobus ruszał z przystanku. A on z bólem serca żegnał zalesione Gorce.

Malcy powrócili. Znowu się zabrali do dokarmiania białych ptaków, jednakże syte łabędzie niechętnie podpływały do brzegu, majestatycznie trwając na środku stawu i czyszcząc dziobami białe pióra. Ignorowały intruzów.

Niewielu znajomych spotykał na uczelni i czuł się co nieco osamotniony. Rankami chadzał na Msze święte do kościoła akademickiego. Wpatrywał się w postać równie osamotnionego Chrystusa z szeroko rozpartymi ramionami, tworzącą jedyny wyraźny akcent na wysokiej ścianie białego prezbiterium. Odprawiający przy głównym ołtarzu kapłan nawiązał w jednej z homilii do tego rozwiązania plastycznego. „*W świecie sztuki – tłumaczył – nie brakuje miejsca dla oryginalnych cięt i myślowych skrótów!*” Kontemplujący tę rzeźbę mogli dostrzec tak ukrzyżowanie, jak zmartwychwstanie, tak przemienienie na górze, jak wniebowstąpienie. Chrystus ni to się unosił, wstępując do nieba, ni to pozostawał na krzyżu, którego ramiona były niewidoczne,





jak gdyby zawieszony w próżni. „Sztuka – cichym głosem wyjaśniał celebrans – zazwyczaj wspiera teologię; uczy bowiem spoglądania na tajemnice wiary, na wydarzenia zbawcze, z różnych nietypowych punktów widzenia, ujmowania ich w jakimś szczególnym i oryginalnym aspekcie, odpowiadającym wrażliwości twórcy, wrażliwości człowieka wierzącego...”

Michał zadumał się nad tymi odkrywczymi myślami. Powątpiewał w to, czy artysta musi być wierzący i utożsamiać się z przesłaniem dzieła. Można było przecież malować, rzeźbić, pisać i komponować, zachowując chłodny dystans i posilkując się beznamietnie przyjętymi założeniami formalnymi. Właśnie to mu wbijał do głowy tato, sam malarz, zwracający mu uwagę na niekiedy lekceważone sprawy warsztatowe. W mieszkaniu wisiały jego liczne płótna, choć gustował również w akwareli. Kiedyś Michał odkrył w szufladzie starego biurka kilkanaście szkiców węglem, które przedstawiały go jako przedszkolnego brzdąca przy zabawie.

Dzieciaki narobiły hałasu. Jeden z małych łobuzów ciskał w łabędzie kamykami, chcąc je zmusić do tego, by podpłynęły do brzegu. Biały ptak rozłożył szeroko skrzydła. Na szczęście – jak Michał zauważył – ktoś z czuwających dorosłych interweniował.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że widok, który ma przed sobą, pewnie natchnąłby jego ojca. Gdyby usunąć z tła – dumał – stare, odrapane kamienice lub nadać im wdzięczny stylowy wygląd, powstałby miły dla oka pejzaż. Świat dawało się poprawiać. Westchnął,

przeganiając rozpraszające go myśli i przewrócił kartkę skryptu. Miał pójść w ślady taty, ale mama była temu przeciwna. „Dość jednego przekłętego artysty w domu!” – gderiała. Nie miała gdzie pochować obciążonych płótnem ram, których wszędzie było pełno. Michał usiłował malować i ponoć nawet mu to wychodziło, jednak życzenie matki było święte. Rozstał się z paletą i pędzlami, aby oddać się pożyteczniejszym zajęciom.

Kartkował stronicę i czuł, iż budzi się w nim żal, że nie poszedł w życiu w tę stronę, w którą chciał i że nie mógł wybrać tego, co go naprawdę pociągało. Bunt w nim narastał. Z niesmakiem zamknął skrypt i zabrał się do szkicowania białego ptaka.

– Jezioro łabędzie – mruknął, mając w uszach nastrojową melodię z baletu Piotra Czajkowskiego.

Zaraz jednak porzucił ten temat, poddając się nagle natchnieniu. Rysował koński ogon, potem buzię z zadartym noskiem i roześmiane oczy. Uprzytomnił sobie, że otarł się o tę dziewczynę. „Gdzie ją widziałem?” – wahał się przez chwilę. – *A, już wiem!*” Kryjąc twarz w dłoniach, klęczała w kościele za ostatnim rzędem krzeseł. Po Mszy świętej plotkowała z koleżanką, a gdy je mijał, obrzuciła go spod długich rzęs zaciękawym spojrzeniem.

Wstał i rozprostował ramiona, aż strzeliło w kościach. Należało wracać. Spojrzał na wygniecioną trawę, a potem na słońce, które już nisko opadło. Robiło się chłodno. Wmieszany w tłum przechodniów kroczył Krakowskim Przedmieściem i przyszło mu tam do

głowy, że powinien był zdecydować się na historię sztuki. Oczyma wyobraźni ujrzał siebie w roli studenta tego kierunku, oddającego się z pasją arcyciekawym wykładom i pasjonującym ćwiczeniom. Wstąpił do baru i zamówił dużą porcję frytek. Potem przez zabrudzoną szybę gapił się na ruchliwą jezdnię, medytując bez pośpiechu nad sobą. Ów ksiądz, który odprowadzał Msze święte w kościele akademickim, zdawał się rozumieć artystów. Mówił o przewodniej roli piękna, o tym, że jest ono syntezą tego, co prawdziwe i dobre, że Bóg jest uosobieniem piękna, a z twórczością artystyczną wiąże się swoisty profetyzm. Może w szczególności z nim się nie zgadzał, ale jednak idea i wymowa jego homilii były mu bliskie; czuł, że słowa kapłana są pełne ciepła i jakiegoś blasku...

Odsunął pusty talerz i popadł w niemal metafizyczną zadumę. Wydawało mu się, że tłumił w sobie drugie „ja”, które budziło się samo do życia ze stanu długotrwałego uśpienia. Być może podczas porannych Mszy świętych w ciszy akademickiego kościoła, w którym odbijały się echem kroki nielicznych wchodzących, jakaś mimowolnie wykrzesana iskra zamieniła się w nim w płomień?

Wstał, zapłacił i wyszedł z baru. Wykoncypował, że powinien przy jakiejś okazji pogawędzić z owym celebującym liturgie kapłanem na zajmujące go tematy. Nie znał jego nazwiska. Skręcił w Szopena, kierując się w stronę biblioteki, bo chciał jeszcze przekartkować to i owo. Przy katalogach mignęła mu buzia nieznajomej z kościoła. Ujrzał ją znowu w głównej czytelni, pochyloną nad książkami. Oddał wypełnione rewersy za konrtuar i cichutko przysiadł na krześle, czekając na zamówione woluminy. Chwilę się przyglądał jej końskiemu ogonowi, a potem szybko się zdecydował.

Rysował pewnie i z sercem, zapominając o całym bożym świecie. Nie zauważył, że w międzyczasie zapaliło się światelko z jego numerem – znak, że książki dotarły już z magazynu. Kradł czas przeznaczony na lekturę. Wreszcie skończył. Portretowana dziewczyna wyglądała jak żywa. Już w czasie szkicowania przyszedł mu do głowy przezabawny pomysł. Wstał, wziął rysunek i podszedł do nieznajomej, figlarnie kładąc przed nią świeżo powstałe dzieło. Potem znów skromnie przysiadł przy swoim stoliku.

Dziewczyna obejrzała się, a jej koński ogon radośnie pofrunął. Uśmiechnęła się promienne i puściła do niego perskie oko.

SONATA KSIĘŻYCOWA

Po zmierzchu nieoczekiwanie chwycił mróz, a kałuże pokryły się cienką warstwą lodu, który trzeszczał i pękał pod stopami. Na ciemnym niebie widniał błądy księżyc, uśmiechający się do ostatnich zziębniętych przechodniów. Krzysztof odprowadzał Sabinę do domu. Chłopak nie miał czapki, ale narzucił sobie na głowę kaptur, przytwierdzony do kołnierza obszernej zimowej kurtki. Wtulił nos w wełniany szal, a ręce ukrył w kieszeniach. Było mu ciepło i co rusz zerkał na dziewczynę, której zmarznęte policzki mocno się zaróżowiły. Odstawiona była szalowo, jednak stanowczo za lekko jak na tę porę roku. Nie przypuszczała, że może nadejść nagłe ochłodzenie, a przecież listopadowe wieczory bywały zdradliwe.

Lekko przygarbiony kroczył obok niej, czując, że powinien jej jakoś pomóc, mimo że o to nie prosiła. Dziewczyna trzęsła się z zimna i zęby omal jej nie szczerkały. To sprawiało, że ciągle przyspieszała kroku, jakby chciała przed czymś uciec. A przecież w mroku nie czaiło się żadne niebezpieczeństwo. Nie był przygotowany na maraton i obawiał się, że dostanie przy niej zadyszki.

– Paskudny ziąb – rzucił. – Daje popalić. Chyba nie jest ci za ciepło w tym, co masz na sobie? – ostrożnie zagaił, ale było oczywiste, że rozmowa nie będzie się kleić.

Pociągnęła nosem. Dłonie usiłowała wepchnąć do przyciasnych kieszeni podszytej wiatrem bluzy, która nadawała się na randki w październikowe popołudnia. Ostatnio miała ją na sobie, kiedy wybrała się na łąki, aby zrywać wrzose.

– Nie narzekam – dziarsko odrzekła, siląc się na dobry humor. Ten jednak ulotnił się bez śladu, gdy tylko wyszli z mieszkania Beaty i minęli róg posesji.

Siedemnastka była niczego sobie. Zeszło się grono znajomych, głównie ze szkoły. Przy magnetofonie tańczyli i słuchali muzyki, popijali wino i częstowali się słodyczami. Finał musiał jednak popsuć ten szczerzący kły naprzykrzony mróz. To była droga przez mękę. Wolała nie uzmysławiać sobie, jak wygląda, skrycie się ciesząc, że jest ciemno. Przy uliczce, którą się właśnie posuwali, z rzadka stały latarnie. Najchętniej pobiegłaby pędem na skróty między willami, wybierając sobie

tylko znane ścieżki i przejścia, ale przy chłopaku nie wypadało. Wyszłaby na idiotkę. To nie był harcerski sprawdzian z nocnego marszu na azymut.

Wróciła myślami do mieszkania Beaty. Tamci nadal się bawili i nie przypuszczała, żeby impreza miała się skończyć przed północą. Otyły Robert przyjechał granatowym volvo, więc było jasne, że rozochoczone bractwo po wszystkich porozwozi. Krzysiu nie miał jednak własnych czterech kółek. Niebiańsko się balowało, ale dokładnie o dwudziestą pierwszą – muzyka na chwilę umilkła i było słychać odbijające się echem dźwięki dzwonów z fary – musiała pożegnać urzekającą solenizantkę. Obiecała bowiem mamie, że wcześniej wróci. Krzysztof jej nie odstępował, zatańczył z nią ze trzy razy i razem z nią wyszedł z mieszkania.

Beata była rozanielona, ukończyła siedemnaście lat, a zaproszeni goście czuli się u niej jak w uwitym gniazdeczku. Miała ekstra mebelki. W sukni jak z żurnala wyszła za Sabiną i chłopakiem aż na półpiętro. Zawsze zresztą świetnie wyglądała, a faceci za nią się oglądali. Nie to, co ona – Sabina. Zadumała się nad pokracznym losem, zamieniającym jej życie w gehennę. Czuła

się brzydkim kaczątkiem, które niechciane i odepchnięte marudnie ciągnie za ładniejszymi, silniejszymi i hałaśliwymi. Niepowodzenia się kumulowały i teraz nagle przypadła jej jeszcze w udziale rola ubogiej dziewczynki z zapalkami. Była i tak w czepku urodzona, bo w odróżnieniu od tamtej nie chodziła boso. Zerknęła ukosem na Krzysia. Nie rozumiała, co chłopak w niej widzi. I dlaczego ten idiota nie został na prywatce, by pobawić się z ładniejszymi od niej dziewczynami. Czyżby nie umiał wybierać? Bite dwie godziny przesiadziała przed lustrem w łazience, próbując zrobić się na bóstwo. Długo pudrowała nos. Wybrała najlepszą sukienkę, którą wcześniej trochę skróciła, korzystając z przybornika krawieckiego mamy. Do niej założyła cienkie czarne rajstopy i czarne lakierki. Nogi nawet nieźle się prezentowały, ale jej twarz była podejrzenie blada i bez wyrazu. Jak u wampira. Nie pomogły kolczyki ani kredka do ust.

– Ach, te smętne baśnie Andersena! – mruknęła z przygnębieniem, gdy jej kolega zatrzymał się na chwilę, by nałożyć kaptur, który zerwał mu z głowy poryw lodowatego wichru. Przystanęła i zacisnęła dłonie aż do



bólu. Dlaczego była taką wariatką i z zacięciem utożsamiała się z życiowo przegranymi bohaterami? Wcale tego nie chciała. Minęli postój taksówek. Czekali tam mężczyzna w kożuchu i futrzanej czapie oraz kobieta w długim futrze z podniesionym kołnierzem. Ci to się dobrze mieli. Z drugiej strony ulicy zatrzymał się na przystanku miejski autobus, z którego wysypało się kilku pasażerów. Ciepłe oświetlone wnętrza przyciągało, ale przecież ani Sabina, ani Krzysiu nie zamierzali wsiadać. Ta idylla była nie dla nich. Skręcili w lewo, w wąską asfaltową uliczkę, między ciche parterowe domki z ogródkami. Tu tak mocno nie wiało.

Sabina zwolniła, gdy zza rogu wyjechał polonez, a chłopak wykorzystał ten moment. Szybko ściągnął z siebie wełniany szal i narzucił jej na szyję. Sięgał jej prawie do kolan. Chwilę się wzbraniała, potem jednak pozwoliła się nim opatulić. Następnie zdjął rękawiczki. Były za duże, ale za to ciepłe.

– No, lepiej? – zapytał, oceniając swe bezprzykładne dzieło.

– Lepiej – ulegle odpowiedziała. – Zwykle chłopacy raczej rozbierają dziewczyny niż je ubierają...

Roześmiał się, setnie ubawiony. Poprawił mu się nastrój. Poszli dalej, a księżyc, który schował się wcześniej za skłębione chmury, ukazał się znowu na czarnym niebie, widocznie zaciekawiony tym, co działo się poniżej.

Zaniepokoiła ją nagle troskliwość Krzysztofa. Przeszyła ją trwożna myśl, że następnego dnia w szkole z rechem opowie kolegom, jak to musiał z wieczora niańczyć pewną niezgułę. A może wróci z powrotem do Beaty i upora się z tym od ręki?

– Zawsze jesteś taki uczynny? – niepewnie zapytała.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi. Nie rozumiał, o co jej chodzi. Minę miał poważną i wcale nie wyglądał na kogoś, kto zamierza zabawiać się cudzym kosztem.

– No, wiesz, też pytanie? Wtedy kiedy trzeba.

Mijali ostatnie ciemne skrzyżowanie. Nie miała ochoty rozstawać się z chłopakiem. Przed nimi rysowała się uliczka, przy której rysował się jej dom. Nagle zmarkotniała i odrobinę zwolniła. Stała przed oczyma matka, która krytycznie oceniła jej zabiegi upiększające. Zajrzała kilka razy do łazienki, z powątpiewaniem kręcąc głową. Dobiegły ją z jej pokoju słowa nastrojowej ballady Bułata Okudźawy. *„Pierwsza miłość z wiatrem gna, z niepokoju drży, druga miłość życie zna i z tej pierwszej drwi, a ta trzecia jak tchórz w drzwiach przekręca klucz i walizkę ma spakowaną już...”*

Zatrzymali się przy żelaznej furtce. Rozgrzała się szybkim marszem i właściwie mogła uznać, że wyszła cało z tej katastrofy. Zwróciła chłopakowi szalik i rękawiczki. Nie podała mu jednak dłoni na pożegnanie, czując, że jest nadal lodowata. Ten jednak tym się nie przejął. Pewnie przyciągnął ją do siebie iłożył na jej zimnych jak u zmarłego wargach przelotny pocałunek na pożegnanie. Może dostrzegł utajony głód, który skrywały jej oczy?

Wbiegła po schodach na ganek i szarpnęła drzwiami. Czekały otwarte. Pomachała mu na pożegnanie. *„Pierwsza miłość z wiatrem gna...”* – wróciły do niej raptem słowa ballady.

– Do jutra! – zawołała cichym, przytłumionym głosem, zwijając dłonie w trąbkę.

Przez zamglone szybki ganku śledziła go jeszcze dłuższą chwilę. Nie spiesząc się odchodził. Kopnął jakiś kamień. Owinął sobie szal z powrotem wokół szyi i zaplął kurtkę, zarzucając kaptur na głowę. Założył rękawiczki. Wreszcie rozpułynął się w mroku jak zjawą. Weszła cicho do przedpokoju, powiesiła bluzę na wieszaku i zdjęła lakierki. Rozmasowała zmarznięte stopy. Wdziała bambosze. Zatrzymała się przy otwartych drzwiach do kuchni. Wydawało się jej, że nikt postronny nie był świadkiem ich powrotu we dwoje z urodzinowej balangi u Beaty i że może zatem rzucić się na łóżko, zamknąć oczy, wydobyć z pamięci wszystkie kolejne sceny i w samotności przeżyć je jeszcze raz. Później jednak przyszedł jej na myśl księżyc, niemy świadek z czarnego nieba.

Odchyliła zasłonę i wyjrzała przez okno, spoglądając w górę. Był tam, drań, błady i okrągły, zagadkowo się uśmiechający, wszystko widzący i wszystko wiedzący. Przez krótką chwilę miała nieodparte wrażenie, że jej późny spacer z Krzysztofem osobiście zaplanował i wyreżyserował.

– Patronie zakochanych... – wyszeptała zbiełymi wargami. – Wcale nie potrzebuję twych rad ani twej pomocy. Obejdę się bez ciebie...

Kiedy jednak się umyła, usuwając makijaż, ubrała w koszulę nocną w ulubione kaczuszki i znalazła pod kołdrą, błady świecący krążek przygnał do niej jak bumerang. Nie była w stanie bez jego pomocy odtworzyć oczyma wyobraźni kolejnych zdarzeń tego wieczora – a zwłaszcza ich króciutkiego zaskakującego finału, którego się nie spodziewała.

*Opowiadania pochodzą z tomiku
„Randka i inne opowiadania”*



Choinka proszę pana
jest chyba zaczarowana,
bo zaraz wszystko odменя:
było szaro, a ona wchodzi do domu –
zielona i spełnia marzenia.
Choinka – niby królewna
taka zielona i srebrna,
taka czerwona i złota.
A pod nią – nasze marzenia:
Lalka dla Mani i miś dla Henia,
nawet piłeczka dla kota.
Dobrze się bawić przy świeczkach,
tu miś, tu kot, tu laleczka.
I spać nam nikt jeszcze nie każe.
Choinka, proszę pana
choinka zaczarowana –
drzewko spełnionych życzeń.

Maria Terlikowska „Zaczarowane drzewko”